

WOLNA
SOBOTA

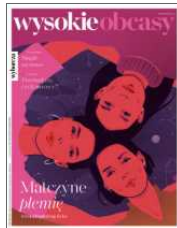


**DODATEK
O BEZPIECZEŃSTWIE**
Czego boi się
Europa?

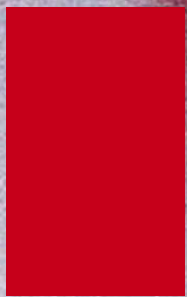


FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

**SZYMON
HOŁOWNIA**
Tak, chcę zostać
prezydentem
► 11



**WYSOKIE
OBCASY**
Między matkami
Kobiety i Czułe
Plemię



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Stany Podzielone Ameryki

CO TRUMP ZROBI ZE ŚWIATEM

► 4-10

BRIAN SWYDER/REUTERS

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3448198



**Kto i po co
idzie dziś
do wojska?**
► 16

Jesse Eisenberg
w ojczyźnie
przodków
► 26

**Pisarz
zbuntowany**
Michnik o Camusie
► 30

**Dlaczego nie
powstała wielka
proza o Polsce**
► 34

**Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend**

Agnieszka
Kublik

Czasem żeńska końcówka obraża

ntencje mieli dobre. Fundacja Batorego rozesłała maila z zaproszeniem na konferencję organizowaną we współpracy z Helsińską Fundacją Praw Człowieka „Ewolucja państwa i prawa. Refleksje z roku odbudowy praworządności”. „Wydarzenie zgromadzi ekspertów_tki oraz praktyków_czki z dziedziny prawa i polityki, którzy i które podejmą dyskusję na temat kluczowych zagadnień związanych z budowaniem państwa prawa”. Kolega, na którym zrobiłam test, nie łapał przez dłuższą chwilę. „No domyślam się, że coś tu jest nie w porządku, ale co”. Kobiety zostały sprowadzone do końcówek „_tki” i „_czki”.

To gorzej niż gdyby uznano je za „ekspertów i praktyków”, bo formy męskie mogą odnosić się do obu płci. I gorzej niż słuszne, ale sztuczne „ekspertów i ekspertki” oraz „praktyków i praktyczki”. Bo to uderza uprzedmiotowieniem: kobiety jako dodatek do ekspertów i praktyków. Jako końcówki.

Język zawsze znajdzie drogę do opisywania rzeczywistości. Gdy na początku XX w. kobiety zaczęły wykonywać „męskie” zawody, pojawiły się „dokorki”, „profesorki”. Lecz nadal wielu

uważało, że męskie rzeczowniki dodają im prestiżu. Dlatego, choć żeńskie końcówki pojawiają się coraz częściej, wciąż widać nieporadność w ich stosowaniu. Język przepoczwarza się na naszych oczach (i uszach). I nie zawsze nam się to podoba. Mnie nie bardzo odpowiada formuła „Po-

lki i Polacy”. Upieram się – przedstawiając się jako „dziennikarka” – że nie trzeba tak mówić, bo w polszczyźnie formy męskie odnoszą się do kobiet i mężczyzn. „Polacy” kobiet nie wyklucza.

Mamy w rządzie parę kobiet (np. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Paulina Hennig-Kloska, Katarzyna Kotuła, Izabela Leszczyna, Hanna Wróblewska), kobiety były szefami rządu (Hanna Suchocka, Ewa Kopacz, Beata Szydło). Kobiety zasiadają w prezydium Sejmu – Monika Wielichowska i Danuta Niedziela. Jak je nazywać, jeśli wierzymy w żeńskie końcówki, bo nie godzimy się z ideologią, że męskie dodają nam godności?

No więc: „premierka” i „premera”. Ale jeśli kobieta stojąca na czele rządu woli być „panią premier”, ma do tego prawo. „Ministra”, „ministerka” i „pani minister”. „Marszałkini” i „pani marszałek”. Obie formy są gramatycznie poprawne.

Prof. Aldona Skudrzyk, językoznawczyni i socjolingwistka z Uniwersytetu Śląskiego, twierdzi, że „kontrowersje i spory wokół feminatywów nie mają podłoża językowego, ale dotyczą bardziej spraw światopoglądowych, ideowych i politycznych”. I przypomina, że we wszystkich tłumaczeniach Biblii, która jest podstawą kultury chrześcijańskiej, „znajdziemy prorokinię Annę”. Konserwatyści językowi, co wy na to?

Język jest cierpliwy, wszystko zniesie. Ale czy musi znosić „ekspertów_tki oraz praktyków_czki”? ●

Andrzej rysuje



Praga

Sprint na wielkim kole



FOT. REUTERS/EVA KORINKOVA

Coroczny wyścig bicykli na ulicach Pragi. Obowiązywały stroje z epoki i swobodne podejście do rywalizacji. Angielska, popularne określenie bicykla, to „penny-farthing” – wzięła się od nazw brytyjskich monet: większej – penny i mniejszej – farthing. Odnosił się to oczywiście do wielkości kół pojazdu. **Czechy, 2 listopada 2024 roku. O elektrycznych rowerach kurierów, czytaj ► Wyborcza.pl/magazyn**

Kod dostępu
do Wyborcza.plPogoda
Jak powstaje szron?

Wkrótce ma się pojawić. Należy do tzw. osadów atmosferycznych. W przeciwieństwie do opadów, osady tworzą się bezpośrednio na różnych przedmiotach w wyniku kondensacji pary wodnej (zamiany w wodę) lub resublimacji (zamiany w lód), a czasem też osadzania kropelek mgły. Najczęściej spotykane osady lodowe to szron i szadź. Maksymalna zawartość pary wodnej w powietrzu, silnie zależy od jego temperatury. Jeśli ona spada, to zdarza się, że w powietrzu osiąga stan nasycenia parą wodną. Temperaturę, w której powietrze o danej wilgotności osiąga stan nasycenia parą wodną, nazywamy temperaturą punktu rosy. Przy dodatkich temperaturach nadmiar pary wodnej wydziela się w postaci kropelek wody. Jeśli temperatura jest ujemna, to dochodzi do zjawiska zwanego resublimacją, czyli do zamiany substancji (w tym wypadku wody) ze stanu gazowego w stały. Zdarza się, że wychłodzeniu ulega grubsza warstwa powie-



FOT. KRZYSZTOF DROZDOWSKI

trza i resublimacja zachodzi w całej jego objętości. Powstaje wówczas mgła lodowa, złożona z zawieszonych w powietrzu mikroskopijnych kryształków lodu.

Jednak najczęściej przesyceniu parą wodną na skutek spadku temperatury ulega cienka przyziemna lub przylegająca do innych chłodnych przedmiotów warstewka powietrza. Wtedy do resublimacji dochodzi na wychłodzonych powierzchniach. Kryształki lodu powstałe w wyniku resublimacji mają formę igiełek o przekroju sześciokątnym.

Jeśli wilgoci w powietrzu jest dużo, to proces tworzenia się szronu trwa dłużej i kryształki tworzą rozgałęzione pierzaste formy. ● **Krzysztof Drozdowski**

Liczba dnia

445

o tyle procent wzrosła w środę cena prądu w ofercie dynamicznej (do 3,38 zł za kilowatogodzinę) - w porównaniu do ceny zamrożonej przez rząd (0,62 zł za kWh)



W „Jedenaście” [najnowsza książka Hanny Krall] jest dom dziecka, w którym byłam i który stał w lesie. I dwaj moi koledzy są. Karol był historykiem filozofii, miłośnikiem Kanta i Hegla. Przyszedł z lasu w partyzanckim ubraniu. Tomek został sędzią w międzynarodowym trybunale

HANNA KRALL
Więcej ► Wyborcza.pl

Marsz Niepodległości

Dokąd idą narodowcy

Od ronda Romana Dmowskiego,
Alejami Jerozolimskimi – na wschód

Kurski



W tym roku Marsz Niepodległości organizowany przez młodzież narodową pójdzie pod hasłem „Wielkiej Polski moc to my”. Marsz nawiązuje do przedwojennej tradycji obchodów 11 listopada, która w istocie jest bardzo krótka. Takie obchody odbyły się bowiem jedynie dwa razy – w roku 1937 i 1938. 11 listopada 1939 roku w Warszawie rządili już Niemcy i nikt nie mówił o „wielkiej Polsce”. Zresztą nawet tę krótką tradycję kontestowała Narodowa Demokracja, a więc partia, której narodowcy czują się spadkobiercami. Endecja brzydziła się świętem 11 listopada, które oficjalnie miało symbolizować jedność Polaków, a było według niej „zawłaszczaniem Święta Niepodległości przez sanację”.

Przyznają Państwo, że wpisać rondo Romana Dmowskiego w Aleje Jerozolimskie, XVIII-wieczną arterię Warszawy, która wiodła do osady Nowa Jerozolima, gdzie osiedlili się Żydzi, którym odmówiono osiedlenia w granicach miasta – to jednak wobec pana Romana gruby nietakt i niesmaczny żart.

A robić tam zbiórkę narodowej młodzieży i maszerować alejami tak jawnie nawiązującymi do żydowskiej spuścizny Warszawy – to już perwersja.

Wszak przywódca polskich narodowców pisał w „Przewrocie”, że Polska nigdy nie będzie wielka, dopóty dopóki nie uwolni się od swego żydostwa, nie odda tego smutnego pierwszeństwa najbardziej zażydzonego kraju na świecie.

Jedyne, co się zgadza, to wschodni kierunek marszu. Pan Roman był wszak dzieckiem prawobrzeżnej Warszawy, a przyszłość Polski widział w ścisłym sojuszu z Rosją, sam zresztą był posłem do Dumy.

No i jeszcze ta data, która jednoznacznie kojarzyła się z zaprzysięgłym wrogiem Dmowskiego – marszałkiem Józefem Piłsudskim, którego zasługi endecy kwestionowali, nazywając go „przestępcą z Belwederu”. Czemu akurat po przewrocie majowym trudno było odmówić racji. Dlatego Narodowa Demokracja bojkutowała obchody 11 listopada.

A teraz wszystko na opak. 11 listopada świętuje dumna, narodowa młodzież. Nieś się będzie razem z flarami i racami, że „Polska tylko dla Polaków”, że „Tylko pod tym krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska Polską a Polak Polakiem”. Będzie „Stop ukrainizacji Polski”, będzie „Zakaz pedałowania”, będzie ryk przeciw Unii Europejskiej, Niemcom, Żydom i lewakom..., zresztą po co to wymieniać, kiedy wszystko wiadomo.

Atakowanie walczącej dzisiaj z Rosją także o naszą wolność i bezpieczeństwo Ukrainy oraz struktur NATO to sprzymierzanie się z wrogiem, to jak zdrada stanu, w szczególności po triumfalnym zwycięstwie Donalda Trumpa.

Nie moja Polska. Nie mój marsz. Nie moje hasła. Nie mój patriotyzm. Niestety, moi rodacy. Nie przestajemy się temu dziwić, ale tak było zawsze, co nie znaczy, że mamy się z tym godzić i do tego przyzwyczajać.

Jan Józef Lipski w historycznym eseju „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy. Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków” napisał zdanie, które brzmi jak jedenaste przykazanie: „Szo winizm, megalomania narodowa, ksenofobia, czyli nienawiść do wszystkiego, co obce, egoizm narodowy – nie dadzą się pogodzić z chrześcijańskim nakazem miłości bliźniego”.

W styczniu 1938 roku, dwa miesiące przed Anshlussem Austrii i triumfalnym wjazdem Hitlera do Wiednia, w atmosferze narastającej w Polsce „gorączki patriotycznej” wyrażającej się w sojuszu obozu sanacyjnego z ONR Antoni Słonimski zamieszcza w „Wiadomościach Literackich” wiersz „Dwie ojczyzny”. Rozpaczliwy krzyk poety o rozdartym narodzie. To jakby odpowiedź na trujący klimat epoki, getta lawkowego, bojkotu handlu żydowskiego, palkarzy i zyletkarzy.

Ferdynand Goetel, jeden ze znanych pisarzy tamtego czasu, miał powiedzieć wtedy do poety: – Panie Słonimski, jeszcze się pan tu kręci? Już niedługo, bo będzie tu polski narodowy ustrój. W Niemczech Hitler już wygrał, we Włoszech Mussolini, w Anglii czeka już Mosley, nie będzie pan miał gdzie się schować...”.

Prawda, czyli zgodność faktów z rzeczywistością, jako kategoria dialogu politycznego już w Polsce nie istnieje

– Jeszcze nie wygraliście panowie – niepewnie odpowiedział poeta. Niestety, faszyści niebawem wygrali, a Słonimski wraz z Tuwimem musieli uciekać z kraju do Rumunii. Zdążyli. W ostatniej chwili.

Zobaczmy, cóż takiego strasznego napisał Antoni Słonimski, co tak zraniło patriotyczną młodzież?

„Dwie ojczyzny”
W twojej ojczyźnie karki się zgina
Przed każdą władzą,
Dla zwyciężonych – wzgarda i ślina,
Gdy ich na kaźń prowadzą.
W twojej ojczyźnie gdyś hołdy składał –
Przed obce trony.
W ojczyźnie mojej, jeśli ktoś padał,
To krwią zbroczony.
W ojczyźnie twojej do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża.
W twojej ojczyźnie sławnych portrety,
Tom w etażerze.
W mojej ojczyźnie słowa poety
Oprawne w serce.
Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,

*Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej,
Jeśli jej nie znasz?*

Zaraz po publikacji wiersza do Słonimskiego zadzwonił Zygmunt Lenkiewicz-Ipohorski podający się za młodego poetę, współpracownika „Wieczoru Warszawskiego”, z prośbą o spotkanie, bo „chciałby przeczytać swoje wiersze”.

Umówili się nazajutrz w Ziemiańskiej. Dalszy ciąg sprawy jest znany. Ipohorski przybył do restauracji w towarzystwie roslých kolegów, zajęli stół przy drzwiach. Gdy tylko pojawił się Słonimski, Ipohorski doskoczył do poety i dwukrotnie uderzył go w twarz: – A masz za „Dwie ojczyzny”!

Słonimski oddał, potem chwycił za krzesło. Szło już na potężną awanturę, gdy do akcji wkroczyli kelnerzy, którzy sympatyzowali z PPS i wynieśli dzielną narodową młodzież z lokalu.

Historia dopisała do tej opowieści efektowną pointę. Narodowy patriota Zygmunt Ipohorski w maju 1944 roku skazany został przez sąd podziemny Armii Krajowej na karę śmierci za kolaborację z gestapo. Przeniknął do konspiracji i brał od Niemców za donosy 2 tys. zł miesięcznie. Wyrok wykonano.

Od czasu awantury w Ziemiańskiej minęło ponad 80 lat. Jako naród przeżyliśmy wojnę, ale podział trwał.

Najpierw rząd dziarsko opuścił swój naród, a wódz naczelny swoją armię.

Wojna się toczyła, a porachunki szły w najlepsze. Na szkockiej wyspie Bute, którą rodacy zaraz okrzyknęli Wyspą Węży, w latach 1940-43 zostały interno-

wane setki sanacyjnych oficerów i polityków. Trafili tam bez wyroku sądu, wystarczył rozkaz generała Władysława Sikorskiego.

W czerwcu 1944 roku w Warszawie narodowa bojówka zamordowała skrytobójczo dwóch żołnierzy podziemia niepodległościowego – Ludwika Widerszala i Jerzego Makowieckiego, redaktorów Biuletynu Biura Informacji i Propagandy AK, demokratów z żydowskimi korzeniami, którzy dla prawicy byli uosobieniem „wroga Polski i narodu polskiego”.

W marcu 1968 roku narodowi komuniści z kolei rozpętali antysemicką hecę, zmuszając do emigracji tych Polaków, których oni z Moczarem na czele uznali za Żydów, przy milczeniu Kościoła i przy poklasku Bolesława Piaseckiego, dawnego falangisty i ONR-owca, a w PRL prezesa koncesjonowanego stowarzyszenia PAX.

W okresie karnawału „Solidarności” objawiło się antysemickie komunistyczne stowarzyszenie patriotyczne Grunwald, które mogło sobie podać rękę z frakcją prawdziwych Polaków, któ-

ra tropiła w „Solidarności” etnicznie niepewne semickie elementy.

A potem była już wolna Polska i uśpione podziały na prawdziwych i nieprawdziwych Polaków, na targowicę i Europejczyków, na patriotów i czerwonych, na tych, „co stoją tu, gdzie stali, i na tych, co stali tam, gdzie ZOMO”, na różowych, którzy przy Okrągłym Stole „dogadali się ze swoimi agentami”, itp., itd.

I wreszcie ostatni podział na tych, którzy patriotycznie wierzą w zamach smoleński, i tych, którzy „nihilistycznie go wyszydzają”.

Tak więc przeżyliśmy wojnę, komunizm, transformację, demokrację i z wyjątkiem krótkich chwil jedności, takich jak 31 sierpnia 1980 roku pod II Bramą Stoczni Gdańskiej, nadal mamy dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy, dwa narody i dwa państwa.

Rzecz w tym, że wszystkie narody są mniej lub bardziej podzielone. Polska, podobnie jak Stany Zjednoczone, należy do tych „turbo podzielonych”. Nie działają już żadne racjonalne narzędzia perswazji, a fakty utraciły wszelkie znaczenie na rzecz emocji i dogmatów wiary.

Antoni Macierewicz pouczał swych wyznawców: „Żeby kłamstwo było skuteczne, to trzeba powiedzieć, że jest całkowicie na odwrót, trzeba powiedzieć, że jest radykalnie i w 100 proc. inaczej, niż jest”.

Można więc pokazać dziesiątki niezbitych dowodów na kłamstwa, manipulację, fałszerstwa i nadużycia Macierewicza w raporcie podkomisji smoleńskiej, a i tak zwolennicy PiS w to nie uwierzą. To samo dotyczy księdza Olszewskiego, ministra Romanowskiego, którzy zyskują status „nowych męczenników”.

Można z kolei bezpodstawnie oskarżyć Donalda Tuska o zdradę, współpracę z Rosją i Niemcami, a zwolennicy PiS w to uwierzą. Prawda, czyli zgodność faktów z rzeczywistością, jako kategoria dialogu politycznego – już nie istnieje. Taki elementarny brak spójności społecznej to słabość, jak w czasach przedrozbiorowych, to brak jedności i gratka dla wrogów. Jak to strawestował Jacek Kaczmarski w balladzie „Rejtan – czyli raport (rosyjskiego) ambasadora”.

*Skłócony naród król niepewny,
szlachta dzika,
Sympatie zmienia wraz z nastrojem
raz po raz.*

*Rozgrywka z nimi to nie żadna
polityka,*

To wychowanie dzieci, biorąc en masse.
Macierewicz z Kaczyńskim i Jędraszewskim wyrąbali w Polsce podział na nieznaną dotąd skalę. Zatruli kraj toksynami podejrzeń i jadem nienawiści, a co najgorsze, na długie lata odebrali język porozumienia. W takim kraju ambasador Rosji czuje się najlepiej, w szczególności wobec désintéressement Trumpa.

To wcale nie znaczy, że racje tego sporu rozłożone są symetrycznie. Jak wiadomo, prawda nie leży pośrodku, tylko leży tam, gdzie leży.

Długo jeszcze Polacy nie będą świętować razem swojej niepodległości. Jeden język, dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy. ● **Jarosław Kurski**

AMERYKA SIĘ ZMIENIŁA

Mateusz
Mazzini,
Marta
Błążejowska



FOT. REUTERS/ANDREW KELLY, CRAIG HUDSON, BRIAN SNYDER, RONEN ZVULIN; TIMOTHY A. CLARY/AFP; MICHAEL NAGLE/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES



◀ **NETANJAHU MOŻE SPAĆ SPOKOJNIE.** Wywieszony w Jerozolimie plakat gratulujący zwycięstwa Trumpowi. Prezydent elekt jest zdecydowanie bardziej przychylny władzom Izraela niż Harris. Do tego stopnia, że na końcowym etapie kampanii w Partii Demokratycznej pojawiła się teoria o celowej eskalacji ataków w Gazie, Libanie i na cele irańskie przez rząd Benjamina Netanjahu, by zdestabilizować elektorat progresywny i zwiększyć szanse Trumpa

▲ **BIALI MĘŻCZYŹNI SIĘ ZMIENIAJĄ?** Mężczyzna trzyma gazetę z wynikami. Jedną z największych niespodzianek był fakt, że w porównaniu z poprzednimi wyborami przewaga Trumpa nad Demokratami wśród białych mężczyzn stopniała – z 23 do 20 pkt proc.

◀ **MIASTO TRUMPA NIE CHCE TRUMPA.** Mężczyzna z gitarą na ramieniu idzie oddać głos w lokalu wyborczym w Nathan Straus Elementary School na Manhattanie. Choć Donald Trump jest bardzo silnie kojarzony z Nowym Jorkiem, to w Wielkim Jabłku zdecydowanie wygrała Kamala Harris. W stanie Nowy Jork zdobyła 55 proc. głosów, a na samym Manhattanie – 80 proc., ponad cztery razy więcej niż prezydent-elekt

▶ **EMERYCISĄ ZADOWOLENI.** Zwolennicy Trumpa reagują na wyniki wyborów w czasie wiecu w West Palm Beach na Florydzie. To jeden ze stanów, który w ostatnich kilkunastu latach najbardziej zmienił oblicze. Długo pozostawał tak zwanym swing state. Dzisiaj, głównie z powodu migracji starszych wyborców z północy, to bastion Republikanów – Trump dostał tu 56 proc. głosów



▲ **ROZCZAROWANE CZARNE KOBIETY.** Sympatyczkę Kamali Harris opuszczając noc wyborczą w sztabie Demokratów na kampusie Howard University w Waszyngtonie. To macierzysty uniwersytet obecnej wiceprezydent, jedna z najważniejszych uczelni kształcących głównie czarnych studentów. Czarne kobiety to obecnie najwierniejszy elektorat Partii Demokratycznej – według danych CNN Harris miała wśród nich przewagę 85 pkt proc.



◀ **Z TRUMPEM ZROBIMY DOBRY INTERES.** Walter London, pracownik jednego z banków inwestycyjnych, pokazuje koszulkę z podobizną Trumpa, stojąc w budynku New York Stock Exchange (NYSE). Trump od początku kampanii uznawany był za kandydata lepszego dla biznesu. Na jego zwycięstwo rynki zareagowały pozytywnie – indeksy giełdowe poszły w górę, tak samo jak wartość dolara, ale też kryptowalut, w tym bitcoina

Trump będzie straszny, ale w normie

W AMERYCE WSZYSTKO PO STAREMU

Według Republikanów i Demokratów demokracji grozi upadek w momencie, gdy najwięcej Amerykanów w historii angażuje się w demokrację. Coś tu nie gra

Maciej Jarkowiec



• Rozentuzjasmowani zwolennicy Donalda Trumpa wiwatują na jego cześć podczas wiecu w Grand Rapids w stanie Michigan, 4 listopada 2024 rok FOT. REUTERS/CARLOS OSORIO

1 RP

Wyobraźmy to sobie: facet, a w zasadzie dzieciak lat 20, leży na dachu niskiego budynku z karabinem typu AR15 w dłoniach. Oko na celowniku. Jesteśmy w kilkusetotysięcznym Butler w Pensylwanii, ciepłe lipcowe popołudnie, lekki wiatr. Palec na spuście. Spokojny oddech. Strzał. Pocisk przemierza 150 metrów z prędkością ponad tysiąc metrów na sekundę nad wyschniętym trawnikiem terenów targów rolnych i nad głowami wiecowniców zgromadzonych wokół sceny. Na scenie przemawia były prezydent Donald Trump.

To nie film, lecz rzeczywistość amerykańskiej kampanii prezydenckiej A.D. 2024, ale zatrzymajmy na chwilę taśmę, jak w „Matrixie”, i wyobraźmy sobie, że w czasie podróży pocisku mikropodmuch wiatru nieodczuwalny przez nikogo – ani przez strzelca, ani Trumpa, ani publiczność – minimalnie zmienia trajektorię lotu. Były prezydent nie zostaje trafiony w ucho, tylko w skroń.

Żylibyśmy dziś w innym świecie. Jak napisał jeden z komentatorów: śmierć Trumpa w zamachu wytworzyłaby nieprzewidywalną, być może anarchiczną polityczną próżnię w najpotężniejszym państwie świata.

Kilka miesięcy później, pod koniec października na wiecu Trumpa w Madison Square Garden w Nowym Jorku, jako pierwszy na scenę wychodzi komik Tony Hinchcliffe. „Według demokratów Trump został drażniony w ucho” – mówi. „Według Republikanów – przeżył postrzał w głowę”. Jedno wydarzenie, jeden pocisk, jeden ułamek sekundy i dwie całkiem różne historie, które organizują emocje zwaśnionych plemion w trwającej zimnej wojnie domowej.

12-minutowy stand-up Hinchcliffe’a był koncentratem tej kampanii – pełnej nienawiści, przemocy i rozrywki. Portoryko Hinchcliffe nazwał „wyspą śmieci na oceanie”. Napaść Rosji na Ukrainę „słabym meczem piłkarskim, który nikogo nie obchodzi”. Palestyna i Izrael powinny według Hinchcliffe’a zagrać w kamień papier nożyce, żeby zakończyć wojnę. „Przecież wiadomo, że Palestyńczycy zawsze rzucają kamień”.

Kilkanaście tysięcy ludzi w „The Garden” bawiło się świetnie. Nazajutrz jednak od żartów komika odcięli się Republikanie, łącznie z Trumpem, który zapewnił, że kocha Portorykańczyków. Joe Biden mu nie uwierzył. W jednym z wystąpień powiedział, że w jego rodzinnym Scranton, Pensylwania, wszyscy Portorykańczycy to wspaniali, pracowici ludzie. „Jeśli są tam jakieś śmieci, to zwolennicy Trumpa”.

W nocy z wtorku na środę okazało się, że tych „śmieci” jest o wiele więcej, niż ktokolwiek się spodziewał. Byli i przyszły prezydent odniósł najbardziej przekonujące zwycięstwo w amerykańskich wyborach od 2008, kiedy optymistyczną wizją przyszłości (Yes We Can!) kraj porwał młody senator z Chicago Barack Obama.

Co dalej?

Mówi się: kraj rozerwany na pół, polaryzacja największa od czasów wojny secesyjnej. Nie ma naukowych mierników tego zjawiska. Natężenie polaryzacji szacuje się, obserwując wiece takie, jak ten nowojorski, analizując motywacje zamachowca z Butler, wsłuchując się w melodię wzajemnych oskarżeń: faszyści, zdrajcy, zagrożenie demokracji, zło wcielone, śmieci.

Teściowa mojej siostry, kobieta wykształcona, lekarka rodzinna lat 80+ z Houston w Teksasie, organizuje w swoim domu noc modlitwy w intencji zwycięstwa Trumpa. – Aby nie zapanowało zło i nie zgładziło świata, w którym będą żyć moje wnuki – tłumaczy. Takich jak ona są miliony. Po obu stronach.

Paradoks: największa (rzekomo) polaryzacja od dekad powoduje największą (faktycznie) mobilizację. W poprzednich wyborach prezydenckich i do Kongresu frekwencja biła historyczne rekordy. Tak samo jest tym razem. Czyli: demokracji grozi upadek (według jednych i drugich) w momencie, gdy najwięcej Amerykanów w historii angażuje się w demokrację. Coś tu nie gra.

Nie gra, bo polaryzacja jest zjawiskiem dla demokracji naturalnym. Dodatkowo umacnia ją system dwupartyjny. Polityka dobrej jakości polega na obniżaniu polaryzacji a wzmacnianiu konsensusu społecznego. Lecz w Stanach polityka od zarania naznaczona była ideowym zacietrzewieniem, co nie sprzyja łagodzeniu nastrojów. Konstytucja wykuwała się pośród sporów zagrażających istnieniu państwa już przy jego narodzinach.

Ale została wykuta. Mimo to w drugiej połowie XIX wieku konflikt społeczny przerodził się w wojnę domową, która pochłonęła grubo ponad milion ofiar śmiertelnych. W kolejnym stuleciu polaryzację szacowano, licząc uczestników milionowych marszów przeciw wojnie w Wietnamie albo grzebiąc studentów poległych od kul Gwardii Narodowej w czasie protestów na kampusach.

Dopóki trwała kampania, Trump trzymał Republikanów w szachu. Jednak gdy Trump wprowadza się do Białego Domu, to on staje się zależny od partii. Musi dogadywać decyzje z Kongresem

W roku 2000 polaryzacja była tak wielka, że o zwycięstwie Republikanina George’a Busha Juniora nad Demokratą Alem Gore’em w wyborach musiał decydować Sąd Najwyższy. Umowna połowa narodu nie przyjęła werdyktu do wiadomości i uważała Busha za nielegalnego prezydenta. W popkulturze reprezentował ich dokument Michaela Moore „Fahrenheit 11/9”, który zdobył Złotą Palmę w Cannes, był oglądany przez całą liberalną Amerykę – i otwarcie sugerował, że wybory zostały ukradzione.

Niewiele później druga połowa przyklejała hitlerowski wąż do plakatów z Obamą i krzyczała, że nie urodził się w Stanach, więc nie może być prezydentem. **Prognoza pierwsza:** Choć wydaje się to niemożliwe, polaryzacja się pogłębi. W atmosferze zimnej wojny domowej, przy wrzawie ulicznych protestów, Trump i Republikanie po swojemu będą rozstrzygać kwestie dotyczące aborcji, imigracji, podatków, ekologii, szczepionek, osób niebinarnych i wiele innych. Zanim będzie lepiej, będzie jeszcze gorzej – Demokraci i sprzyjające im media odmalują agendę prawicy w barwach zamachu na wolność i demokrację.

Ponoć żyjemy w erze kłamstwa. Przechwytują się serwery portali prowadzących ewidencję kłamstw szerzonych przez Trumpa: w Ohio imigranci zjadają koty i psy dobrych obywateli. Demokratyczni gubernatorzy chcą zalegalizować zabijanie noworodków. W wyborach 2020 roku, które Trump przegrał, miliony kart do głosowania zostały sfalszowane.

Dezinformacja momentalnie zamienia się w rozrywkę. Pewien youtuber z Republiki Południowej Afryki specjalizujący się w remiksach wykorzystujących głosy zwierząt domowych, wrzuca song o zjadaniu

kotów i psów. Błyskawicznie zbiera 12 milionów wyświetleń.

Trump kłamie na każdy temat – podatków Bidena, pożyczek studenckich, sankcji wobec Rosji, swoich procesów karnych, dostaw insuliny i tak dalej. Jego fanatyczni zwolennicy spod szyldu QAnon wierzą między innymi w spisek handlu organami, którego członkami są George Soros, Hillary Clinton, Michelle Obama (która, uwaga! jest mężczyzną). Wierzą, że Titanica zatopiono celowo, aby powołać do życia bank centralny USA; że Angela Merkel jest córką Hitlera; że COVID można leczyć wyciągiem z cytrusów.

Czy jednak kłamstwo na taką skalę jest czymś nowym? Przez ponad sto lat właściciele plantacji na Południu utrzymywały system niewolniczy przy pomocy złożonych konstrukcji dezinformacyjnych, powołujących się m.in. na Biblię, biologię i filozofię. Dowodziły one niższości ludzi czarnych wobec białych i narzucały białym szlachetny jakoby obowiązek ujarzmienia czarnych i swobodnego wykorzystywania ich do swoich celów.

W wielu regionach kraju w to kłamstwo wierzone przez dekady po zniesieniu niewolnictwa. Tu i ówdzie dobrzy obywatele nadal w nie wierzą.

Według szacunków od czterech do pięciu procent Amerykanów wierzy, że Ziemia jest płaska – nie usłyszeli tego od Trumpa. „Fakt to coś, w co wierzy wystarczający odsetek populacji, a istotność faktu określana jest przez gorliwość wiary” – napisał Charles Pierce w książce „Idiot America. How Stupidity Became a Virtue in the Land of the Free” („Ameryka idiotów. Jak głupota stała się cnotą w ojczyźnie wolności”).

Wiara w bzdury ma w Stanach długą tradycję. Osadnicy, którzy zasiedlali i budowali kraj, byli podatni na fundamentalny przekaz religijny. Zapewniał duchową odskocznię od trudów życia na pograniczu, nie stawiał wymagań intelektualnych. Zapisana w Konstytucji wolność słowa sprzyjała wykwitowi kultów oderwanych od rzeczywistości. Dwieście lat po zdobyciu Zachodu Ronald Reagan, żeby zdobyć głosy religijnej prawicy, zrównał kreacjonizm – pogląd, że świat został stworzony przez Boga – z teorią ewolucji. Dziś, według badań Gallupa, 42 proc. Amerykanów podziela pogląd o powstaniu wszechświata zgodny z doktryną kreacjonizmu. Są wśród nich ważni politycy Partii Republikańskiej.

A kłamstwo polityczne? Przypomnijmy film „Fakty i akty” z 1997 r., w którym prezydencki spin doktor (Robert De Niro) zatrudnia hollywoodzkiego producenta (Dustin Hoffman) i wspólnie fabrykują telewizyjną opowieść o wojnie w Albanii, żeby odwrócić uwagę wyborców od sekskandalu w Białym Domu.

Jak często bywa w Ameryce, fikcja wyprzedziła rzeczywistość. Niedługo po premierze administracja Clintona przeprowadziła bombardowania w Sudanie, według krytyków głównie po to, żeby przykryć afery z udziałem prezydenta i stażystki Moniki Lewinsky.

Można by wzruszyć ramionami i uznać takie oskarżenia za łgarstwa, gdyby nie

fakt, że kilka lat później następny rząd pod wodzą George’a Busha Jr z pomocą służb specjalnych wykreował kłamstwo o broń masowego rażenia w Iraku. Posłużyło do rozpoczęcia wieloletniej wojny, w wyniku której zginęło kilkaset tysięcy ludzi. Przyznajmy, że przy takim rozmachu nawijka Trumpa o zjedzonych przez imigrantów kotach brzmi niewinnie.

Prognoza druga: Trump będzie nadal robił swoje, czyli kłamał jak z nut wtedy, gdy uzna to za konieczne do osiągnięcia celów. Przyczyni się do dalszego rozbudzania emocji, konsolidowania swojego elektoratu w swoistą nową kulturę. Gdy odejdzie, jego wyborcy namaszczą najbardziej radykalnego spośród najbardziej przebojowych Republikanów.

Popatrzcie, jak rozwija się ten tekst: zamach na Trumpa, wiec Trumpa, kłamstwa Trumpa, wyznawcy Trumpa, następcy Trumpa. To naturalne: wygrał wybory, więc na nim się koncentruję. Ale jego fenomen polega na tym, że politycznym królem mediów w Stanach pozostaje od dekady, bez względu na sytuację.

W utrzymaniu uwagi na sobie nie przeszkodziła mu ani banicja z Twittera, któ-

rej padł ofiarą, zanim serwis przejął Elon Musk, ani eksmisja z Białego Domu, jaką załatwili mu wyborcy cztery lata temu. W roli celebryty zadebiutował prawie pół wieku temu jako bohater nowojorskich tabloidów i od tamtej pory szczerdzie oferuje swoje wdzięki. Mówi – proszę, bierzcie mnie, zrobię wam takie show, że słupki oglądalności poszybują pod niebiosa.

Zawsze go brali i nadal biorą. Polityka jest najbardziej dochodową – obok sportu – telewizyjną rozrywką w USA. Gdy Trump wygrywał osiem lat temu, publicysta „New York Timesa” Nicholas Kristof napisał tekst pod tytułem „Nasz wspólny wstyd: jak media pomogły wykreować Trumpa”. Cytował Ann Curry, była prezenterka popularnego programu „Today”: – Trump przychodzi w momencie, kiedy branża medialna nie jest pewna o swoją finansową przyszłość. Potrzebujemy go, jak heroinista potrzebuje działka.

W tym roku dostarczył towar najwyższej jakości. Jego zachowanie w czasie nieudanego zamachu w Butler przejdzie do historii jako ikoniczny obraz pierwszej połowy XXI wieku. Łapie się za ucho, chowa za pulpitem, chwilę później wstaje, woła do agentów, żeby dali mu buty, które zgubił, gdy przykryli go swoimi ciałami, wzuwa je, wstaje, ponad głowami ochrony z krwią na twarzy unosi pięść w górę i krzyczy: „Fight, fight, fight”. Instynkt showmana i wodza nie opuszcza go w najbardziej dramatycznym momencie zagrożenia życia.

Harris przegrała między innymi dlatego, że nie potrafiła odwrócić od niego uwagi. Zyskiwała przewagę w sondażach tylko na początku, gdy zadziałał efekt świeżości. Niósł ją entuzjazm po rezygnacji Bidena i pojawieniu się nowej kandydatki. Później popełniła polityczne samobójstwo – zamiast o sobie, mówiła tylko o Trumpie. Trump faszysta, Trump zagrożenie, Trump

nieudacznik i tak dalej. Odegrała rolę drugoplanową w jego przedstawieniu.

Słyszymy, że to postpolityka – kiedy medialne polityczne igrzyska, jak w „Faktach i aktach”, przysyłają merytoryczną debatę i realne działania polityków. Znów: nic nowego. Polityka zawsze była postpolityką. Prasa, która jakoby traci dziś niezależność przez tępe odzwierciedlanie polaryzacji i okopanie się w politycznych obozach, narodziła się w Stanach jako narzędzie polityczne. Pierwsze amerykańskie gazety były organami partyjnymi służącymi do promocji konkretnych kandydatów w wyborach.

Z czasem kontent polityczny uzupełniony został o rozrywkowy – celebryci, morderstwa, skandale. Na wielką skalę model ten rozwinął William Randolph Hearst, który stał się inspiracją do powstania postaci Charlesa Foster Kane’a z filmu „Obywatel Kane” Orsona Wellesa. Hearst zbudował imperium prasowe oparte na tabloidach, plotkach, kłamstwach, wyszanych z palca sensacjach. Co piąty Amerykanin przynajmniej raz w tygodniu czytał należącą do niego gazetę.

Jednocześnie na swoich łamach Hearst promował polityków, którzy mu się podobali. Sam miał ambicje zostać prezydentem. W drugiej połowie XX w. jego dzieło mariażu polityki z rozrywką kontynuował Rupert Murdoch – najpierw w Australii, później w Anglii, później w USA.

Media zawsze były spolaryzowane. Dziś rola tych tradycyjnych słabnie, choć pozostaje kluczowa w patrzeniu władzy na ręce i poszukiwaniu prawdy pośród chaosu dezinformacji. Jednak popularność potrzebną do wygrywania wyborów zdobywa się, budując medialną osobowość na wielu frontach, z których najważniejsze stają się te internetowe.

Rozumiał to Obama – jako pierwszy zaprzął internet do walki o rząd dusz. Rozumie to Trump. Z wyrachowania podcina się nawet pod ruchy wyznawców teorii spiskowych, takie jak QAnon. A poparcie takich ludzi, jak car nowych technologii Elon Musk czy największy podkaster celebryta Joe Rogan, pomaga mu bardziej niż Fox News.

Prognostyka trzecia: Media nadal będą cementować polaryzację i wyluskiwać ze świata polityki osobowości zapewniające rozrywkę. Przewaga jest po stronie Republikanów. Trump, Musk, J.D. Vance to superwprawni showmani. Demokraci nie potrafią zapelnąć próżni, jaka powstała po odejściu Obamy. Harris przegrała wybory, bo była nudna. Młoda lewicowa flankę spod brandu Alexandrii Ocasio-Cortez przypomina naszą partię Razem – zapalem ideowym nie da się nadrobić braków w autopromocji i autokreacji.

Partię Demokratyczną czeka wielkie poszukiwanie nowych gwiazd.

Prognostyka czwarta: nie nastąpi żaden koniec liberalnej demokracji w Stanach, co wieszczą niektórzy.

Ameryka przetrwała wojnę domową, choć w dniu jej wybuchu była państwem liczącym mniej niż sto lat. Dziś instytucje są silniejsze, dowodem na to były pierwsze rządy Trumpa. Owszem, w nocy z wtorku na środę kraj skrzył mocno w prawo. Republikanie mają dziś Białe Domy, Kongres, Sąd Najwyższy. Ale nie oznacza to, że system *check and balances* zostaje anulowany. Nie oznacza to, że sądy tracą niezależność. Albo że generałowie postradali zmysły i Pentagon – czym straszy się tu i ówdzie – pomoże Trumpowi wprowadzić rządy autokratyczne.

W czasie kampanii wyborczej to Trump trzymał Republikanów w szachu – partia jest od niego zależna, bo to on w cuglach wygrywa prawyboje. Jednak gdy Trump wprowadza się do Białego Dому, dynamika się odwraca. Teraz to on jest zależny od partii. Musi dogadywać część decyzji z Kongresem. Kongres może go też usunąć w drodze impeachmentu.



DONALD TRUMP

295

KAMALA HARRIS

226

Jeśli wykona zbyt jednoznaczne ruchy w kierunku autokracji, będzie próbował ataku na instytucje, zdroworozsądkowa flankę republikańskiego establishmentu (która wbrew obawom nadal istnieje) może porozumieć się z Demokratami i go usunąć, tak jak miało to miejsce w przypadku Nixona.

Oprah Winfrey wołała do widzów, aby głosowali na Harris, bo w przeciwnym razie może się zdarzyć, że nigdy więcej nie będą mogli głosować. Czy naprawdę wierzy w to, że amerykańska demokracja jest tak słaba, aby mógł ją rozmontować jeden populistę? W strachu przed Trumpem pobrzmiewa wątpliwość społeczeństwa w państwo, jego tradycje, prawa i instytucje. Widać to w sondażach, w których z roku na rok spada wiara badanych w Amerykę, jej przyszłość i możliwość wpływania na świat.

Jednym z powodów jest trwający proces demitologizacji. Przepisywana jest historia stosunków rasowych czy zdobycia Zachodu. Gdy mity kruszeją i kraj coraz odważniej przyznaje się do zbrodni, na których został ufundowany, odruchem części społeczeństwa jest bunt. Stąd tak wysoka temperatura dzisiejszych wojen kulturowych.

– Nie mam szans na rolę, bo najpierw biorą czarnych – słyszę od sfrustrowanego aktora w Los Angeles.

– Nie można się już nawet cieszyć Wielkim Kanionem, bo ponoć zrabowaliśmy go Indianom – narzeka ktoś inny.

Trump przytula swym przesłaniem te frustracje. Ale o tym, że kraj już nigdy nie będzie taki sam, wiedzą podświadomie nawet jego zwolennicy. Demitologizacja, choć nie obywa się bez ofiar i stwarza szanse dla populistów, jest rozpisanym na dekady, a może stulecia, procesem prowadzącym do celu zapisanego w dokumentach założycielskich – stworzenia prawdziwej ojczyzny wolności dla wszystkich.

Ten cel może nigdy nie zostanie osiągnięty, ale liczy się dążenie. Trump jawi się jako hamulcowy tego dążenia. Jednak nie ma mocy go zatrzymać.

Świat, do którego się odwołujemy, mówiąc o amerykańskim przywództwie na planecie, trwał bardzo krótko – jedną dekadę lat 90. Przed II wojną to mocarstwa europejskie na czele z Wielką Brytanią rządziły planetą. Po wojnie, owszem, nastąpił wzlot potęgi amerykańskiej, ale przez długie dekady rywalizowała ona z potęgą radziecką, a rozstrzygnięcie tego pojedynku nie było pewne.

„Zbyszek [Zbigniew Herbert] jest ostatnio pod wpływem Kisiela, więc zapewnił mnie, że nie tyle pokój, ile brak starcia potrwa jeszcze około pół wieku, po czym Rosja osiągnie taką przewagę gospodarczą, militarną, a nawet moralną nad Ameryką, że należy liczyć się ze zwycięstwem rosyjskiej koncepcji świata” – to dziennik Leopolda Tyrmanda, rok

1954. To Sowieci pierwsi wysłali człowieka w kosmos. Aż do przyjścia Reagana utrzymywali przewagę militarną.

Świat jednobiegunowy zaistniał na krótko po upadku ZSRR i zniknął w dniu 11 września 2001 r. Jednak pozostałością po drugiej wojnie i zimnej wojnie jest militarna obecność USA na całej planecie. W Europie stacjonuje dziś prawie 100 tys. amerykańskich żołnierzy, z czego 10 tysięcy w Polsce. Czy straszący amerykańskim izolacjonizmem naprawdę wierzą, że marines będą leżeć na pryczach i oglądać w telewizorach, jak Putin poszerza swoje wpływy w naszym regionie?

Podporządkowanie sobie Ukrainy przez Rosję byłoby klęską Trumpa. A Trump niczego nienawidzi bardziej niż przegrywać. Uzasadnione są obawy Ukraińców, że za cenę zakończenia wojny Trump pójdzie na układ z Moskwą i będzie namawiał Kijów do ustępstw terytorialnych. Lecz wszystko wskazuje na to, że na taki układ poszłaby prędzej czy później również administracja demokratyczna. Zwolennicy takiego rozwiązania są w obu partiach. Popiera je znaczna część amerykańskiego społeczeństwa.

Dla Polski Trump oznacza kontynuację naszego sojuszu z USA. Jego przemówienie na placu Krasińskich w Warszawie w 2017 r. było bardzo podobne do tego, jakie kilka lat później wygłosił Joe Biden. Artykuł 5 traktatu NATO gwarantujący nasze bezpieczeństwo został w nim potwierdzony.

Prognostyka piąta: Ameryka Donalda Trumpa pozostaje częścią Zachodu i gwarantem bezpieczeństwa Polski. Wizja nowego autorytarnego świata z udziałem USA jest fałszywa. Trump nie wyprowadzi USA z NATO.

Nie tylko dlatego, że potrzebowałby zgody 2/3 Senatu, której mieć nie będzie. Również dlatego, że jego sojusz z Putinem, Kimem, Chinami i ajatollahami uniemożliwia geopolityczną układankę interesów. Co więcej – byłby on sprzeczny z tak zwanymi amerykańskimi ideałami, których Trump – przynajmniej deklaracyjnie – też jest wyznawcą.

USA dokonywały zbrodni w swej historii i dziś przyczyniają się do zbrodni, zbrojąc Izrael. Ale w swych teoretycznych założeniach misja USA jest misją moralną. Jako jedyny kraj świata Ameryka została powołana do życia, żeby szerzyć wolność i demokrację. Gdyby otwarcie temu zaprzeczyła, zlikwidowałaby swój najważniejszy mit. Przesłababy istnieć jako idea i prawdopodobnie jako kraj. ●

● „Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-eseistyczna, w której autor płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie.

● „Na bulwarach czyhają potwory” – podróż przez filmową historię Ameryki, gdzie zaciera się granica między rzeczywistością a fikcją. Hollywood kształtuje zbiorową wyobraźnię i jest kluczem do zrozumienia USA.

● „Powróć jako piorun. Krótka historia Dzikiego Zachodu” – jak ba rowy zabijaka, buntownik żyjący poza systemem, aktor, celebryta stał się głosem indiańskiej rewolucji? Opowieść o losie amerykańskich Indian i ciemnych stronach amerykańskiego mitu.

● Wszystkie książki Macieja Jarkowca dostępne na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booków i audiobooków na Publio.pl.



– Nie mam szans na rolę, bo najpierw biorą czarnych – słyszę od sfrustrowanego aktora w Los Angeles. – Nie można się już nawet cieszyć Wielkim Kanionem, bo ponoć zrabowaliśmy go Indianom – narzeka ktoś inny

Dlaczego Trump wygrywa

USA PRZESTAJĄ BYĆ DEMOKRACJĄ LIBERALNĄ

– Ale zamiast winić o to wyłącznie trumpistów, warto uznać, że wszyscy jesteśmy współodpowiedzialni – mówi Fareed Zakaria, amerykański publicysta, który jako pierwszy zapowiedział nadejście „nieoliberalnej demokracji”.

Martin Bernier

LE FIGARO

Fareed Zakaria, jeden z najbardziej rozpoznawalnych publicystów Ameryki, znany m.in. z CNN i łamów „Washington Post”, jako pierwszy użył terminu „nieoliberalna demokracja”, w książce „The Future of Freedom” z 2003 r. Jego najnowsza, tegoroczna książka nosi tytuł „Age of Revolutions: Progress and Backlash from 1600 to the Present”.



W przeddzień wyborów prezydenckich i do Kongresu Stany Zjednoczone wydawały się bardziej podzielone niż kiedykolwiek. Donald Trump nazywał Kamalę Harris i jej zwolenników „wrogami wewnętrznymi”, z kolei kandydatka Demokracji otwarcie uznała Trumpa za fałszywą. Co to mówi o stanie dzisiejszej amerykańskiej demokracji? Martwi to pana?

– Jak można się nie martwić? Stany Zjednoczone są faktycznie najbardziej spolaryzowane od czasu wojny secesyjnej. Jeśli się nad tym zastanowić, to wprost nie do wiary, że osiągnęliśmy dziś taki poziom politycznego podziału jak w połowie XIX w. Zwłaszcza że amerykańskie wybory były w ostatnim ćwierćwieczu bardzo wyrównane. W 2000 r. rywalizacja G.W. Busha z Alem Gore’em rozstrzygnęła się dokładnie 537 głosami na Florydzie. A 24 lata później jest niewykluczone, że wybory zostaną rozstrzygnięte kilkoma tysiącami głosów w kraju liczącym 340 milionów mieszkańców.

Dzieje się tak dlatego, że jesteśmy podzieleni w kwestiach kulturowych, w których bardzo trudno o kompromis. W kwestiach gospodarczych, nawet jeśli jedna strona chce wydać 100 miliardów dolarów, a druga nie chce wydawać ani centa, zawsze w końcu można dojść do jakiegoś porozumienia. Natomiast kwestie takie jak imigracja, tożsamość, wielokulturowość, aborcja i prawa osób LGBT są sprawy o znaczeniu egzystencjalnym, poprzez które ludzie definiują samych siebie. Pokrywają się one z dylematami moralnymi. A ludzie nie chcą, nie potrafią iść na kompromisy z poczuciem własnej cnotliwości. Dlatego zamykają się w logice partyzantkiej, w której nie da się już zakładać, że druga strona ma po prostu inne idee polityczne – w tej logice druga strona to wrogi republik.

Ta polaryzacja nie opiera się już, jak kiedyś, wyłącznie na klasie i rasie, ale bardziej na poziomie wykształcenia i na płci. Jak wyjaśnić tę zmianę i czy taki podział będzie się utrzymywał?

– Znajdujemy się w fazie głębokich zmian, które wpływają nie tylko na Amerykę, ale na cały świat zachodni. Wszędzie obserwujemy ten sam trend: podział warunkowany przez sytuację ekonomiczną przesuwają się w kierunku kwestii społecznych: miasto kontra prowincja, religijni kontra świeccy, biali kontra wieloetniczni. Do tego dochodzi kwestia płci.

To można wyjaśnić tym, że po dziesięcioleciach wzrostu gospodarczego, bez żadnej poważnej rewolucji społecznej lub powszechnej wojny, ludzie przesunęli się swojej masie w górę w hierarchii potrzeb – opisywanej przez piramidę Masłowa – do kwestii post-materialnych. W erze polityki post-materialnej tożsamość polityczna nie jest już definiowana po prostu przez status ekonomiczny, czyli ile pieniędzy zarabiasz, ale przez to, kim jesteś: mężczyzną, kobietą, czarnym, białym, gejem itp.

Do tego dochodzi fakt, że przechodzimy przez okres ogromnych i bardzo szybkich przemian cywilizacyjnych. Niektóre z nich są dla opinii publicznej słabo widoczne, takie jak rozwój gospodarki cyfrowej i globalizacja kapitału; inne przeciwnie, aż do przesady ogniskują jej uwagę. A jednym z najbardziej widocznych zjawisk jest imigracja.

Wszędzie prawicowy populizm jest napędzany przez przepływy migracyjne: we Francji, Włoszech czy Szwecji. Jeszcze w latach 70. w tym ostatnim kraju odsetek obywateli urodzonych za granicą wynosił 2 proc. Dziś jest to 24 proc. To zresztą znacznie więcej niż w Stanach, gdzie ten odsetek to ok. 15 proc. Większość ludzi wciąż nie do końca zdaje sobie sprawę, że cały Zachód stał się de facto wielokulturowy i wieloetniczny, i to w tak krótkim czasie. I to z pewnością spotka się z dalszą reakcją społeczeństw.

Najlepszym sposobem na zrozumienie skali wpływu tego zjawiska jest dostrzeżenie, że jedynym zaawansowanym krajem przemysłowym, który nie doświadczył jeszcze prawicowego populizmu, jest Japonia. Jednak Japonia cierpi na dokładnie wszystkie problemy zaawansowanego społeczeństwa przemysłowego – za wyjątkiem imigracji.

Czy to nie paradoks, że w USA, kraju imigrantów, nawet czarni i latynosczy mężczyźni są coraz bardziej skłonni popierać Trumpa, który ledwo skrywa swój rasizm i chce deportować miliony imigrantów do krajów Ameryki Łacińskiej?

– To prawda, że Ameryka jest krajem imigrantów, ale jest to również kraj, który od dawna prowadzi surową politykę antyimigracyjną. Ostatni raz widziano tu tak wysoki odsetek nowych imigrantów w latach 90. XIX w. Po 1890 r. nastąpił ogromny sprzeciw wobec polityki szeroko otwartych drzwi, a od 1924 r. wprowadzono już bardzo surowe kwoty, zezwalając na swobodny wjazd do kraju tylko białym Euro-

pejczykom z Europy Zachodniej – co, nawiasem mówiąc, nie obejmowało nawet Włochów. Przez następnych 40 lat, do 1965 r., Stany Zjednoczone konsekwentnie stosowały te bardzo surowe limity w celu ograniczania imigracji.

Jeśli czarni i Latynosi głosują na Trumpa, to po pierwsze dlatego, że działa mechanizm mający długą tradycję: imigranci, którzy już okrzepili w nowym kraju, są przeciwko przyjmowaniu kolejnych fal migracyjnych – np. Irlandczycy i Włosi, którzy osiedli w Stanach w pierwszej połowie XX w., często i szybko stawali się zagorzałymi zwolennikami polityki antyimigracyjnej.

Należy jednak dodać drugie wyjaśnienie. Wielu czarnych i latynoskich mężczyzn czuje się znacznie bardziej komfortowo z tradycyjną wizją męskości, której broni Partia Republikańska – wystarczy pomyśleć o Hulk Hogan, który tak na-



Pokusa, aby chodzić w polityce na skróty, oznacza odmowę poddania się przejrzystemu procesowi w celu uzyskania pożądanego rezultatu. Nie tylko podważa to liberalizm, ale przede wszystkim wywołuje coraz ostrzejszą reakcję zwrotną

miętnie agitował podczas Narodowej Konwencji Republikanów, że aż podarł swoją koszulę. Z kolei Partia Demokratyczna stawia już na wizerunek mężczyzny, który pomaga wychowywać dzieci, wykonuje prace domowe, jest wrażliwy i nie wstydi się płakać. Biorąc pod uwagę wciąż silne kulturowe wzorce społeczności bardziej konserwatywnych i obyczajowo tradycyjnych, trudno się dziwić, że wielu mężczyzn czuje się bardziej komfortowo z republikańską wersją płciowych ról społecznych.

W 2016 r. Trump, milioner, który odziedziczył swój majątek, przedstawiał się jako kandydat białej klasy robotniczej, który broni jej interesów. Ale pomimo wszystkich posunięć na korzyść tego elektoratu, Partii Demokratycznej nie udało się go odzyskać. Czy to oznacza, że gospodarka nie ma już znaczenia dla decyzji wyborczych Amerykanów?

– Kiedy zapytać Amerykanów, zawsze mówią, że gospodarka jest dla nich bardzo ważna. Ale w rzeczywistości interpretują stan gospodarki w tak dobrych kategoriach, by usprawiedliwić własny wybór, dokonywany z innych powodów. Widzieliśmy, co wydarzyło się w 2016 i 2020 r.: w chwili wyboru Trumpa wszyscy republikanie, którzy twierdzili, że gospodarka była w fatalnym stanie pod rządami Obamy, nagle zmienili zdanie. A demokraci, którzy twierdzili, że gospodarka była w świetnej kondycji pod rządami Obamy, nagle zaczęli mówić, że jest w ruinie.

Każdy interpretuje dane ekonomiczne zgodnie z własnymi uprzedzeniami. Jak inaczej wyjaśnić paradoks, o którym pan wspominał? Joe Biden naprawdę zrobił więcej, by pomóc Amerykanom z klasy robotniczej, niż jakikolwiek prezydent w historii USA. Zatrudnienie w przemyśle wytwórczym, zatrudnienie pracowników fizycznych rosło znacznie mocniej i szybciej niż za rządów Trumpa, szczególnie w stanach, w których znaczna większość populacji nie ma wyższego wykształcenia. A jednak nie głosują oni na Demokracji, albo głosują na nich coraz rzadziej. Kamala Harris według szacunków otrzymała prawie 10 proc. mniej głosów niewykształconych białych niż Biden w 2020 r., mimo że Demokraci spędzili ostatnie cztery lata, wydając setki miliardów dolarów na ten elektorat.

Ci wyborcy mogą być traktowani przez wielu lewicowych komentatorów jako ludzie popełniający błąd poznawczy. Nie sądzę jednak, by tak było. Ludzie po prostu głosują zgodnie ze swoimi wartościami.

Co więcej, ludzie lepiej wykształceni i wyżej sytuowani w hierarchii społeczno-zawodowej robią to samo: wielu z nich skorzystałoby ekonomicznie bardziej na polityce Trumpa, który chce obniżyć im podatki – ale większość głosuje na Demokracji. Z innych niż ekonomiczne powodów.

Jest pan autorem, który ukuł termin „nieoliberalna demokracja”. Kto odpowiada za to, że USA przestają być demokracją liberalną?

– Niestety, obie strony politycznego spektrum. Bo czym jest liberalna demokracja? To system, który jest bardziej zainteresowany przestrzeganiem procedur i zasad niż samymi wynikami wyborów. W tym systemie wolimy wierzyć w wolność słowa, niż wskazywać: „to jest jedyna prawda”. Wolimy wierzyć w instytucję wyborów, niż mówić: „wiemy, kogo należy wybrać”. Tak długo, jak instytucje i procedury są uczciwe, akceptujemy, że wyniki są takie, jakie są.

To, co groźnego dzieje się zarówno na prawicy, jak i na lewicy, polega na tym, że ludzie tracą cierpliwość i rosnie ich gotowość do przeskoczenia, pominięcia ważnych punktów procesu politycznego. Prawica chce „ulepszyć” instytucje, a jeśli trzeba, nawet je zastraszać, byle



osiągnąć od ręki pożądaný rezultat. Jeśli Trumpowi nie spodoba się to, co robi Rezerwa Federalna, powie: „Zwolnijmy tych ludzi i wsadźmy tam kogoś, kto po prostu obniży stopy procentowe”. Jeśli nie spodoba mu się decyzje sądów, mianuje takich sędziów, którzy zrobią to, czego oczekuje.

Demokraci zaczynają się kierować podobną logiką. Np. widząc, że w Ameryce nie ma wystarczającej równości rasowej czy równouprawnienia płci, chcą obejść system oparty na pewnych ustalonych zasadach, aby przeforsować tę równość. Na przykład narzucając parytety na niektórych stanowiskach.

Ja się tego obawiam, ponieważ jest to zasadniczo nieliberalne. Pokusa, aby chodzić na skróty, oznacza odmowę poddania się przejrzystemu procesowi w celu uzyskania pożądanego rezultatu. Nie tylko podważa to liberalizm i liberalną demokrację, ale przede wszystkim wywołuje coraz ostrzejszą reakcję zwrotną.

Tymczasem wyzwaniem stawianym nam przez liberalną demokrację jest właśnie zaakceptowanie faktu, że nawet jeśli szanujemy procesy i instytucje, nie zawsze uzyskamy pożądaný rezultat. I trzeba być przygotowanym na to, by z tym żyć.

Duża część republikańskich wyborców była gotowa zakwestionować wyniki wyborów, a niektórzy obserwatorzy mówią o atmosferze „przedwojennej” w USA. To przesada?

– Nie sądzę, by Ameryce w najbliższej przyszłości groziły starcia na ulicach, choć lokalnie może dochodzić do przemocy na niewielką skalę.

Czy widzi pan jakieś remedium na rosnącą polaryzację w Ameryce?

– Nie ma prostych rozwiązań. Przede wszystkim większość społeczeństwa musi umieć dostrzegać, że w ciągu ostatnich 50 lat dokonała się nie jedna, ale wiele rewolucji. Biorąc pod uwagę skalę tych zmian, musimy uważać, aby nie posuwać się za daleko zbyt szybko – i zrozumieć, że to społeczeństwo jako całość musi przetrwać te zmiany. Do tego potrzeba czasu. Jeśli ludzie sprzeciwiają się nielegalnej imigracji, to nie dlatego, że wszyscy są rasistami, tylko dlatego, że czują się wyobcowani i nie nadążają za tym, co dzieje się z krajem, w którym dorastali.

Po drugie, musimy unikać strategii nieliberalnych, które rosną również na lewicy. Równości nie można narzucić ani zadekretować. Trzeba do niej przekonać.

Na lewicy, zarówno w Ameryce, jak i w Europie, zawsze istniały tendencje jacobinińskie. To niedobrze, po pierwsze dlatego, że instytucje zawsze muszą być szanowane, a po drugie dlatego, że wyrządza to lewicy niedźwiedzią przysługę.

Wystarczy spojrzeć na to, jak bezproduktywne okazały się pozwy przeciwko Trumpowi. Po przegranych wyborach w 2020 r. Trump mógł się już nie podnieść, Republikanie stracili większość w Senacie, wybory w połowie kadencji poszły źle dla Partii Republikańskiej, a w szczególności dla frakcji Trumpa. Popularność Trumpa stała się spadającą – dopóki Demokraci nie zaczęli wytaczać mu procesów, często na wątpliwych podstawach prawnych. Atakując go, w końcu przekonali jego bazę, że jest prześladowany i że oni sami, pośrednio, są prześladowani przez tych wielkomiejskich, zaradumiałych liberalów, którzy rządzą krajem. W ten sposób Demokraci poniekąd stracili swój potężny argument – przestali być wiarygodni w twierdzeniu, że Trump jest nieliberalny, ponieważ sami użyli niekonwencjonalnych środków, aby go zaatakować.

Liberalizm to delikatny system, musimy być bardzo ostrożni, aby go nie nadkruszać. To może brzmieć naiwnie wobec triumfu Trumpa, ale najwyższy czas, by zabrać się za jego ocalenie, zaczynając od naszych własnych głów. ●

Po co szukać porozumienia

Polaryzacja grozi śmiercią

Ludźkość pogrąży się w nienawiści do przeciwników politycznych. Na własną zgubę. Ale jest nadzieja.

Robert Stefanicki

Tygodnik „The Economist” z pomocą naukowców z Uniwersytetu w Lozannie przeanalizował ankiety robione na przestrzeni 60 lat (1961-2021) w 50 krajach na temat stosunku wyborców do partii, które popierają oraz ich rywali. Ogólny wniosek: polaryzacja polityczna – niechęć wobec przeciwników – rośnie. Ostatnio najwyższa jest na Węgrzech pod rządami Orbana, potem w USA, Polsce i Izraelu.

Od czego to zależy? W dużym zbiorze niełatwo znaleźć klarowne schematy. „Można by się np. spodziewać – pisze „The Economist” – że ludzie w krajach, w których różnice ideologiczne rosną, będą coraz bardziej wściekli na tych drugich, podczas gdy w rzeczywistości bywa odwrotnie. Napływ uchodźców nie wydaje się szerzyć wrogości, ale kultura szcunku dla przeciwników politycznych nie wydaje się jej łagodzić; gospodarki rozwijające się były nie mniej podzielone niż te w stagnacji”.

Wojna zbliża

Ale pewne korelacje udało się wychwycić. Po pierwsze, odczucia negatywne maleją w sytuacji zaniepokojenia wojną. Wyraźnie było to widać w Izraelu, gdzie po ataku Hamasu ucielił spór polityczny między zwolennikami i przeciwnikami rządu Netanjahu. Aczkolwiek na krótko.

Zauważono, że polaryzacja słabnie wraz ze wzrostem wydatków wojskowych, będących wyrazem zaniepokojenia wojną. Nie ma to jednak zastosowania do USA, prowadzących wojny w krajach, które nie stanowią dla nich zagrożenia egzystencjalnego. Wydaje się, że również Polska nie stosuje się do tej reguły, skoro wydatki na armię są u nas tak samo rekordowe, jak nienawiść polityczna.

Dalej: polaryzacja jest powiązana z oceną skuteczności rządu. Gdy wyborcy wierzą, że polityka/rząd tworzy korzyści dla każdego niezależnie od sympatii politycznych, mają cieplejsze uczucia wobec drugiej strony. Natomiast gdy widzą tylko walkę o ograniczone zasoby, wówczas są podatni na narrację podsycającą wrogość. Ponadto jeśli ludzie wierzą w lepszą przyszłość, to mają tendencję do patrzenia na partię z większą sympatią.

Te obserwacje pomagają wyjaśnić, dlaczego inicjatorem „negatywnej stronnictwa” jest prawica, z natury bardziej sceptyczna wobec rządu i lubiąca postrzegać społeczeństwo jako zbiór konkurujących grup. Atakowana lewica nie po-

zostaje dłużna i dyskwalifikuje poglądy swoich krytyków jako bigoteryjne, niemoralne, nieuprawnione. Tak nakręca się spirala nienawiści.

W historii były trzy okresy wzrostu polaryzacji: po 1990 r., gdy dzięki rozpadowi ZSRR zmniejszyło się zagrożenie wojną; po 2008 r., gdy globalny kryzys finansowy obnażył cwaniaństwo i nieudolność elit; i po 2016 r., co można wiązać z kryzysem migracyjnym w Europie i pojawieniem się Trumpa w amerykańskiej polityce – oba te zjawiska były pożywką dla rozkwitu populizmu.

Ameryce warto poświęcić więcej miejsca, bo wyznacza globalne trendy i jest najlepiej przebadana.

Wykres zaufania Amerykanów do rządu w ciągu ostatnich 60 lat przypomina rynek w bessie tak głębokiej, że aż dziw, jak ten kraj jeszcze funkcjonuje. Zjazd zaczął się pod koniec lat 60., gdy trwała nie- możliwa do wygrania wojna w Wietnamie, rozpędził się po aferze Watergate. Przy czym wówczas Republikanie i Demokraci byli raczej zgodni w krytyce rządu.

W negatywnym sentymencie były korekty: za Reagana Republikanie zyskali trochę wiary; za Clintona – Demokraci, a ataki z 11 września 2001 r. ustawiły Amerykanów razem pod flagą niesioną przez zaskoczonego G. W. Busha. Po czym zaufanie do rządu runęło w okolicach kolejnej niepotrzebnej wojny, w Iraku.

Teraz ci Amerykanie, którzy nie zagłosowali na zwycięzcę wyborów, będą go nienawidzić z całych sił i deprecjonować wszystko, co robi. Trump używał jeszcze bardziej nienawistnego języka niż dotąd. Potępił Harris jako „gównianą wiceprezydent” i powiedział, jednym tchem, że jest marksistką i faszystką. Zapowiedział zemstę na tych, którzy go „prześladowali”, nazwał swoich przeciwników „robactwem”.

Biden, który w swoim przemówieniu inauguracyjnym w 2020 r. prawil, że Amerykanie muszą „obniżyć temperaturę” i „postrzegać się nawzajem nie jako przeciwników, ale jako sąsiadów”, tegoroczną kampanię oparł na straszeniu Trumpem-tyranem. Podobnie Harris z początku starała się uderzyć w bardziej optymistyczną nutę, wskazując „okazję, aby wyjść poza gorycz, cynizm i szkodliwe podziały z przeszłości”, ale ponieważ sondaże dalej pokazywały siłę Trumpa, też nazwała go „faszystą”.

Patos rządzi

W swoim kanonicznym opisie retoryki Arystoteles argumentował, że aby być przekonującym, mówca potrzebuje połączenia rozumu (logos), emocji (patos) i charakteru (etos). Dziś patos rządzi polityką, logos i etos trafiły do lamusa.

Zdaniem Myshy Cherry, filozofki z Uniwersytetu Kalifornii, dominującą emocją jest gniew. W dwóch formach: na niesprawiedliwość, która może być realna - jednak ludzie i tak przekierowują swój gniew na kozły ofiarne, np. migrantów. Drugim rodzajem gniewu jest wściekłość ogólna, na każdego, kto nie podziela ich poglądów, a raczej emocji. Tacy wyborcy nie muszą lubić kandydata swojego obozu, ale i tak na niego zagłosują, nawet jeśli niektóre jego propozycje uderzają w ich interesy – żeby tylko „tamci” nie wygrali.

Polityka zawsze była organizowana wokół jakiegoś konfliktu ideologicznego: od optymatów i popularów w starożytnym Rzymie, przez katolików i protestantów w nowożytnej Europie, po dzisiejsze lewactwo i prawactwo. Nie jest też tak, że dawniej ludzie głosowali racjonalnie. Długo robili to wedle podziału klasowego: nieważne, co myślisz, ważne, kim jesteś.

Blisko do poparcia tyranii

Negatywne emocje mogą odgrywać pozytywną rolę. W Polsce pomogły odsunąć PiS od władzy. Ale nie da się na nich trwale budować, są destrukcyjne. Rządzenie wymaga kompromisów, a w warunkach silnej polaryzacji każda inicjatywa rządu jest zakrzykiwana przez drugą stronę jako haniebna, współpraca ponad podziałami potępiana. Nie ma nawet zgody co do faktów, każda strona ma swoją prawdę, konstruktywna debata jest niemożliwa.

Polaryzacja to żyzna gleba dla dezinformacji i teorii spiskowych, bo ludzie są skłonni uwierzyć w największą bzdurę, jeśli potwierdzi ich przekonania. W efekcie mamy społeczeństwo nieradzące sobie z różnicami zdań, wierzące, że demokracja jest możliwa tylko wtedy, gdy wszyscy się z nimi zgadzają. Stąd już niedaleko do poparcia tyranii i przemocy.

W najnowszym „The Nature” Jay Van Bavel, psycholog z Uniwersytetu Nowojorskiego, dowodzi, że polaryzacja jest szkodliwa dla zdrowia. Po pierwsze, politycy w procesie budowy zideologizowanej tożsamości swoich wyborców mogą nakłaniać do niezdrowych zachowań. Podczas pandemii celowali w tym zwłaszcza prawicowcy, uznając szczepienia, maseczki i inne ograniczenia sanitarne za spisek. W efekcie w USA śmiertelność na Covid-19 wśród wyborców Republikanów była o 43 proc. wyższa niż wśród Demokratów. Statystycznie dłużej żyją mieszkańcy stanów z liberalniejszą polityką społeczną (ubezpieczenie Medicaid, wyższe podatki od papierosów, wyższa płaca minimalna i ostrzejsze restrykcje dotyczące broni palnej). Czyli z wszystkim, co się nie mieści w konserwatywnym światopoglądzie.

Po drugie, osoby o skrajnych poglądach mają gorsze zdrowie, także psychiczne. Ponieważ ludzie naturalnie dążą do spójności swoich wzorców myślowych, zideologizowani martwią się nieustannie wieloma rzeczami, które ich bardziej obojętni sąsiedzi nie uznają za zagrożenie. Tak więc mizogin będzie się zamartwiał nie tylko ekspansją feministek, ale również bał się uchodźców, sprzeciwiał polityce klimatycznej oraz ograniczeniu prędkości na drogach. O tym, co ma pier-nik do wiatraka, powiedzą mu politycy i media z jego bańki. W erze polaryzacji to zjawisko przybiera na sile, bo ciągle trzeba wzbudzać silniejsze emocje.

Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne podaje, że obawy o przyszłość kraju stały się najczęstszym źródłem poważnego stresu, wskazało je 77 proc. Amerykanów. Pięć lat temu na szczycie listy były obawy dotyczące opieki zdrowotnej i masowych strzelanin. Można by pomyśleć, że USA za kadencji Bidena znalazły się na skraju wojny albo przechodzą ciężki kryzys, tymczasem gospodarka jest silna, supermocarstwem nikt nie zagraża. W istocie połowa Amerykanów jest w strachu, że „kraj się wali”, bo tak im powiedział Trump, a druga połowa boi się, że kraj się zawali, gdyż Trump wróci do władzy.

„Polityka w krajach demokratycznych jest zainfekowana nie tyle wrogością, co paniką” – ta obserwacja z raportu „The Economist” pasuje do wielu krajów o wysokiej polaryzacji. Gdzie szukać nadziei? Historia pokazuje, że wysoka polaryzacja może osłabnąć. Tak było w Korei Pld. po 2004 r., w Chile od końca lat 90. do początku obecnej dekady, ale także w Czechach w latach 1996-2013 r. i w Szwajcarii od początku XXI w. do wyborów w 2015 r.

Ciekawym przypadkiem jest Wielka Brytania. Niemal wojenne obozy, które utworzyły się wokół brexitu, już się rozpadły, co dało miazdzące zwycięstwo Partii Pracy w ostatnich wyborach. Ludzie, którzy dali się nabrać na fałszywe obietnice prawicowych populistów, przynajmniej w części zrozumieli, że zostali oszukani i stali się skłonni do zmiany sympatii politycznych. Potrzebne było twarde lądowanie.

Pozostaje nadzieja, że nienawiść polityczną da się osłabić bez uderzenia o dno i bez konfliktu zbrojnego, który rzekomo zbliżnia podziały. Może pomóc rząd podnoszący ogólny poziom dobrobytu, a także inicjatywy obywatelskie zasypujące podziały. Trzeba też znaleźć sposoby na wyciągnięcie ludzi z przestrzeni wirtualnej do realnej, gdzie, jak dowiodły inne badania, łatwiej jest o porozumienie z osobami o odmiennych poglądach. ●



TAK, JESTEM GOTOWY ZOSTAĆ PREZYDENTEM

Z SZYMONEM HOŁOWNIĄ, MARSZAŁKIEM SEJMU,
ROZMAWIA BARTOSZ T. WIELIŃSKI

Uważam,
że Polska
potrzebuje
dziś stróża
wewnętrznego
pokoju.

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

W środę 13 listopada minie rok od pierwszego posiedzenia Sejmu wyłonionego w wyborach 15 października 2023 roku. Podczas inauguracji marszałkiem Sejmu wybrany został Szymon Hołownia, lider ugrupowania Polska 2050.

BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Co tam słyhać w Sejmfliksie? Rok po pierwszym odcinku akcja trochę siada...

SZYMON HOŁOWNIA: Początek był dynamiczny, bo przez miesiąc Sejm był jedynym miejscem, gdzie ludzie mogli się przekonać, że w Polsce zadziałała demokracja. Chcieli się w niej wykapać. Ale nie można przez rok żyć w wannie. Z Sejmu w połowie grudnia wyszedł rząd, pojawił się kolejny ważny punkt odniesienia. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Dziś Sejm wciąż budzi ogromne zainteresowanie w porównaniu z tym, co miało miejsce wcześniej. Liczba odwiedzających rok do roku wzrosła o 40 proc. Dziennie przyjmujemy kilkadziesiąt wycieczek. Rośnie liczba wystaw, liczba oglądających sejmowe transmisje jest wysoka. To naprawdę jest inny Sejm niż cztery czy osiem lat temu, przyznaje to nawet opozycja.

Na pierwsze posiedzenie przyszedł pan obkuty z sejmowego regulaminu. Długo się pan przygotowywał?

– Nie. Bo nie wiedziałem, czy tym marszałkiem ostatecznie zostanę. W weekend poprzedzający pierwsze posiedzenie spotkałem się z pracownikami Kancelarii Sejmu, w tym z jej ówczesną szefową minister Agnieszką Kaczmarską. Poinstruowali mnie, gdzie się siada, co się naciska, jak się operuje mikrofonem. Komendant Straży Marszałkowskiej pokazał, gdzie będę przejmował zwierzchnictwo nad strażą, gdzie mam złożyć wieniec. To były takie techniczne sprawy. Samego regulaminu Sejmu nauczyl mnie posłowie PiS. Przez pierwszy miesiąc zrobili mi takie interaktywne korepetycje ze wszystkich możliwych regulaminowych kruczków, że poszczególne artykuły jestem dziś w stanie cytować z pamięci.

Który z posłów PiS pomógł najbardziej?

– Bardzo aktywny był tu poseł Krzysztof Szczucki, w tyle nie zostawał poseł Przemysław Czarnek, czy posłanka Barbara Bartuś.

Wychodzili na mównicę i z czarującym uśmiechem i mówili: „Panie marszałku, proszę respektować prawa opozycji”, nie przejmując się tym, że przez osiem poprzednich lat PiS prawa opozycji w Sejmie na każdym posiedzeniu koleś łamał. Oczywiście było, że chodziło im też o to, by mnie sprowokować, doprowadzić do tego, że polegnę, skompromituję się i będzie to pierwszy z ciosów wymierzony naszej koalicji. Ustaleam to, ustaliliśmy, dziś po wielu zawirowaniach przepływy energii już się chyba w Sejmie ustaliły. Opozycja wie, że ma ze mną nieporównanie lepiej niż miała opozycja, gdy my nią byliśmy parę lat temu. Na każdym posiedzeniu jest co najmniej jedna ustawa zgłoszona przez drugą stronę sali, przez rok rozpatrzyliśmy ich już 12 – podczas gdy podczas całej poprzedniej kadencji rozpatrzono tylko 6 projektów ówczesnej opozycji. Posłowie PiS dopuszczani są do głosu zgodnie z regulaminem, nikt nie wyłącza im mikrofonów, jak marszałek Terlecki po przekroczeniu czasu o sekundę. Tak jak mówiłem: zmianę standardów widzą nawet posłowie PiS i mówią mi o tym.

Sejm mnie fascynuje, bo to jest naprawdę serce demokracji, tak jak rząd jest jej rękoma. Jest fascynującą maszyną, bo tu muszą zawsze współistnieć dwie rzeczy, które lubię najbardziej: dyskusja i działanie. W Sejmie musi być debata i musi być konkluzja, głosowanie. Sejm bez konkluzji zamienia się w studio telewizyjne, a z samą konkluzją jest tylko maszynką do głosowania. Moim zadaniem jest pilnowanie proporcji tych dwóch rzeczy. Sejm nie jest punktem obsługi rządu, egzekutywą którejkolwiek partii politycznej. Ja bardzo poważnie traktuję to, co powiedziałem w moim pierwszym

wystąpieniu: chcę być marszałkiem Sejmu, a nie jedynie któregoś z części sali.

A gdy opozycja wychodzi?

– Ma do tego prawo, Sejm nie takie manifestacje przez ostatnie 35 lat widział. Akurat za ostatnim razem wyglądało to trochę zabawnie, bo posłowie PiS – wyszedłszy – zostali w kuluarach i przyglądali się przez szyby w drzwiach, co dzieje się na sali plenarnej, przywołując u tych patrzących na to z wewnątrz skojarzenia z rybkami podpływającymi do ściany akwarium.

Chyba na drugim posiedzeniu dotarło do mnie, jak potężny na tej sali panuje harmider. Tak, jasne, Sejm to nie kościół, a obrady to nie nabożeństwo, ale hałas był straszny. Pytałem wielu z ponad setki nowych posłów: wy też to słyszycie? Też wam to przeszkadza? Potwierdzili. Zapytałem więc pracowników Kancelarii Sejmu, którzy wspierają mnie w prowadzeniu obrad: czy to jest ten moment, w którym powinienem reagować? Uśmiechnęli się tylko z pobłażaniem. Sejm jest też od tego, żeby ludzie nie atakowali się na ulicach, żebyśmy tu próbowali zarządzać toczącymi się w Polsce sporami. Więc emocje, spory, są czymś normalnym. Na razie radzimy sobie z tym wraz z koleżankami i kolegami z prezydium chyba dość sprawnie.

Ale PiS nadal twierdzi, że jest prześladowany.

– Nie jest. Powtórzę: w poprzedniej kadencji opozycja mogła pomarzyć o tym, by być tak traktowaną. Teraz trzymamy się zasad. Nie ma znaczenia, kto napisał projekt, ważne, czy jest poprawny technicznie, o reszcie zdecyduje Sejm. Nadałem numery druków wszystkim projektom, które spłynęły do łaski marszałkowskiej. Wie pan, że w ubiegłej kadencji 46 proc. projektów zostało zablokowanych już na poziomie marszałka? Traktuję opozycję fair, do tego stopnia, że czasem wkurza to posłów mojej koalicji, którzy pamiętają poprzednie czasy. Robię to jednak z przekonaniem – tak jest bezpieczniejsze dla Polski, Polska potrzebuje dziś nie eskalacji, a deeskalacji, Polska potrzebuje stabilności i pokoju, tak by móc zmagać się z wyzwaniem zewnętrznymi.

A PiS-owski mit męczeństwa i udręczenia? Cóż, tak działa ta ich MaBeNa [maszyna bezpieczeństwa narracyjnego]. Oni nawet gdy mieli Sejm, Senat, prezydenta, spółki Skarbu Państwa, media publiczne, prokuraturę, służby – nadal twierdzili, że są grupą ideowych partyzantów, bohatersko stawiających w lesie opór przeważającym siłom „salonu”. Mam jednak wrażenie, że oni też już ostatnio widzą, że ta narracja coraz słabiej się „kliką”. Są jednak nadal i w Sejmie fundamentaliści tej pozycji. Ostatnio otwierałem w Sejmie wystawę z okazji 40. rocznicy męczeńskiej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Większość obecnych stanowili byli parlamentarzyści PiS. Choć różnią się z nimi w tylu sprawach, to mówiąc o ks. Popiełuszcze, podkreślałem nasze wspólne dziedzictwo. Spotkało się to chyba w sumie z dobrym przyjęciem. Gdy uroczystość się zakończyła, do wciąż włączonego mikrofonu podszedł jednak poseł Antoni Macierewicz i zaczął opowiadać, że dzisiaj też mamy takiego księdza jak Popiełuszko, on się nazywa ksiądz Olszewski, mamy też władzę, które księży tępią, torturują. Jak można stworzyć taką paralełę? Jak można tak upokorzyć księdza Popiełuszkę? Jak można być tak cynicznym, bezczelnym, bez zahamowań? Nie mieści mi się to w głowie.

Rozmawiał pan kiedykolwiek z Macierewiczem?

– Nigdy dłużej, jakieś wymiany zdań na sali. Widzę, że czasem towarzyszą mu na sali ciekawe lektury, którymi zabija czas w trakcie bloków głosowań. Mam wrażenie, że jest to jednak polityk impregnowany na wizerze świata inne niż jego własna, a więc zaburzeniem bilansu energetycznego byłaby próba ewakuowania go z przestrzeni, w której czuje się bezpiecznie, i w której jest chyba coraz bardziej sam. Natomiast wśród po-

słów PiS mam wielu rozmówców. Nie będę oczywiście podawał nazwisk, bo nie chcę rozdawać pocałunków śmierci. Ewidentna zmiana relacji między nami nastąpiła po sprawie Kamińskiego i Wąsika. Do tej pory badali granice, jak się zorientowali, że granice są – odpuszcili. Symboliczny przełom nastąpił zaś jakieś dwa posiedzenia wstecz, gdy pierwszy poseł PiS przyniósł mi do stołu prośbę o pozdrowienie zorganizowanej przez niego wycieczki zwiedzającej Sejm. Do tej pory takie prośby przynosili wyłącznie posłowie koalicji, po drugiej stronie było chyba jakieś embargo. Gdy posłowie PiS zorientowali się, że można, i że nikt ich za to nie ukarze, korzystają z tego częściej, ba – zapraszają mnie nawet do zdjęć ze swoimi wycieczkami. Nigdy nie odmawiam.

A jak się rozmawia z posłem Jarosławem Kaczyńskim?

– Miałem z nim tylko kilka interakcji. Kaczyński parę razy wszedł na mównicę bez żadnego trybu. Poza salą nie rozmawialiśmy nigdy. W lipcu, podczas jedynego jak dotąd zamkniętego posiedzenia, odwoływaliśmy dwie członkinie państwowej komisji ds. pedofilii. Na koniec dyskusji, też bez żadnego trybu, przemówił poseł Kaczyński. Gdy skończył, wszyscy bili mu brawo. Posłanki z mojego klubu przyszły do mnie później i powiedziały, że nie sądziły, że kiedykolwiek będą okłaskiwać Kaczyńskiego. Pierwszy raz widziałem go nie dążącego do podgrzania konfliktu, a szukającego rozwiązania problemu.

Co powiedział?

– Nie mogę powiedzieć. Ale to, co powiedział, przysłużyło się sprawie. Komisja ds. pedofilii po roku kryzysu została odblokowana.

Co zmieniło się w Sejmie w ciągu tego roku?

– Bardzo dużo. Mówiłem już o tym, że nie ma zamrażarki. Wszystkie projekty dostają numer druku. Wszystkie. Sejm marszałek Witek zostawił po sobie aż dziesięć nierozpoznanych projektów obywatelskich, takich pod którymi podpisuje się ponad 100 tys. Polaków. Przeprowadziliśmy je zaraz na początku kadencji. Kolejne dwa, które wpłynęły już za mojej kadencji – „Tak dla CPK” i dotyczący praw zwierząt – będziemy rozpatrywać na bieżąco, jeszcze w tym roku. Fundamentalną zmianą jest świadome wydłużenie procesu legislacyjnego. Uchwalenie ustawy na jednym posiedzeniu Sejmu jest już bardzo mało prawdopodobne. Uchwaliliśmy nową zasadę: tydzień od pojawienia się projektu w obiegu do pierwszego czytania i tydzień od drugiego czytania do głosowania w Sejmie. Ludzie, organizacje, interesariusze mają prawo zapoznać się z projektem prawa, które ich dotyczy, na spokojnie się do niego odnieść.

I wszystkim to pasuje?

– Nie. Stale mam naciski z rządu i innych instytucji: szybko, dawajmy projekt przed posiedzeniem, przemielimy, drugie czytanie, komisja i w trzy dni będziemy mieć ustawę. Zgadzam się na to w wyjątkowych, zwykle terminowych, wypadkach. Zauważyłem już, że proceder: składajmy wszystko, co mamy, we wtorek wieczorem, tuż przed środowym Sejmem, bo akurat jesteśmy w Warszawie, to sobie to napiszemy, kwitnie, ale myślę, że za pół roku i Sejm, i rząd będą już uważały nowy system za naturalny. Dostosują się do niego.

Jedną z fundamentalnych zmian, dostępną od dosłownie tygodnia, jest możliwość konsultowania przez obywateli projektów poselskich i obywatelskich. Mogą to zrobić po prostu logując się przez węzeł krajowy, a więc mObywatela czy bankowość elektroniczną, na stronie Sejmu. Pierwsze projekty są już w konsultacji. To pionierska zmiana na poziomie Europy. Wszystkie te komentarze będą brane pod uwagę w pracach nad nowym prawem.

Kto będzie je czytał?

– Pracownicy komisji i sejmowego Biura Ekspertyz i Oceny Skutków Regulacji. Uwagi od obywateli będą uwzględniane w Ocenie Skutków Regulacji.

Z innych rzeczy: wszyscy mówili też, że nie da się uruchomić w Sejmie przedszkola dla dzieci posłanek i posłów, wcześniej raz na jakiś czas wybuchała w mediach debata, że dzieci są na sali, że dlaczego nie w żłobku czy w przedszkolu. Ale jak miały być, skoro go w Sejmie nie było, a poseł czy posłanka nie jest z Warszawy i nie będzie przecież zapisywał dziecka do przedszkola w mieście, w którym jest dziesięć dni w miesiącu. Punkt opieki nad dziećmi działa od kilku miesięcy. Od 8 do 20. Są panie nauczycielki, jest pełne wyżywienie, miniplacyk zabaw na zewnątrz. Korzystają z tego dzieci posłów i z PiS-u, i z PO, i z Razem – pełna ekumenia i skupienie się na dobru dziecka. Skoro już przy dzieciach jesteśmy: powołaliśmy w Sejmie nową stałą komisję ds. Dzieci i Młodzieży. Uważałem za kluczowe, żeby była w Sejmie taka komisja, która patrzy na legislację oczami tych, którzy najdłużej będą zmagać się z jej skutkami.

Zreformowane Biuro Komunikacji Społecznej robi dużo, by Sejm był po prostu miejscem, do którego chce się przychodzić: jest festiwal filmów dokumentalnych „We are The Sejm”, jest bieg o puchar marszałka Sejmu, był Dzień Dziadka i Babci, co chwila robimy dni otwarte, noce muzeów. Od pracowników Sejmu usłyszałem kiedyś największy komplement: że kiedy wychodzą na miasto, nie muszą chować identyfikatora, że są dumni, że tu pracują.

Ja też przychodzę do tej pracy z przyjemnością. Mieszkam pod Warszawą, mam więc inny tryb pracy niż marszałkowie, którzy bywali tu jedynie 2-3 dni w tygodniu, a teczki do podpisu wożono im do ich rodzinnych stron samochodem. Ja tu jestem codziennie. Rano, zaraz po obowiązkach rodzinnych, przyjeżdżam do „fabryki”, jak niekiedy to nasze miejsce pracy nazywamy, siedzę czasem do 18, czasem do 20, jak trzeba, to i dłużej. Znam ten budynek, ludzi, atmosferę, i gdy jest harmider posiedzenia, i gdy nie ma tu żywego poselskiego ducha. Tu jest też kawał polskiej historii.

Cieszę się, że Sejm nie jest już maszynką do mięsa partii rządzącej, niezależnie od tego, która partia rządy sprawowała. Dzięki temu, że jestem pierwszym od wielu lat marszałkiem nie z PiS i nie z PO, pozwoli przywracamy realny trójpodział władzy. Władza ustawodawcza nie jest mimikrą władzy wykonawczej. To pomieszanie porządków jest rakiem, który toczy polską demokrację. Trzeba uporać się ze wszystkimi jego objawami. Również z tym, że posłowie pełnią funkcje w rządzie. Od tego prędkiej czy później trzeba będzie odejść, w każdej, również mojej, partii. Albo parlament ma funkcję nadrzędną i kontrolną, albo nikt go poważnie nie traktuje, bo połowa posłów to ministrowie i sekretarze stanu. Dla zdrowia demokracji i jej bezpieczeństwa trzeba to rozdzielić.

Kazał pan też usunąć barierki wokół Sejmu. Nie przedwcześnie? W Polsce dochodzi do aktów rosyjskiego sabotażu...

– Nie. Te barierki nie służyły niczemu poza tworzeniem barier między ludźmi a władzą. Barierki, które stały tu ciągiem sześć lat, będą wracać przed każdą większą demonstracją, ale na dobrą, i nie po to, by ochronić posłów, ale by ochronić manifestantów przed przypadkowym nieszczęściem. Sejm to nie tylko arena sporów, to bardzo ważny budynek państwowy, w którym pod szklaną kopułą raz na parę miesięcy zbiera się całe kierownictwo państwa. Chronienie Sejmu w taki sposób, by był bezpiecznym i przyjaznym miejscem, ale też by w razie ataku mógł się obronić, jest naszym wielkim wyzwaniem. Kancelaria Sejmu w ciągu tego roku wykonała wielką pracę, w budżecie na przyszły rok zaplanowaliśmy kolejne wydatki. Musimy mieć systemy sztucznej inteligencji do analizy danych, np. z kamer monitoringu, musimy mieć systemy antydronowe. Budujemy budynek pirotechniczno-bio-

logiczny. Jeżdżę po Europie i słucham o różnych pomysłach Rosjan na destabilizowanie pracy instytucji centralnych. To, co próbują zrobić w Czechach czy na Litwie, będą próbowali i w Polsce.

Co na przykład?

– Wysłać przesyłki, które przechodzą przez powszechnie stosowane metody kontroli pir technicznej, a po dotarciu do adresatów zapalają się albo wybuchają. Dlatego zintensyfikowaliśmy kontrolę, dokładniej przyglądamy się też naszym gościom. Ale nie chcemy Sejmu zamykać. Przychodzono do mnie z propozycją np. budowy plotu od ulicy Wiejskiej. Nie zgodziłem się na to. Musimy zastosować wszystkie możliwe środki elektroniczne, ale nie będziemy odgradzać Sejmu od miasta.

Podczas wyborów 15 października Polacy pokazali wręcz historyczny entuzjazm. Co z niego zostało?

– Trochę zostało. To normalne, że emocje opadają. Jak po przeprowadce do nowego mieszkania, gdy najpierw jest efekt „wow”, a później zaczyna się życie. Dziś w Polsce wciąż jest wiele zmartwień, ale zmieniło się parę fundamentalnych rzeczy: jest więcej przestrzeni do rozmowy, takiego powietrza, władza nie rozkrada państwa. Z badań, które robimy, wynika jednak, że ludzie w życiu publicznym na pierwszym miejscu, i dotyczy to zarówno koalicji, jak i opozycji, dostrzegają chaos. To mnie niepokoi i stanowi potężne wyzwanie, z którym musimy się zmierzyć. Nasi przeciwnicy na tym poczuciu chaosu, niestabilności mogą rozgrywać różnego rodzaju podziały i niszczyć Polskę.

Chaos w jakim wymiarze ma pan na myśli?

– Brak poczucia stabilności, przekonania, że wiemy, w którą stronę idziemy, co jest celem. Od czego odchodzimy, czego nie chcemy – to wiemy. A ku czemu idziemy? Jaka jest ta wizja, za którą mielibyśmy zatęsknić, być dla niej gotowi na wyrzeczenia? Tak, to prawda, przeszliśmy w ostatnich latach nie jeden, a pięć wielkich kryzysów. Wojna. Covid. Kryzys finansowy. Migracyjny. Odczuwalne co chwila skutki zmiany klimatu. Jeżdżę teraz dużo po Polsce: Zambrów, Kraśnik, Pyrzyce, Pleszew, Sokołów, za chwilę Jędrzejów.

Przychodzi mnóstwo ludzi. Mają sporo pomysłów, mnóstwo obaw, zastrzeżeń. 15. Października ludzie poszli tak tłumnie do urn, żeby powiedzieć Polsce: jesteśmy, widzimy, że nie jest łatwo, ale chcemy wziąć odpowiedzialność. Dziś przychodzą i mówią: boimy się, że nasze życie nie idzie w najlepszym kierunku. To jest czerwony alert dla klasy politycznej. Całej.

Bo czasy są niespokojne?

– Bez dwóch zdań. Obawy budzi też jednak to, że „oni się kłócą, a my tu czekamy, aż skończą i zaczną nam pomagać”. Nie dowiedzieliśmy jeszcze reformy ochrony zdrowia na tym naszym pierwszym z czterech okrążeńiu. Nie przywróciliśmy w odpowiednim stopniu sprawiedliwości przedsiębiorcom. Ceny energii wciąż martwią miliony ludzi. Młodzi pytają: gdzie są mieszkania? Co z reformą edukacji? Zaczęła się, ale kiedy da się ją odczuć w szkole? Czasy są niebezpieczne, więc trzeba się zbroić, ale nie można zapomnieć o usługach publicznych, o gospodarce. Mówienie o bezpieczeństwie nie może zaś zmienić się w politykę strachu. To zaszkodzi stabilności Rzeczypospolitej i społeczeństwa.

Nawiązuje pan do przyjętych przez rząd zmian w polityce migracyjnej i zapowiedzi premiera Donalda Tuska o tymczasowym zawieszeniu prawa do azylu?

– W sprawie migracji mam doświadczenie z czasów pracy w organizacjach pozarządowych w krajach, skąd migranci przybywają. Byłem u źródła. Przez ostatni rok jako marszałek w Sejmie, było nie było, druga osoba w państwie, wiele dowiedziałem się o bezpieczeństwie Polski i narzędziach, które ma-



FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Posłowie PiS wychodzili na mównicę i z czarującym uśmiechem i mówili: „Panie marszałku, proszę respektować prawa opozycji”, nie przejmując się tym, że PiS przez osiem lat prawa opozycji w Sejmie na każdym posiedzeniu kołem łamał

my, by je utrzymać. Zdaję sobie więc doskonale sprawę, z jakimi zagrożeniami się mierzymy. Migracja jest elementem tej układanki, tyle że nią nie trzeba straszyć, tylko mądrze i skutecznie zarządzać.

Strategia, którą przygotował wiceminister spraw wewnętrznych prof. Maciej Duszczyk, to merytoryczny dokument. Z politycznych powodów został jednak zredukowany do jednego zdania o czasowym i terytorialnym ograniczeniu prawa do azylu. Zrobiła się z tego wielka opowieść. To czasowe i terytorialne ograniczenie prawa do azylu przewidziane jest nie jako codzienna polityka, a jedna z opcji „atomowych” na sytuację, w której ktoś na przykład przerwie ciągłość granicy RP i wpłynie tu nagle bez żadnej kontroli kilka tysięcy osób. Wszelkie te rozwiązania, również to, nie mogą być jednak wyłączną kompetencją rządu, bo prawo trzeba pisać nie tylko pod nasz rząd, ale też mieć świadomość, że mogą być w Polsce różne rządy. Dlatego należy do tego wprowadzić mechanizm kontroli parlamentarnej. Dlatego dobrze, że rząd już rozpoczął rozmowę w tej sprawie z organizacjami pozarządowymi, taką debatę zorganizujemy też w Sejmie, gdy projekt ustawy do niego wpłynie. To musi być rozmowa o twardych faktach. To nie może być przedmiotem politycznego kuglarstwa. Bo granie zawieszaniem prawa do azylu jako prostym mechanizmem redukcji dysansu poznawczego na zasadzie: najpierw cię przestraszę, a potem przytulę, to droga donikąd.

Absolutnie trzeba budować Tarczę Wschód i umiędzynarodowić kwestię ochrony naszej granicy wschodniej, bo to zewnętrzna granica UE, która powinna płacić za jej ochronę i angażować się technologicznie. Dziś mało prawdopodobne jest to, że Putin zdecyduje się na atak kinetyczny na Polskę. Ale już stara się rozchwiać nasze społeczeństwo, odebrać nam wizję, zredukować nas do strachu i doprowadzić do tego, że staniemy się gorszymi, bo przestraszonymi ludźmi. Jesteśmy dumnym narodem Solidarności. Nie możemy doprowadzić do sytuacji, gdy on wygra wojnę w na-

szych głowach i sercach. A na tym Putin doskonale się zna.

Niekontrolowana migracja nie dotyczy tylko wschodniej granicy Polski, ale całej Europy.

– Dlatego Europa musi wreszcie zrozumieć, że nastały inne czasy. Musi przejąć inicjatywę. Na razie ma ją Putin. Po Afryce zacząłem jeździć kilkanaście lat temu. Pamiętam moje zdziwienie, gdy brałem do ręki gazetę, a tam na okładce zdjęcie rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa w Czadzie albo jakiegoś ich wiceministra obrony w Mali. Fundacja, którą założyłem, ma placówkę w Burkina Faso. Często jeździłem do Wagadugu, dziś na ulicach wiszą tam rosyjskie flagi. To samo w Nigrze, Mali, Republice Środkowoafrykańskiej. W Libii pod auspicjami Rosji działa alternatywny rząd. To ma na celu przygotowywanie potężnej fali migracyjnej, która w odpowiednim czasie napłynie na Europę od południa, by ją zdestabilizować. Druga może przyjść ze wschodu.

Jednak dzięki twardej polityce polskiego rządu presja migracyjna zelżała. Stało się to też dzięki rozmowom z Chinami, bo wysłaliśmy sygnał, że zamknijemy polsko-białoruskie przejście graniczne, przez które idzie część importu z Chin do Europy. Mimo to problem zostaje, bo przecież oni zaraz znajdą sobie jakiś bypass.

Jeżeli Europa będzie dalej próbowała, jak w squashu, rzucane przez Putina kolejne piłki jedynie zbijać, to polegnie. Musimy zacząć zaskakiwać Rosję umiejętnością kooperacji. Tusk miał 200 procent racji, gdy na Westerplatte mówił: „Nigdy więcej samotności”.

Co to oznacza w praktyce?

– Jako wspólnota europejska nie zrobiliśmy nawet 20 proc. tego, co można było zrobić, by ograniczyć migrację w zarodku. Oczekuję od unijnej dyplomacji, że wreszcie zacznie działać jak należy w krajach, które są jej źródłami. Mówię o tym politykom europejskim: informujmy tamtejszych mieszkańców, rozdawajmy ulotki. Każdy kraj ma

swój komunikator i swoje medium społecznościowe. W jednym jest to Telegram, w innym WeChat. Trzeba prowadzić wielką kampanię informacyjną, by ludzie zobaczyli, jak niebezpieczna jest droga do Europy, by nie płacili przemytnikom, a zostali z rodzinami. Przekonać ich, że w Afryce czy Azji mają mimo wszystko lepsze szanse na godne życie niż w jakimś getcie w Europie. Tu potrzebna jest też mądra polityka pomocy rozwojowej.

Powinniśmy poza UE tworzyć centra migracyjne, gdzie ludzie będą mogli składać wnioski o azyl i czekać na ich rozpatrzenie, umówić się z tzw. pierwszym bezpiecznym krajem. Powinniśmy rozwijać programy legalnej migracji, by ludzie nie ryzykowali przeprawy przez Morze Śródziemne czy Puszczę Białowieską. W ten sposób oszczędzimy im mnóstwo cierpienia. Pracowałem w Afryce i wiem, że dla jej mieszkańców decyzja o wyjeździe bywa dramatyczna. Zostawiają groby przodków, które są dla nich, jak i dla nas, świętością. Całe wioski zapożyczają się na to, żeby wyjechał jeden człowiek i przetań szlak. A on często ginie po drodze.

Migracja to po części też i moje doświadczenie, doświadczenie mojej rodziny. Wychowałem się w latach 80. na blokowisku w Białymstoku, gdzie wówczas mieszkaly głównie kobiety. Mężczyźni wyemigrowali. Za lepszym życiem. Mój ojciec uciekł do RFN, siedział dwa lata w obozie dla azylantów. Zaproponowali mu później wyjazd do Australii albo RPA. Nie wyobrażał sobie życia bez rodziny, więc wrócił i poniósł tego konsekwencje. W okolicy wszyscy wyjeżdżali dokładnie według tego samego klucza. Najpierw jechał ojciec, łapał przyczółek i później ściągał dzieci i żonę. To były normalne procesy.

Nie możemy być wobec tego bezbronni ani obojętni. Dzisiaj na granicy wschodniej mamy matki z dziećmi i ludzi potrzebujących pomocy, ale działają również regularne bandy wyszkolone przez Białorusinów, które próbują zniszczyć plot, strzelają, i rzucają ostrymi przedmiotami w żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej. Granica musi być szczelna.

Dziś potrzebujemy takiego przywództwa, które w kraju zapewni pokój wewnętrzny, bo tylko wtedy będziemy w stanie rywalizować i zmagać się z mnóstwem wyzwań z zewnątrz. Czytał pan raport Draghiego, Amerykanie prześcignęły nas, jeśli chodzi o sztuczną inteligencję, Chińczycy – jeśli chodzi o kolejną rewolucję związaną z dekarbonizacją. Prawie 70 proc. produkcji chipów, z których korzysta sztuczna inteligencja, jest na Tajwanie. Co będzie, jeśli zimna wojna między Chinami a Tajwanem zamieni się – nie daj Boże – w gorącą? To może stać się w ciągu kilku lat. Jak wówczas będziemy się rozwijać?

Europa znalazła się w pułapce. Jest jak Nokia, fiński koncern, który swego czasu przespał moment skoku rozwojowego, nie zauważył, że ktoś zaczął robić smartfony. Podobnie Intel, który przegapił, że świat chce procesorów do AI, a nie technologicznych „złotych przebojów”. My nie możemy dziś pakować wszystkich naszych zasobów wyłącznie w mury na granicy i w zarządzanie strachem. Polacy chcą być mocarstwem, nie tylko gonić mocarstwa. Chcą wizji. Rozmachu. Nowej Gdyni. Tego symbolicznego CPK, który musimy wybudować.

Musimy?

– Musimy. Widziałem to sam na badaniach, zaryzykuję że jest dziś w Polsce coś takiego, jak „patriotyzm CPK”. CPK jako wielki port lotniczy musi powstać. Problem jest ze „szprychami” [chodzi o połączenia kolejowe]. W tej sprawie mam inne zdanie niż Donald Tusk i uważam, że robienie tylko słynnego „igreka”, czyli skupienie wielkiego projektu kolejowego na ośiach Warszawa – Wrocław – Szczecin nie wystarczy.

Musimy sprawić, by Polska stała się wielośrodkowa, policentryczna, bo tylko taka będzie bezpieczna. W Czechach jest tylko jedno miasto powyżej 10 tys. mieszkańców, do którego nie dojeżdża kolei. U nas jest ich

prawie 100. Takie komunikacyjne wykluczenie kładzie się cieniem na wszystkim. Nie masz transportu, nie możesz wybrać szkoły ani pracy. Nie możesz zaplanować kariery – tkwisz tam, skąd pochodzisz, no chyba że kupisz szrota z Niemiec. To przekłada się na rozwój ekonomiczny i dietność, jest miarą naszego sukcesu cywilizacyjnego. Słuchałem o tym w Sokołowie, w Łomży, wszędzie, gdzie spotykam się z normalnymi ludźmi, a nie politykami. W politycznej narracji nie słyhać, mówię też o naszej koalicji, wprowadzając konkretami melodii, by to zmienić. Rok temu szliśmy do wyborów, mówiąc, że odsuniemy PiS od władzy. Nie było wiadomo, czy się to uda, ale się udało. Dziś ludzie chcą więcej.

Będzie więcej, jak będzie nowy prezydent.

– Może, tylko jeszcze nie wiemy, kto nim będzie.

Może pan? Jest pan gotowy wystartować?

– Tak, jestem gotowy. Uważam, że Polska potrzebuje dziś stróża wewnętrznego pokoju, bo tylko wtedy będzie gotowa podjąć wyzwania zewnętrzne. Tych też się nie boję, bo w ciągu ostatniego roku radykalnie rozwinąłem działalność dyplomatyczną Sejmu, to nie tylko uczestnictwo w parlamentarnych szczytach NATO czy UE, ale też skrzyknienie grupy polsko-bałtycko-ukraińskiej, której szczyt organizowałem w czerwcu w Białymstoku, to dobre relacje z moimi odpowiednikami z całego świata, prezydentami, ministrami, wpływowymi politykami. Ostateczną decyzję w sprawie kandydowania podejmę w ciągu kilku tygodni. Cenię Sejm, czuję się tu jak ryba w wodzie. Robimy tu naprawdę ważną pracę. Mógłbym przez rok robić ją dalej. Na serio uważam jednak, że tak jak 15.10 Polacy wybrali nie jedną z partii, a współpracę, tak trzeba też na nowo rozdać karty w maju przyszłego roku. Prezydent z PiS to wygrana PiS w 2027 roku. Prezydent z PO to komunikat: „PO przejęła państwo” i błyskawiczny powrót do polaryzacyjnego wahadła, a więc również zapewne wygrana PiS w 2027 roku. Absolutnym priorytetem powinien być dziś dla nas rząd na dwie kadencje.

Wybory zapowiadają się ciekawie, bo wewnątrz PO trwa ostra rywalizacja, a w PiS – co tydzień w grze jest inne nazwisko.

Ale po waszej stronie też jest ciekawie, bo wychodzi na przykład pana polityczny partner, wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, i mówi: „Wspólny kandydat koalicji to Radosław Sikorski”.

– Ja akurat nie słyszałem, że mówił o Sikorskim.

Ale taki towarzyszył temu spin.

– Zapytałem o to Władysława Kosiniaka-Kamysza i poprosiłem, żeby raz jeszcze ogłosił publicznie swoje preferencje i powiedział, czy będzie głosował na Sikorskiego, czy na Hołownię, jeśli będę kandydował. Odpowiedź, którą uzyskałem, nie pozostawia wątpliwości.

Zostało niewiele czasu. Tymczasem w sondażach zdecydowanie prowadzi prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

– W styczniu 2015 roku Bronisław Komorowski miał jeszcze lepsze sondażowe wyniki, badanie TNS OBOP dawało mu nawet 65 proc. poparcia. I wiemy, jak to się skończyło. Andrzej Duda miał wtedy między 12 a 20 proc. Rafał Trzaskowski w 2020 roku pojawił się w grze na miesiąc przed wyborami i potem w sondażach tylko rosło. Dziś przed nim dużo trudniejsze zadanie: szczyt sondażowy ma teraz. Musi utrzymać go przez pół roku. Wybory będą w maju. Jaka będzie realna stawka – zobaczymy pewnie w kwietniu.

Nawet jeśli Trzaskowski zmierzy się z mało znanym PiS-owskim kandydatem typu Tobiasz Bocheński czy Karol Nawrocki?

– Tylko w kampanii prezydenckiej da się w Polsce przejść drogę od pucybuta do milionera. Pod warunkiem, że kampanię rozegra się naprawdę dobrze, tak jak w 2015 roku zrobiono z Andrzejem Dudą. Jeżeli ma się odpowiedniego człowieka, złapie emocje, wywoła społeczną falę. Uważam za prawdopodobne, że – zwłaszcza po zwycięstwie Trumpa – PiS wystawi do gry naszego „małego Trumpa”, Przemysław Czarnka.

Obserwuję go w Sejmie, jest bezkompromisowy, obcesowy, jest mu zupełnie obojętne, co pomyślą o nim ludzie. A jednocześnie jest inteligentny i sprawny retorycznie. Czarnek zmobilizuje żelazny elektorat PiS, odstraszy od partii elektorat centrowy i totalnie zmobilizuje tzw. nasz elektorat. Mdły kandydat PiS sprawiłby, że „nasi” pójdą na wybory albo nie pójdą, bo i tak wszyscy profesorowie i redaktorzy zapowiedzieli, że wygra Trzaskowski, więc w zasadzie można pojechać na grilla. Demobilizacja może być spora. Natomiast Czarnek zadziała na znaczną część naszego elektoratu, jak płachta na byka, bo ludzie pobiegną głosować, byle nie wygrał. Kaczyński zdaje sobie z tego sprawę. Wie, że w wyborach trzeba zmobilizować swoich i zdemobilizować wyborców przeciwnika. Tym bardziej z dużą ciekawością się temu przyglądam.

Kiedy ogłosi pan termin wyborów?

– Żadnych niespodzianek nie będzie. Chcę ogłosić je i zarządzić najbliższej pierwszej daty, która jest w widelkach przewidzianych przez Konstytucję, czyli 6 stycznia. Nie ma sensu czekać dłużej niż to konieczne.

Gdyby zdecydował się pan startować, to zemszczą się na panu decyzje w sprawie ustaw liberalizujących aborcję.

– Dlaczego? Moja partia głosowała jednoznacznie za ustawą o dekryminalizacji [która nie przeszła z powodu braku poparcia PSL].

Ale wcześniej przesunął pan debatę w sprawie projektów ustaw liberalizujących aborcję, by nie robić tego przed wyborami samorządowymi.

– Tak, i dziś już widać, że miałem rację. Po raz pierwszy od 26 lat projekty dotyczące aborcji nie poleciały do kosza w pierwszym czytaniu. Dzięki temu, że daliśmy sobie 30 dni na uzgodnienia, wszystkie projekty poszły do komisji nadzwyczajnej. Wszystkie. Komisja zaczęła działać, zrobiła wysłuchanie publiczne. Zadziały się rzeczy, których do tej pory nie było. Podobnej pracy politycznej nie wykonano wcześniej i dlatego np. upadła ustawa depenalizacyjna.

Natomiast dzisiaj mogę powiedzieć, że jestem ostrożnym optymistą. Uważam, że do końca roku możemy uchwalić ustawę autorstwa Trzeciej Drogi, która jest krokiem do przodu w stosunku do tego, co jest dzisiaj, i dekryminalizuje aborcję. Trwają rozmowy, jest zupełnie inny klimat. Mocno temu kibicuję.

Trzecia Droga chce powrotu do tzw. kompromisu aborcyjnego, który obowiązywał przed wyrokiem Trybunału

Przylębskiej z 2020 roku. Dla środowisk kobiecych to za mało.

– Rozumiem. Jednak trzeba patrzeć realistycznie. To jest maksimum tego, co ten Sejm może uchwalić. Większości dla dopuszczalności aborcji do 12. tygodnia w tym parlamencie nie będzie. Polacy wybrali bardziej konserwatywny parlament, niż sami są. Taka była ich decyzja.

Zdaję sobie sprawę z rozczarowania i gniewu kobiet. Słuchałem go wiele razy, kobiety mi bardzo jasno powiedziały: to są rzeczy, które są dla nas bardzo ważne, musisz to uszanować. I ja to szanuję. Dlatego głosowałem tak, jak zagłosowałem. Z głębokim przekonaniem, że postępuję słusznie.

Jak pan zagłosował?

– Za ustawą depenalizacyjną. Rozmawiałem o tym z wieloma prawnikami, z prawej i z lewej strony. Zagłosowałem tak, mimo mojego konserwatywnego standingu, bo uważam, że państwo nie powinno dodawać ludziom cierpień. Z tych paragrafów ściga się w Polsce ludzi z donosów. Dziewczyna stała przed dramatycznym wyborem: zamaż pigułki na swojego chłopaka. Ktoś składa donos. On ma sprawę, wyrok, jako karany traci pracę. Naprawdę? Nie tak powinno to wyglądać. Jeśli chcemy, żeby w Polsce było mniej aborcji to potrzebna jest darmowa

Na Zachodzie to partie konserwatywne wprowadziły w życie zmiany obyczajowe i okazało się, że świat się nie zawalił. A u nas konserwatyści boją się, że przez to stracą wyborców.

– W Polsce mamy inne społeczeństwo i nie ma co się na nie obrażać. Z badań wynika jednak, że Polki i Polacy w sprawie aborcji odrzucają dwie skrajne narracje, najbardziej emocjonalne hasła. Z jednej strony, że aborcja to przeprowadzane z zimną krwią „morderstwo”, a z drugiej strony, że jest „okej”. Jako społeczeństwo koncentrujemy się na kobiecie, na cierpieniu, na dramacie. Widzimy człowieka. Nie tylko w tym obywatele są u nas dużo mądrzejsi niż politycy. Dlatego jestem zwolennikiem referendum w sprawie aborcji, uważam, że klasa polityczna w Polsce utraciła moralne prawo do zajmowania się tym tematem.

Ale referendum nie dotyczy tematu, tylko jest politycznym plebiscytem: jesteś za rządem czy przeciwko.

– W takim razie czym będzie głosowanie w Sejmie nad liberalizacją aborcji? Dość kładnie tym samym. W tej sprawie politycy nie dają rady, trzeba dać zdecydować ludziom. Wtedy politycy będą mieli związane ręce i to wszyscy, niezależnie poglądów.

Propozycja PSL, że związki partnerskie będzie można zawierać nie w urzędzie stanu cywilnego, a przed notariuszem, jest nie do zaakceptowania. Jeżeli tak by miała wyglądać ustawa o związkach partnerskich, to składałbym poprawkę w tej sprawie

antykoncepcja i edukacja seksualna. Państwo powinno być blisko kobiet stających przed takimi decyzjami, z realnym wsparciem, a nie z prokuratorem dla ich bliskich. Wierzę, że ta ustawa wyjdzie z Sejmu.

Co robi z nią prezydent? Niestety – pewnie zawetuje. Andrzej Duda bierze to na siebie, ale ludzie jasno nam powiedzieli, że ich to nie interesuje, chcą, byśmy w Sejmie zrobili to, co należy.

A związki partnerskie?

– Dajcie mi wreszcie jakiś projekt ustawy, żebym mógł przestać chodzić i mówić o związkach partnerskich, tylko żebym mógł za nim zagłosować.

Jest przecież projekt minister Kotuli.

– Gdzie? W Sejmie go jeszcze nie ma. Projekt nie wyszedł z rządu, na razie jest wpisany do rejestru prac legislacyjnych.

Gdyby stanął na obradach, będzie pan za nim głosował?

– Tak. Natomiast PSL zapowiada własny projekt, który nazwie ustawą o statusie osoby najbliższej. On będzie miał chyba w sobie większość postulowanych rozwiązań.

I zapis, że związki partnerskie będzie można zawierać nie w urzędzie stanu cywilnego, a przed notariuszem.

– Notariusz jest dla mnie nie do zaakceptowania. Jeżeli tak by miała wyglądać taka ustawa, to składałbym poprawkę w tej sprawie. Działajmy jednak krok po kroku. Niech wreszcie coś powstanie. Bądźmy pragmatyczni – skoro nie można mieć najlepszego rozwiązania, to sięgnijmy po drugie z kolei. Niech się wreszcie coś zadzieje, gadamy o tym od 20 lat. Jeśli PSL położy swoją ustawę jako pierwszy – na pewno za nią zagłosuję.

Prawa człowieka nie powinny być poddawane pod referendum.

– Jeżeli weźmiemy nasze wartości, czyli jedni – prawo kobiety do aborcji, drudzy – prawo płodu do życia, i włożymy je do nienaruszalnego depozytu praw człowieka, to będzie to koniec demokracji parlamentarnej. Bo jak głosować nad prawami człowieka? A jakąś decyzję podjąć przecież trzeba.

Jeżeli chcemy to przeciąć, musimy oddać głos społeczeństwu. Jeśli w referendum weźmie udział 20 milionów ludzi, sprawa zostanie załatwiona na 10 czy 20 lat. Żaden prezydent się temu nie sprzeciwi. Ta eskalacja doprowadzi do deeskalacji. Mam tylko nadzieję, że nikomu nigdy nie przyjdzie do głowy granie aborcją w bieżącej polityce. Chodzą po mieście słuchy, że ktoś wpadł na pomysł połączenia referendum aborcyjnego z wyborem prezydenckimi. To rozwiązanie w stylu Orbána, w dojrzałej demokracji, którą chcemy być, zasługujemy na to, żeby o tych sprawach dyskutować na poważnie, na ile się da poza codzienną polityczną młócką.

Mówił pan, że na Zachodzie działa to inaczej. Ale społeczeństwa się zmieniają. Proszę zobaczyć, jak zmienia się akceptacja dla prawa do przerywania ciąży w polskim społeczeństwie. Mamy do czynienia z procesem, gdy cała scena światopoglądowo przesuwana się na lewo, choć politycznie wydaje się, że świat idzie na prawo. My nie jesteśmy w stagnacji, tylko w tranzycji. I w momencie, gdy formuła polaryzacji się wyczerpuje. Przyszło mi wykonywać tę robotę w bardzo ciekawych czasach. Przed nami wszystkimi teraz ogromne wyzwanie i odpowiedzialność, chyba największe od paru pokoleń. ●

Rozmawiał Bartosz T. Wieliński

Marny kabret, raczej burleska

W sformułowaniu: „Czarnek białym koniem wyborów prezydenckich” widzę ogromny potencjał PR-owy, publicystyczny, a przede wszystkim skeczogeny.



Michał Rusinek

Na ostatniej konferencji prasowej Jarosław Kaczyński ujawnił swoje nieznane dotąd oblicze i zarazem kompetencje: wnikliwego genologa. Genologia, przypomnijmy, to nauka o gatunkach literackich i scenicznych.

Sama konferencja dotyczyła planowanego wotum nieufności wobec ministery zdrowia Izabeli Leszczyny, ale temat ten okazał się interesujący tylko dla niektórych dziennikarzy zaprzyjaźnionych z PiS-em mediów. Pytania pozostałych dziennikarzy związane były z innymi tematami, na przykład raportem dotyczącym działań tzw. komisji smoleńskiej pod kierownictwem Antoniego Macierewicza.

Z kolei Radosław Jankiewicz z TV Republika powiedział: „Chciałbym zapytać o to wczorajsze przedstawienie wyników rządowej komisji, która miała badać wpływ rosyjskie, białoruskie [...]. Jak pan ocenia to co wczoraj usłyszeliśmy od generała Stróżyka?”.

Prezes PiS-u pochwalił go za dobór słów: „Panie redaktorze” – odpowiedział. – „Pan użył tutaj właściwego słowa: przedstawienie”. Oto przykład posłużenia się polisemią: przedstawienie wyników działań było dla Kaczyńskiego przestawieniem rozumianym jako widowisko, spektakl, inscenizacja czy show, a więc należało do porządku scenicznego, a więc fikcji. Kaczyński jako genolog zdaje sobie jednak sprawę, że jest to pojęcie mało profesjonalne i dość rozmyte znaczeniowo, postanowił więc je zaraz doprecyzować: „Przedstawienie, można powiedzieć, burleskowe”. Za drugim razem stwierdził, że był to „kabaret, tylko w takim marnym stylu, czyli raczej burleska”.

Burleska to forma sceniczna. Powstała w XVIII wieku i była zwykle parodią poważnych tematów lub dzieł (np. operowych). Należała do sztuki plebejskiej i stanowiła rozrywkę dla klas niższych. Dopiero przeniesiona w XIX wieku na grunt amerykański, burleska zyskała status odrębnej sztuki: operowała – i nadal operuje – tańcem, śpiewem i skeczami, w wykonaniu skąpo ubranych aktorów i aktorek, także drag queens. Ma charakter erotyczny, często pojawia się w niej striptiz oraz elementy subwersyjne w stosunku do panującej w danym momencie moralności czy tolerancji – a raczej jej braku – wobec np. mniejszości etnicznych czy seksualnych.

W ustach polityka, który zionie niechęcią do takich społeczności, burleska musi być określeniem nie tylko genologicznym, ale i wysoce obraźliwym. Nie można też jednak wykluczyć, że mamy do czynienia z subtelnym miłośnikiem takich spektakli, oglądającym je potajemnie w ramach tzw. guilty pleasure. No bo ileż można oglądać rodeo?

Nie ulega jednak wątpliwości, że Jarosław Kaczyński ceni skecze, a w każdym razie ich strukturę językową. Dał temu wyraz nie tylko stosując polisemię słowa „przedstawienie”, ale i zapytany przez Joannę Mąkosę z TVP Info, czy Przemysław Czarnek jest „czarnym koniem” PiS-u w wyborach prezydenckich, odpowiedział: „Wie pani, ja nie wiem, czy my mamy czarnego konia, czy może białego. W tej chwili są badania”.

Warto przypomnieć, że akurat ten polityk zmagał się już z metaforą kolorów podstawowych mówiąc: „Nas nie przekonają, że białe jest białe, a czarne jest czarne”. Być może wspomniane badania mają na celu ustalenie, co – a właściwie kto – jest jakiego koloru. W sformułowaniu: „Czarnek białym koniem wyborów prezydenckich” widzę jednak ogromny potencjał PR-owy, publicystyczny (widzę już te tytuły artykułów), a przede wszystkim skeczogeny, by nie rzec – burleskowy.

Odpowiadając na pytania dziennikarzy i dziennikarek Jarosław Kaczyński posłużył się kilkakrotnie absurdalną i drastyczną analogią, by uwiarygodnić absurdalność niektórych stwierdzeń czy opinii. Taki zabieg należy do poetyki skeczu: opisujemy coś w kategoriach czegoś absurdalnego, żeby uwiarygodnić tego czegoś absurdalność. Komentując raport generała Stróżyka powiedział, że „powiedzieć można wszystko”: „Można na przykład powiedzieć, że Polska w 1939 roku napadła na Niemcy po to, żeby wymordować Żydów, których Niemcy bronili”.

Na pytanie Jakuba Sobieniowskiego z TVN24, czy czuje się oszukany przez Antoniego Macierewicza, Kaczyński odpowiedział analogią: „Ja wiem, że zbrodnia katyńska także przez Zachód była przez dziesięciolecie ukrywana. Przecież ta komisja, która działała na początku lat 50. w Stanach Zjednoczonych została w pewnym momencie w swoich działaniach zahamowana. Mimo że tam dowody były zupełnie oczywiste i tutaj też są zupełnie oczywiste. To był zamach”. Nawet troszkę szkoda, że prezes PiS nie zacytował tu wspaniałego pod względem logicznym zdania Antoniego Macierewicza: „Brak dowodów na wybuch dowodzi, że był wybuch, bo tylko wybuch mógł zniszczyć dowody”.

Zapytany przez Radomira Wita, z jakich dokumentów wynika, że doszło do zamachu w Smoleńsku, Jarosław Kaczyński odpowiedział, że to nie wynika z dokumentów, ale z „sytuacji zupełnie naocznej”. Sformułowanie „sytuacja zupełnie naoczna” należy do tego samego porządku, co „oczywista oczywistość”: nawet jeśli coś nie zostało udokumentowane, a przedtem zinterpretowanie czy poddane śledztwu, nawet jeśli może być oznaką czegoś innego (wypadku), to przecież może być potwierdzeniem każdej innej tezy (zamach). „Naoczność” i „oczywistość” zwalnia nas, zdaniem Kaczyńskiego, z obowiązku krytycznej analizy np. przyczyn danego zjawiska.

Nie oczekujemy jednak racjonalności w zabiegach budujących smoleński mit, który w dużej mierze spaja elektorat największej partii opozycyjnej. Owszem, takie rozumowanie i takie sformułowanie mogłoby się pojawić w kabaretowym antyinteligentnym skeczu. Ewentualnie w nekroburlesce, jeśli taki gatunek w ogóle istnieje. Wygląda jednak, że nawet jeśli go wcześniej nie było, to właśnie zaistniał.

W „dzień dobry” musi być drugie dno

To, co dzieje się w komentarzach do niewinnego wpisu na Twitterze, zasługuje na pełnowymiarową analizę socjologiczną



Marcin Matczak

Bartosz Węglarczyk, redaktor naczelny Onetu, prowadzi od lat na platformie X, czyli niegdyśszym Twitterze, ciekawy eksperyment. Codziennie rano umieszcza wpis o prostej i pozornie niewinnej treści: „Dzień dobry!”. Niby tylko dwa słowa, ale w ten sposób udało mu się dowiedzieć, że nie ma w internecie takiej rzeczy, o którą ludzie nie rzuciliby się sobie do gardel.

Sam eksperymentator od czasu do czasu komentuje co bardziej smakowite kąski: posty pisane przez ludzi, którym „dzień dobry” przeszkadza w sposób, którego nie wyślisz, choćbyś myślał pięć lat. Oto Boro z Gniewkowa bierze się za bary z „dzień dobry” z pozycji imperatywu kategorycznego Kanta, zgodnie z którym powinniśmy postępować tylko według takiej maksymy, co do której jednocześnie chcielibyśmy, aby stała się zasadą powszechną: „Ten poranny tweet z Dzień dobry jest dla mnie osobiście przeszkadzający. Bo nic nie wnosi i zajmuje czas. Gdyby każdy robił to samo, to Twitter byłby do kitu”.

Inny komentator atakuje „dzień dobry” z pozycji łowcy androidów: „jaki ma to sens, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że nawet Pan tego samodzielnie nie pisze, tylko automatyczny skrypt”. I zakreśla na dówód skrót, który świadczy podobno o tym, że w codziennym pozdrowieniu białkową inteligencję Węglarczyka wspiera inteligencja sztuczna.

Jest i pogromca socjalistycznego etosu pracy („Twitter to nie fabryka. Nie trzeba się meldować. Co to za dziwny zwyczaj. Lepiej coś pożytecznego i odważnego napisać proszę”). Jakby zwykle „dzień dobry” w świecie mediów społecznościowych nie było wystarczająco odważne! Pojawia się także dokonująca coming outu obserwatorka amerykańskich wyborów, która na swojskie „dzień dobry” odpowiada: „dla mnie lepsza kobieta. Trump jest psychicznie nieprzewidywalny”.

To, co dzieje się w komentarzach do „dzień dobry”, zasługuje na pełnowymiarową analizę socjologiczną. Może pozwoliłaby ona stworzyć katalog polskiego komentarza? Ukazać jak na dłoni szaleństwo internetowych zachowań?

Popuśćmy wodze fantazji: co jeszcze spotka Bartosza Węglarczyka i jego „dzień dobry”? Czy jakiś samozwańczy ekspert zaraz po zmianie czasu na zimowy napisze: „To coś nazywa Pan dniem”? Czy urodzony buntownik na „dzień dobry” odpowie: „Nie będziesz mi mówił, co jest dobre, a co złe”?

Spotka go wiele. Ludzie w mediach społecznościowych wariują, bo to, co mówimy normalnie, ma zawsze kontekst, a wpis internetowy najczęściej kontekstu nie ma. Każdy więc przynosi swój – jak wino na zrzutkową imprezę, oczywiście różnej jakości. Przedstawiciel Partii Razem, widząc „dzień dobry”, odpisze pewnie: „Niech Pan to powie dzieciom pracującym w kopal-

niach w Zimbabwie”. Specjalistka od postkolonializmu zwróci uwagę: „A czemu nie »dobry wieczór«, zafiksowany na europejskiej strefie czasowej biały mężczyzno?”.

Amerykański psycholog John Suler pisze, że w sieci ludzie zachowują się dziwnie, bo przy braku kontekstu są skłonni przypisywać wpisowi w internecie głos i wyimaginowane cechy na podstawie własnych oczekiwań, a niekoniecznie zgodnie z zamierzonym znaczeniem. Może być więc i tak, że zwolennik Prezesa, czytając „dzień dobry” redaktora Węglarczyka, słyszy głos, który przez zaciśnięte zęby syczy: „Guten Morgen und für Deutschland!”. Musi więc protestować.

„Dzień dobry” pokazuje, że ludzie chętniej wylewają swój ból w sieci niż poza nią. Nawet w normalnym życiu niewielu z nas odpowiada po amerykańsku: „Fenomenalnie!” na pytanie: „Jak ci mija dzień?”. Raczej zaczynamy się wyżalać. A w sieci to już daj pan spokój. Niektórym jest tak źle, że „dzień dobry” ich obraża. Pełny resentymentu maruda stwierdzi: „Dla kogo dobry, dla tego dobrego”, a mający na 5 do pracy napisze: „Panu to dobrze, może Pan pospać do 7”.

Inni są tak zajęci swoimi wojnami, że traktują to „dzień dobry” jak kolejny atak, tyle że nie wiadomo, na co. Silny Razem zapyta pewnie: „Gdzie Pan był przez ostatnie osiem lat? Wtedy też było Panu dobrze?”. Ci najbardziej wojujący uznają swoje wojny za tak ważne, że pisanie o czymkolwiek innym ich denerwuje. Przecież to kompletna strata czasu! Dlatego komentator jakby żywcem wyjęty z urzędu pracy albo agencji HR na proste „dzień dobry” odpowie: „Może by się Pan zajął czymś innym?”.

Są też komentatorzy na „dzień dobry” ewidentnie pasożytujący. Ci każdą rozmowę przetrąca i sprowadzą na swój grunt. Matka Teresa od Koni napisze: „Może będzie dobry! Zostało jeszcze osiem godzin, aby uratować Kasjopeję przed rzezią”. Kanalizator ruchu internetowego stwierdzi: „Dobry, dobry, a tymczasem zapraszam na mój kanał”, a inwestor powie: „Na kryptowaluty każdy dzień jest doskonały!”.

Ludzie są podejrzliwi. Myślą, że musi być w tym „dzień dobry” jakieś drugie, a może nawet trzecie dno. „Co Panu tak wesoło?”. „To musi być podstęp, bo przecież normalny człowiek w Polsce się nie cieszy”. A może ten Węglarczyk tym codziennym „dzień dobry” systemowo zwalcza Kościół?”. Dlaczego on nigdy nie pisze „szczęść Boże!”? Dlaczego nie intonuje „Kiedy ranne wstają zorze?”, pomyśli zwolennik Grzegorza Brauna.

Koniec końców ludzie odpowiadając „dzień dobry!” na „dzień dobry!” wychodzą w mediach społecznościowych na nie-normalnych. To w sposób dobitny świadczy o tym, jak bardzo te media są nienormalne.

Afera z „dzień dobry” eskaluje, ale nie mam, niestety, żadnych rad dla redaktora Węglarczyka. Sam rozważam, czy nie opublikować wpisu o treści „Do widzenia!”. Z całą pewnością jako sygnalizujący koniec i pożegnanie spotkałby się z mniej nerwowymi reakcjami albo nawet z poparciem („Idź i nie wracaj”).

A na razie kończę ten felieton, po raz kolejny sygnalizując prenumeratom „Gazety Wyborczej”, że istotą tej formy dziennikarskiej jest frywolne pisanie, o czym felietoniście się chce – i to co tydzień. Nie ma więc potrzeby pisać w komentarzach, że bym zajął się czymś innym i że są poważniejsze sprawy niż „dzień dobry”. Poza tym w tygodniu, w którym w USA może wygrać Trump, nie ma nic ważniejszego niż życzenie sobie, żeby wszystkie nasze pozostałe dni były dobre.

Krwi ANI. Zycia NIE SZCZĘDZIĆ

W wojsku nie ma wolności, ale jest pewna praca, niższe podatki i jasne obowiązki. O wojnie młodzi nie myślą.

Iwona Görke



• W Polsce jest ok. 140 tys. żołnierzy zawodowych. Na zdjęciu: przysięga wojskowa w Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toruniu

FOT. ROBERT GÓRECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na ulicach polskich miast nietrudno spotkać umundurowaną młodzież, uczniów klas o profilach wojskowych. Może do służb mundurowych wstąpią, może nie. Te decyzje jeszcze przed nimi. Ale są młodzi ludzie, którzy zdecydowali się wstąpić do wojska czy straży granicznej. Co ich skusiło? Zarobki? Prestiż? Chęć służenia ojczyźnie?

Wiktorja

– Do WOT-u wstąpiłam ponad rok temu, od razu po maturze – przyznaje Wiktorja, rocznik 2004. W szkole udzielała się w różnych działaniach wolontariackich. Po zakończeniu nauki chciała pomagać ludziom.

Jeszcze jako uczennica zainteresowała się WOT-em. Obserwowała pracę terytorialsów w czasie pandemii koronawirusa. Żołnierze zrobili na niej dobre wrażenie.

Wiktorja postanowiła spróbować. Miała koleżankę w tej formacji. Zadzwoniła do niej, wypytała o wszystko. I złożyła odpowiednie dokumenty.

– Każdy, kogo spotkałam na tej mojej drodze, był dla mnie bardzo miły. Zachwycali się tym, że chce do nich dołączyć młoda osoba. Służyć państwu, a nie jak to się mówi, tylko przed komputerem siedzieć – relacjonuje.

Wiktorja więc nie siedzi przed komputerem. Jest w 10. Świętokrzyskiej Brygadzie Obrony Terytorialnej. Jeździ na comiesięczne obowiązkowe rotacje, zgłosiła się do kompanii honorowej. Była w służbie wartowniczej w Rzeszowie. I na granicy polsko-białoruskiej. Zgłosiła się sama. Chciała zobaczyć, jak tam jest. Pojechała zimą. Głównym zadaniem była ochrona granicy państwa w okolicach miejscowości Sławatycze oraz patrolowanie terenu.

Wiktorja pracuje w firmie swojej mamy. Nie ma innych planów związanych z wojskiem. Najpierw chciała iść na studia wojskowe. Ale, jak mówi, życie ułożyło się inaczej. Wybrała WOT. Nie zamierza z nich odchodzić. Może pełnić służbę i mieć życie prywatne. A służbę, jak mówi, pełni nieustannie. Nieważne czy jest w jednostce czy w domu. Codziennie nie musi być w jednostce. Tego obawiają się młodzi. – WOT-y są bardzo dobrze skonstruowane. Bo można pracować, realizować się i zawodowo, i sprawdzić pod względem mundurowym – uważa.

Służba daje Wiktorji spełnienie. Nie liczyła na towarzyszy poklask czy uznanie. Ani na pieniądze.

Dawid

Dawid, rocznik 1992, pochodzi z małej miejscowości leżącej pięć kilometrów od polsko-rosyjskiej granicy. Od dziecka obserwował pracę funkcjonariuszy Straży Granicznej. Interesował się ich zadaniami.

W ogólniaku zaczął myśleć o mundurowce. Chciał dołączyć zaraz po maturze. Wiedział, że strażnikiem granicznym nie zostaje każdy. Wymagania były, wspomina, wysokie. Świadomość pewnej elitarności, wychowanie w patriotyzmie, szacunku do munduru oraz podglądanie od małego pracy strażników granicznych sprawiły, że postanowił zostać jednym z nich.

W 2013 r. złożył odpowiednie dokumenty. Ruszyła procedura. Rozmowa kwalifikacyjna, badania lekarskie, badania psychofizjologiczne, testy psychologiczne, sprawności fizycznej oraz wiedzy. Trwało to wszystko pół roku. Przyjęli go. Wysłano go na szkolenie podstawowe, następnie podoficerskie. Po nim został skierowany do pełnienia służby w placówce zajmującej się na co dzień ochroną granicy państwowej i kontrolą ruchu granicznego w kolejowym przejściu granicznym w Skandawie. To rodzinne strony mężczyzny. Dodatkowa motywacja do pełnienia służby.

Początkowo pracował przy bezpośredniej ochronie granicy – codzienna kontrola pasa, patrole w pojazdach mobilnych. Zbierał doświadczenia. Przełożeni kierowali go na liczne kursy. Na początku te dotyczące autentyczności dokumentów i zabezpieczeń. Po nich wysłano go do odprawy w kolejowym przejściu granicznym w Skandawie. W kolejnych latach służby jego droga zawodowa ukierunkowała się w stronę przeciwdziałania nielegalnej migracji i legalności zatrudnienia cudzo-

ziemców. Przeszedł kolejne specjalistyczne szkolenia i kursy. Zrodziła się w nim potrzeba zrobienia magisterki. Poszedł na administrację. Zaocznie. Pomogło mu to w pracy.

Jego kariera zawodowa wygląda stabilnie – szkolenia, kursy, awanse. Przełożeni docenili Dawida. Obecnie kieruje zespołem ds. cudzoziemców w jednej z przygranicznych placówek. Jest w trakcie kursu oficerskiego. To dla niego, jak mówi, niesamowite wyróżnienie.

– Służba w straży granicznej jest dla mnie przede wszystkim dumą – mówi Dawid. – Naprawdę jestem dumny z tego, że idę do pracy, mogę się rozwijać, że przełożeni mnie zauważają.

Patrycja

– Nie będę oszukiwać. Zdecydowałam się ze względów finansowych. Ale chciałam też się sprawdzić, zobaczyć, jak to jest – mówi Patrycja, rocznik 1992, samotna matka przedszkolaka.

Kobieta dobrze pamięta kluczowe daty. 30 października 2023 r. złożyła dokumenty do pełnienia dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej. Po tym badania miała m.in. lekarskie i testy psychologiczne. Przeszła. 15 stycznia rozpoczęła szkolenie. 10 lutego złożyła przysięgę.

Szkolenie trwało 27 dni. Było bardzo wymagające – Trudne, pod względem psychicznym, były zwłaszcza pierwsze dwa tygodnie – wspomina 32-latką. Dowódcy po-



trafiły adeptom „pojechać”. Krzyki, wyzwiska czy przekleństwa były codziennością.

Do nowej codzienność trzeba wpisać wstawanie po godzinie piątej i zbiórki na zaprawę odbywającą się chwilę po szóstej. Na niej bieganie. Niezależnie od panującej temperatury. Musztra także odbywała się na zewnątrz bez względu na to, czy padał deszcz, czy śnieg, czy był mróz. Dużo osób chorowało.

Byli tacy, co zrezygnowali. Głównie mężczyźni. W ciągu pierwszych dwóch tygodni. W trzecim tygodni nie opłacało się rezygnować, bo w czwartym składano przysięgę.

Ale zanim nastąpił koniec szkolenia to na Patrycję i pozostałych kursantów czekały: wyjazdy na szkolenia strzeleckie, na które jeździli jeczami (zimą podróżowanie nimi nie należy do przyjemnych); codzienne kontrole tego, czy dobrze zasłali swoje łóżka (w ciągu dnia nie można było na nich nawet usiąść); wieczorne naloty na pokoje mające sprawdzić ich czystość, nawet to czy za szafkami jest posprzątane.

Każdy kolejny dzień podporządkowany był konkretnym aktywnościom odbywającym się o stałych porach. Nie jesz, kiedy zgłodniesz. Jesz wtedy, kiedy podają jedzenie.

Niedziela była jedynym dniem, podczas którego kursanci mogli spotkać się z bliskimi. W inne dni mogli rozmawiać przez telefony. Do Patrycji w niedzielę przychodziła mama i siostra. Przynosiły walówkę i drobne rzeczy. Były jej dodatkowym wsparciem.

Nawet, jak żołnierz ukończy 26 lat, to i tak płaci niższe podatki.

– My uczymy się, szkolimy
i służymy z myślą, że być może
zginiemy, broniąc ojczyzny.

W jaki inny fach wpisana jest taka ostateczna wizja śmierci?

Z synem się nie widziała. Takie krótkie spotkania i rozłąka mogły być trudniejsze niż niewidzenie się przez prawie miesiąc.

Szkolenie odbyła w mieście, w którym mieszka. W jednostce znajdującej się kwadrans od jej domu. Rozłąka z dzieckiem nie była łatwa.

Kobieta obecnie jest na jedenastomiesięcznym kursie specjalistycznym. Na co dzień pracuje w kuchni od godz. 7.30 do 15.30. W piątki kończy już o 13. Czasami, jak

w jednostce są żołnierze na szkoleniu, pracuje do 20. Poza pracą w kuchni ma zajęcia szkoleniowe. Codzienne zaprawy. Musztrę. I sprawdziany z regulaminów.

Lubi swoją pracę, ale nie chciałabym wiecznie pracować na kuchni. Nie jest łatwo. Pośpiech, gorąco, hałas. Wolałaby pracować w biurze. Myśli o tym, by rozpocząć studia magisterskie. Zaocznie. Jeszcze nie sprawdzała, czy wojsko mogłoby pokryć koszty nauki. Wie jednak, że w razie, gdy-

by nie mogła z uwagi na obowiązki w wojsku, pójść na jakieś zajęcia, to ma to usprawiedliwione.

Patrycji wojsko dało pewność siebie i nowe możliwości. Odkąd wstąpiła do służby, żyje się jej łatwiej. Zmieniła się. Jest silniejsza. Chciała sprawdzić, czy wojsko jest dla niej. W tym momencie uważa, że tak.

Maciej

Maciej, rocznik 1986, mówi o sobie „dziecko miasteczka wojskowego”. Ojciec – żołnierz. Matka – cywilna pracownica wojskowa. No i dziadek milicjant.

Wojsko w jego życiu było od zawsze. Podobало mu się, ale przestało, gdy zaczął dorastać. Ojca przenieśli z jednej jednostki do drugiej, z drugiej do trzeciej... Maciej miał kilkanaście lat. Potrzebował ojca. A ten był nieobecny. – Kończyłem liceum. Ojciec zapytał mnie, co chcę robić dalej. Powiedziałem mu, że mogę robić cokolwiek, byle nie miało to związku z wojskiem – wspomina.

Ale gdy podczas pandemii atmosfera w dotychczasowej pracy w branży rozrywkowej stała się nieznosna, złożył wypowiedzenie. Zaczął dowiadywać się, czy jako 35-latek na wojsko nie jest za stary, czy w ogóle będzie w nim potrzebny, czy ma szansę na wojskową emeryturę.

Okazało się, że tak. Ruszył w kierunku, od którego uciekał: – Wojsko okazało się dla mnie naturalnym wyborem. Ten dryg i to, że przecież się w takiej atmosferze wojsko-

wej wychowałem. Okazało się, że w służbie mogę połączyć to, czego się uczyłem.

Zgłosił się, przeszedł odpowiednie testy i badania. Dostał się na czteromiesięczne szkolenie. Po niecałych czterech latach w wojsku, ma stopień oficera. A to nie koniec jego ambicji. Może piąć się w górę. W armii jest ścieżka kariery. Awansowanie ułatwiają dobrzy przełożeni. Tacy, którzy widzą potrzebę szkolenia podwładnych.

Maciej mówi także o szkoleniu podstawowym. – W nim chodzi o to, by ludzi złamać. Po co jest to ścielenie łóżek od linii? Rozwalanie ich nawet jak są idealnie zaścielone? Masz nauczyć się robić, a nie dyskutować. Nie można mieć wątpliwości, że taka osoba we właściwym czasie, w czasie „w”, zrobi, to co do niej należy. Bo my się szkolimy na czas „w” – mówi o wojnie. A niektórzy, zwłaszcza młodzi, zapominają, po co wojsko jest, po co te wszystkie szkolenia. Jakby szli do wojska, ale nie pamiętali, że żołnierze w razie potrzeby mają walczyć. Zabijać. Umierać.

Młodzi, uważa wojskowy, te chętnie opisywane „zetki”, mają to, co pomaga odnaleźć się w wojsku – nie lubią podejmować decyzji. W wojsku nie ma wolności, tak lubianej przez młodych, ale przynajmniej nie ciąży nad nimi widmo decydowania. W wojsku pomyślą za ciebie. Powiedzą, co zrobić.

Teraz, w czasie pokoju, żołnierze kierowani byli do przeróżnych działań. Takich, które pomagają im się pokazać z dobrej strony. W czasie pandemii wojsko pomagało w szpitalach, wozilo jedzenie, pomagało w kontrolach osób przebywających na kwarantannie. – Pomagaliśmy przy powodzi. Wierzę, że tak szybko udało się to wszystkim rozwiązać dzięki wojsku – mówi Maciej.

Ale nie jest tak kolorowe w polskiej armii: – W wojsku też są osoby z niebieskimi kartami, takie, którym zdarzyło się wsiąść za kółko po spożyciu alkoholu, wdać się w bójkę, spowodować wypadek. Żołnierze nie są idealni. Piją. Po służbie. Zdarza się, że i na nią przyjdą zawiani. To jest najłatwiejszy sposób do radzenia sobie z trudnymi emocjami. Ucieczka w używki. Dopalcze. Mamy sporo takich kontroli. To jest bardzo nieodpowiedzialne, gdy żołnierz znajduje się pod wpływem jakiejś substancji podczas służby. Bo w razie czego, to on ma reagować. Interweniować. Wojsko to mechanizm. Jak jeden element nie zadziała – wszystko może się wywalić.

Radosław

W 2018 r. do WOT-u dołączył Radosław, rocznik 1997. – To był taki prezent dla mnie i dla ojczyzny na 100-lecie odzyskania niepodległości – tłumaczy mężczyzna. Mundur, przynajnie, zawsze go przyciągał, wychowano go w szacunku do niego.

Radosław wstąpił do WOT-u, ale nie wiązał z formacją swojej przyszłości. Skończył właśnie studia, zaczął pracować na etat. Wojsko było zajęciem pobocznym. Aż przyszedł przełom. A właściwie dwa.

Pierwszym był koronawirus. Żołnierze pomagali. Radosław także. W szpitalu w Ilawie. – Pomagaliśmy ludziom. Czuliśmy, że ta nasza służba ma sens, że to nie tylko wyświechtane hasła – wspomina. To dawało kopa. Tym bardziej, że w 2017 r., gdy WOT-y powstawały pomysł ten był przez wiele osób krytykowany. – Przełożeni mówili nam, byśmy nie dawali się wciągnąć w polityczne wojenki. Mieliśmy swoją służbą udowodnić naszą wartość. I to, że u nas nie ma miejsca na politykę – mówi. Ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, że WOT to żaden głupi wymysł, a formacja potrzebna Polsce.

Drugim była sytuacja na granicy polsko-białoruskiej. – Wspomagamy zabezpieczenie granicy przed nielegalnymi migrantami takie służby, jak straż graniczna, policja czy wojska operacyjne – tłumaczy żołnierz. Wyszukanie terytorialsów pomaga im orientować się w trudnym, leśnym i bagnistym terenie. – Jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być w ważnych momentach dla naszego kraju – przekonuje Radosław. Społeczność lokalna była im wdzięczna. I to motywuje go do dalszego rozwoju.



FOT. ROMAN BOSACKI / AGENCJA WYBORCZA

Żołnierze nie są idealni. Piją. Po służbie. Zdarza się, że i na nią przyjdą zawiani. To jest najłatwiejszy sposób do radzenia sobie z trudnymi emocjami

W 2022 r. rzucił etat u prywatnicarza. Szkolił się. Do końca tego roku ma otrzymać promocję oficerską. Będzie zawodowym żołnierzem. Zaskoczyło go to, bo wstępując do WOT-u, nie zakładał pięcia się w wojskowej hierarchii. – Na oficerów zawsze patrzyło się z takim dużym szacunkiem, a teraz ja będę jednym z nich. Trudno mi w to uwierzyć – mówi. Zaraz jednak dodaje: – WOT-y właśnie takie są, pozwalają się rozwijać, nie ograniczają.

Co dalej? – Sky is the limit – śmieje się. Jest ambitny. Wie jednak, że sama szkoła oficerska to za mało. Ważna jest praktyka. – Nic nie zastąpi takie prawdziwej służby, nawet najlepsze szkolenie – przypomina.

Radosław pragnie, by WOT, był kojarzony jako formacja patriotyczna, apolityczna. – Często próbuje się nas podpiąć pod jakąś opcję polityczną. Nie chcemy być kojarzeni z żadną partią. Chcemy, żeby dobre postawy, sprzyjające rozwojowi Polski, przechodziły z nas i promieniowały również na resztę społeczeństwa. To jest dla nas najważniejsze, nie jakieś tam partie polityczne. One przychodzą i odchodzą, zastępują je kolejne. A Polska trwa.

Pieniądze

Na wojsku stracić się nie da. Zawsze się zyskuje. – Dla mnie to nie pieniądze są najważniejsze. To dla mnie bonus. Chociaż wiem, że bardzo dużo osób idzie do WOT-u właśnie ze względu na finanse. Dorabiają sobie. Nawet jeżeli tak jest na początku, to z czasem zmienia im się perspektywa. Są w stanie powiedzieć, że nie tylko pieniądze są dla nich ważne – przekonuje Wiktoria.

Dawid i Radosław przynajnie, że płaca daje im poczucie bezpieczeństwa. Jest bardzo dobra.

Ojciec Macieja już będąc na wojskowej emeryturze, utrzymywał nie tylko siebie, ale i dwóch studiujących synów. – Ludzie mówią, że w wojsku dużo zarabiamy, mamy różne dodatki – mówi Maciej. Wylicza: wcześnie pod gruszą nie tylko na siebie, ale i na małżonka oraz dzieci; pieniądze na mundur, dodatek mieszkaniowy. Nawet jak żołnierz ukończy 26 lat, to i tak płaci niższe podatki. – My uczymy się, szkolimy i służymy z myślą, że być może zginiemy, broniąc ojczyzny. W jaki inny fach wpisana jest taka ostateczna wizja śmierci?

Żołnierz mówi bez ogródek: nie tylko uczucia patriotyczne sprawiają, że ludzie chcą iść w kamasze. – Wojsko to pewny pracodawca na niepewne czasy. W czasie pan-

demii firmy zwalniały, wysyłały ludzi na postojowe, a wojsko działało i przyjmowało ludzi – przypomina Maciej. Są jednak i tacy, co na pójście na szkolenie, płatne przecież, patrzą jak na możliwość dorobienia. – Takie osoby przychodzą na chwilę. I mówią wprost, że przyszli, bo potrzebowali pieniędzy na nowego ajfona czy jakiegoś x-boksa. Zarobili? To się związają – opowiada mężczyzna. Przypomina: polska armia to największy polski pracodawca. Zatrudnia więcej osób niż Biedronka.

W wojsku kochają PiS, bo dał duże podwyżki, bo za jego czasów doposażono armię. Później okazywało się, że do danej bronii nie ma amunicji, ale to szczegóły.

Patrycja uważa, że zarabia naprawdę dobrze. To dla niej ważne, bo ma na utrzymaniu nie tylko siebie, ale i kilkuletnie dziecko. Nie może liczyć na pomoc jego ojca. Wspierają ją bliscy.

Wojna

Wiktoria nie zaprzęta sobie głowy myślami o wybuchu wojny. Nie boi się. Uważa, że w najbliższych latach na terenie Polski konfliktu nie będzie. Ale jeśli nawet, to jako żołnierz przysięgała. – „Krwii własnej ani życia nie szczędzić” – cytuję część rotę przysięgi wojskowej.

Wizja pójścia na front jej nie przeraża. Szkoli się, ile może. By w razie czego poradzić sobie w walce.

– Czy boję się wojny? – zastanawia się Dawid. – Trudno powiedzieć, czy się boję. Na pewno bym jej nie chciał. Nie zastanawiałem się nad strachem, ponieważ jestem

Terytorials i w liczbach

- Obecnie w WOT jest ponad

41 tys. żołnierzy

W tym ponad 35 tys. żołnierzy pełniących terytorialną służbę wojskową, blisko 6 tys. żołnierzy zawodowych oraz Aktywnej Rezerwy.

- Kobiety stanowią

ponad 20 proc.

wszystkich osób pełniących służbę w WOT.

Ponad 40 proc.

terytorialsów ma mniej niż 35 lat.

funkcjonariuszem straży granicznej, pełnić służbę na placówce zewnętrznej granicy Unii Europejskiej – mówi. Każda osoba, która zakłada mundur i składa rotę ślubowania, zobowiązuje się do tego, że będzie strzegła granicy nawet z narażeniem życia.

– Po 11 latach służby, a tyle mam za sobą, to nie jest moment, aby rozmyślać, czy boję się wojny, czy nie. Wybrałem świadomie moją ścieżkę. Każdy z funkcjonariuszy robi to świadomie, i każdy z żołnierzy czy z innych służb również. To nie jest moment na strach, tylko na to, by być jak najlepiej wyszkolonym i jak najsprawniejszym – dodaje mężczyzna.

Patrycja uważa, że każdy, kto dołączył do wojska, liczy się z tym, że wojna może wybuchnąć. 32-latką nie wie, co by się z nią stało, gdyby to się stało. Nie mówili o tym na 27-dniowym szkoleniu. Na nią raczej nie pójdzie, bo samotnie wychowuje dziecko. Myśl o wojnie ją przeraża. A te myśli pojawiają się niestety często. Jej syn potwornie boi się dźwięków wydawanych przez wojskowe samoloty.

Z przysięgi wojskowej, przypomina Maciej, nie ma zwolnienia. – Służysz bez względu na to, czy czujesz się gotowy, czy nie. Nikt nie będzie o to pytał – mówi. Żołnierze często, zauważa, pytani są o strach przed wojną. On uważa, że żaden żołnierz się nie boi. Myśl o konieczności walki jest. Z tyłu głowy. W razie „w”, czyli wojny, żołnierze muszą być gotowi. – Dlatego mamy tyle ćwiczeń – tłumaczy. – Jak będzie potrzeba walki, to idziesz i robisz swoje. Nie można się zastanawiać, czy się jest gotowym, czy nie.

– Wbrew pozorom największymi pacyfistami na świecie są mimo wszystko żołnierze – kontynuuje. Bo to żołnierze giną w wojnach. – To nam zależy na tym, żeby wojny nie było, żebyśmy mogli dalej robić swoje, ćwiczyć. Nikt nie żałuje, że sprawdzamy się na poligonach, a nie w prawdziwej walce.

– Myślę, że każdy rozsądny człowiek może obawiać się wojny. Ta myśl nie spędza mi snu z powiek. Nie rozmyślam o tym co-dziennie – przyznaje Radosław.

Patriotyzm

– W szkole uczymy się, że patriotyzm to jest miłość do ojczyzny, do naszych tradycji i kultury. Ale patriotyzm według mnie również miłość do wszystkiego, co nas otacza, rodziny, przyjaciół, znajomych, bliskich. Miłość do naszej małej ojczyzny i tej dużej. Gotowość do poświęcenia dla naszego narodu – uważa Wiktoria.

Ona ma w sobie taką gotowość. Wstępując do WOT-u, miała świadomość, że taka sytuacja, w której będzie musiała się poświęcić, może nadejść. Dodaje: – Wciąż jestem tego świadoma. Jestem patriotką i jestem z tego dumna.

W rodzinie Dawida patriotyzm jest bardzo głęboko ukorzeniony. Rodzice wychowali go i jego brata w poszanowaniu do munduru, ojczyzny, w poczuciu odpowiedzialności za nią. On jest w Straży Granicznej. Brat w wojsku. Służba ojczyźnie to podstawa. Sytuacja na granicy polsko-białoruskiej jest dla mężczyzny kolejną motywacją by służbie i ojczyźnie dawać jak najwięcej z siebie.

Patrycja na dobrowolną zasadniczą służbę wojskową patrzy po prostu jak na pracę. Dobrą pracę. Wykonuje ją najlepiej, jak potrafi. Przykłada się do tego, co robi. Odnajduje się w wojsku. Daje jej ono spokój. – Dzięki tej pracy moje życie wygląda inaczej. Mam czas dla dziecka, mam czas dla siebie – przyznaje.

Do tego wojsko motywuje do aktywności. Codziennie są zaprawy. Dwa razy w tygodniu wuef. Sportu w życiu Patrycji jest więcej niż przed rokiem. – Bo i w tej kuchni to podnoszę często ciężary – śmieje się.

Radosławowi zamiast bajek ojciec do snu czytał Sienkiewicza. Ojcowska miłość do historii i zainteresowanie nią przeszło na niego i jego brata. – Stąd pewnie ten nasz patriotyzm. On nie ma żadnego zaborstwa politycznego. Kocham Polskę i chcę, by się rozwijała, by była bezpiecznym miejscem. ●

DUŻYFORMAT



Tu zrzucamy
polskie kajdany

Dlaczego jesteśmy tak zacofani w myśleniu o opiece osoby niepełnosprawnej?
Kolejni znajomi Iwony Hartwich ruszają za granicę z myślą o przyszłości dziecka.

Łukasz Opiatek

Adama wspiera ośmioro opiekunów. – Mamy opiekę prawie „round the clock”, od 7 do 22 i czasami nocie (jedna-dwie na tydzień) – tłumaczy matka. – Gdy Adam był mały, to prawie wszystko opłacałam sama, teraz mamy „budget”. Jest sobota, więc Adam jedzie do klubu. Opiekun ubiera go i pomaga mu zjeść śniadanie. Następnie matka go odwozi, a sama idzie na zakupy, do fryzjera. Pogralaby w golfa, ale pada. Po klubie opiekunka bawi się z Adamem, karmi go i kładzie spać. Kolejny opiekun zostanie na noc, bo Adam ze swoją dwubiegunówką nie da Dorocie pospać. Tak wygląda weekend. W tygodniu opiekun szykuje Adama do „day center”. Zawozi go tam bus. Mat-

ka wybrała ośrodek z najbogatszą ofertą zajęć, gdzie chłopak ma opiekuna. Po godzinie 15 w domu na chłopaka czeka kolejny. A Dorota po pracy ma czas na swoje sprawy. Tak Polka opisuje system wsparcia rodzin osób z niepełnosprawnościami w Anglii. Z pomocy Niemiec zadowolona jest Agnieszka. Jej Stavros co prawda pracuje (najpierw w przyszkolonej kuchni, a obecnie w Siemensie), ale po godzinach czasem „daje popalić”. Wówczas Aga dzwoni po pielęgniarkę środowiskową lub koleżankę. Woli tę drugą opcję, bo Ela Stavros zna i akceptuje. Ela przychodzi na dwie-trzy godziny, a Aga wychodzi załatwiać swoje sprawy. I tak kilka razy w roku. Panie rozliczają się raz na kwartał. – Wypisuję zaświadczenie i proszę państwo o zapłacenie takiej i takiej osobie za opiekę – mówi matka Stavrosa. Ma na to do 2400 euro rocznie. – Nikt tego nie kontroluje, nie sprawdza. Koleżanka

podpisuje się, że była z moim dzieckiem, otrzymuje pieniądze na konto, i już. **Good bye!** Wyjeżdżamy. Do Anglii! Iwonę Hartwich słowa te trafiają w podbrzusze. Zna Basię od lat, mają wspólne tematy: kolki, karmienie, leki, lekarzy, rehabilitacje. I przyszłość: uwiązanie przy niepełnosprawnym dziecku. – Jedźcie z nami – prosi Ola. Bezskutecznie. Z Anglii śle pozdrowienia jak z innego świata. Mamy pracę i mieszkanie. W ciągu tygodnia zamontują nam krzesło schodowe. Mamy plan, co zmienić w mieszkaniu, gdzie udać się po świadczenia, do lekarza. Mamy asystenta, no i mogę wybrać samochód, którym będę wozić syna na terapię. – A w Polsce osoby z niepełnosprawnościami dostają głodową rentę socjalną i nie mają za co żyć – Iwona Hartwich, matka syna z niepełnosprawnością i posłanka walcząca o prawa rodzin zmagających się z chorobami, wspomina sytuację sprzed

kilkunastu lat. – Za granicą byłoby mi łatwiej, ale kocham Polskę. Poza tym mieliśmy już Mikołaja, o dwa lata młodszego od Kuby, który miał swoje marzenia. I mąż miał powody, by zostać – mówi. – Do tej pory koleżanka wypomina mi, że nie wyjechałam razem z nią. **Auf Wiedersehen!** Waldek, z zawodu stolarz, w Niemczech buduje luksusowe jachty. Żonę z niepełnosprawną córeczką ściąga do Gorzowa, bliżej granicy, gdzie wraca w każdy weekend. A i tak omijają go pierwsze razy Lenki: ząbek, siadanie, krocze. Lenka ma swój rytuał: płacz co niedzielę, gdy tata wyjeżdża, codzienne mazanie szyb łzami (dwulatka nie odróżnia dni) i piątek, gdy ojciec parkuje pod blokiem. Połączenie rodziny na niemieckiej ziemi Ela rozważa w biegu, między przedszkolem, lekarzami i rehabilitacjami. – Zaczynamy dzień o 6.30. Do 14. Lena jest w przedszkolu integracyjnym, potem obiad i na terapię. 30 procent organizuje i opłaca pań-

stwo, resztę my. I to wszystko z jednej, na szczęście niemieckiej, pensji. Gdybyśmy polegali wyłącznie na państwie polskim, to nasze dziecko pewnie by nie chodziło.

Na Zachód Ela z Waldkiem uciekają w COVID-ie, Niemcy już domykają granice. Waldek bierze wolne w pracy, jadąc do Polski, zamawia busa, pakują się pędem. – Zdążyliśmy w ostatniej chwili – relacjonuje kobieta, która po niemiecku mówi tylko „Guten Tag” i „Auf Wiedersehen”.

– Boję się emigracji, ale najważniejsze, że „Guten Tag” mówię lepszej przyszłości mojej córki!

Konkurencja motywuje

Anna, pedagog w liceum, poznaje przystojnego farmaceutę, z którym wyjeżdża do Anglii. Tam zachodzi w ciążę i rodzi Asię. Dziewczynka jest zdrowa, rozwija się. Aż, gdy ma dziesięć miesięcy, dostaje silnych, długich ataków padaczkowych.

W Exeter, w jednym z najlepszych szpitali dziecięcych w Europie, ordynator organizuje rodzicom spotkanie z psychologiem i instytucjami wspierającymi osoby dotknięte niepełnosprawnościami.

Mimo to rodzina wraca do Polski, na trzy lata. Niechętnie, ale potrzebują pomocy rodziny, a Anna jest w drugiej ciąży. Wiedzą jednak, że lepsza przyszłość czeka na nich w Wielkiej Brytanii. Mąż Anny chciał zrobić tam studia stomatologiczne, a po doświadczeniu farmacji nie wyobrażał sobie studiowania w Polsce.

Marzyli o własnej klinice. – W Polsce konkurencja cię nie wspiera, w Anglii – motywuje, by nasz serwis był lepszy. Łatwiej jest też wystartować, są programy rządowe.

Służba (nie)zdrowia

Podczas porodu u Lenki dochodzi do wylewu w głowie, a płyn owodniowy uszkadza jej nerwy. Stan nieoperacyjny. Diagnoza: wzmożone napięcie mięśniowe. Gdy dziewczynka ma dwa lata, rodzice (Waldek i Ela) przenoszą się do Gorzowa Wielkopolskiego, skąd on ma bliżej do pracy, do Greifswaldu.

W niemieckim mieście mają nowego lekarza.

Lekarz: – Witam, z czym do mnie przychodzicie?

Ela: – Wzmożone napięcie mięśniowe.

Lekarz, bez patrzenia w dokumenty:

– Co pani mi mówi, przecież to dziecko ma porażenie mózgowe.

Wkrótce do katalogu chorób dojdą padaczka i trzy nadwrażliwości. Słuchowa: ktoś powie coś głośniejszy – dla Lenki brzmi to jak krzyk. Dotykowa: gąbka dla dziewczynki jest zbyt twarda. Placze, ucieka z wanny.

Smakowa: Ela nie używa pieprzu i soli, bo kiedy Lena je wyczuje, nic nie zje. Czekałada jest za słodka, lody za zimne.

Agnieszka, rocznik 1974, kosmetyczka ze Szczecina, najpierw szuka w Niemczech lepszego życia. Kończówka lat 90., pracuje na czarno w restauracji, poznaje przystojnego Greka. W 2001 roku jest w ciąży.

Podczas urlopu w Polsce krwawi.

– O! Proszę pani, ja tu nie widzę, żeby ten płód żył, najpewniej pani poroni! – słyszy od lekarki.

Aga prosi męża: – Możesz mnie stąd zabrać?!

Stavros rodzi się niepełnosprawny. Ale to już problem niemiecki.

– Trafiamy na cudownego profesora – opowiada matka. Placze, gdy zabierają niemowlę na operację.

Lekarz: – Agnieszko, ale ty mi ufasz?

Agnieszka: – Tak

– To ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby twoje dziecko było zaopiekowane.

Po operacji matka zostaje z synem w sali pooperacyjnej. Pani siada, może kawy, coś do zjedzenia?

– Czuję się jak w rodzinie – wspomina Agnieszka.

Iwona Hartwich tak wspomina pierwsze kontakty z rodzimą medycyną. Jest rok 1995.

– Kuba rodzi się z niedotlenieniem. Od lekarzy usłyszę, że mam nie histeryzo-

wać, że wszystko będzie dobrze. No i po co w ogóle przychodzę do neurologa?! A ja mam koleżanki z dziećmi i widzę, że Kuba rozwija się gorzej. Diagnoza: dziecięce porażanie mózgowe.

Agnieszkę, Elę i Iwonę łączą trudne doświadczenia z medycyną okołoporodową i dziecięcą w Polsce. Wszystkie myślały o zabraniu dzieci za granicę. Dwie z nich to zrobiły.

Polska. Energia delfina

Kuba, syn Iwony Hartwich, nie krzyczy. Kuba się wydziera. Drze się jak jakieś zwierzę. Czy wszyscy jesteśmy zwierzętami, kiedy cierpimy? W mieszkaniu Hartwichów chłopca rozciągają cztery osoby. Tak walczą z przykurczami. W myśl metody, którą matka chłopca znajduje w książce.

Sąsiedzi wzywają policję.

Szukając ratunku dla syna, Iwona Hartwich puka raz do gabinetów profesorów, innym razem kluczy leśnymi ścieżkami w poszukiwaniu cudu albo choćby grzyba. Od baby z domku na kurzej łapce dostaje hubę, którą poi syna. Od innej kupuje energię delfina.

– Niczego tam nie widziałam, ale otwierałam tę fiolkę w pokoju syna i wypuszczałam mu tę moc – przyznaje.

Dziś Kuba jest po ośmiu operacjach, w tym rekonstrukcji stóp i wydłużaniu ścięgien Achillesa. W gipsie spędzał po osiem miesięcy.

– A prawda jest taka, że gdyby został właściwie zdiagnozowany i rehabilitowany od razu, to byłby w lepszej formie – uważa Iwona Hartwich.

W Polsce u neurologa padają komendy. Posadzić dziecko. Rozebrać. Co potrafi? Jak ma na imię?

A w Anglii opiekun przedstawia się i mówi: Asiu, przepraszam cię, teraz porozmawiamy o tobie z mamą

Niemcy. Jak to lekarz nie bierze kopert?

– Proszę się uspokoić, to jest operacyjna sprawa. Wysłemy panią do Berlina, do profesora, specjalisty. Pani Agnieszko, takie rozszczepki wargi i podniebienia, jak ma pani syn, to są trzy operacje. To jest standard, słyszy Agnieszka w niemieckim szpitalu.

W dwie godziny (ze Szczecina do Greifswaldu jest 170 km) robi skok cywilizacyjny.

– W 2001 roku Szczecinie, w Zdrojach, na oddziale są dwie łazienki, dwa prysznice, połowa bez kafelków, brudno, antypatia – opowiada Agnieszka. – A tu sale są dwuosobowe, każda ma łazienkę z prysznicem. I to ciepło, które uspokaja.

A jednak Aga nie dowierza, że obce państwo zajmie się jej synem. Wysła męża na negocjacje z profesorem. Niech zawczasu zadba o jego przychylność.

– Ile to będzie kosztowało? – pyta Joannis lekarza. Wie, że na operację syna w Grecji, w państwowym szpitalu, musiałby sprządać mieszkanie.

– Ale jak to ile? Przecież kasa chorych za wszystko płaci – odpowiada profesor.

– Tak, tak, my wiemy, ale ile jeszcze za to dla pana?

– Jak to dla mnie? Ja już jestem opłacony!

Agnieszka z mężem szeroko otwiera ją oczy.

Pierwszą operację Stavros ma w wieku trzech miesięcy. Profesor odwiedza go codziennie. Jak to lekarz nie bierze kopert?!

– wciąż nie dowierzają rodzice. Podglądają go ze szpitalnego okna.

– Agnieszka! Nie uwierzysz, profesor wrzucił teczkę do koszyka na rowerze i pojechał! – mówi on.

– No coś ty?!!

W pięć lat Stavros przechodzi pięć operacji rozszczepu. Lekarze „zamykają” mu wargę, żeby mógł jeść i pić, to samo robią z podniebieniem miękkim i twardym. Po trzeciej operacji i wysokiej gorączce okazuje się, że chłopiec ma coś więcej niż rozszczepy. Diagnoza: autyzm z nadpobudliwością ruchową. Pan Bóg wybiera osoby, które sobie poradzą, tłumaczy Agnieszce zakonnica z jej rodziny. Wie, że twoje dziecko będzie miało z tobą dobrze, argumentuje. Bo choroby są dla ludzi i trzeba je jakoś znieść

– Dobra, nie truj mi swoimi wywodami! Za co mnie pokarał?! Nie chcę być silna, chcę, żeby Stavros był zdrowy!! – odpiera matka.

Bóg nie pomaga, ale niemiecka służba zdrowia tak.

Doświadczony psycholog z centrum autyzmu diagnozuje chłopca niemal od ręki.

Po niemieckim sznurku

Jest 8.30. Lekarz daje Eli, mamie Lenki, karteczkę: o 9 wizyta w klinice, u neurologa.

Ale jak to dzisiaj?! Kur... Co ja mam teraz zrobić? Gdzie ta klinika? Jestem tu trzy tygodnie, wiem, gdzie jest sklep, umiem kilka słów po niemiecku – wspomina kobieta. Waldek zwalnia się z pracy i zawozi dziewczynę do szpitala.

Lena ma EEG, automatycznie przysyła ne lekarzowi. Kamera nagrywa jej zachowanie. Po chwili matka z córką są w gabi-

ka specjalista od ADHD. Dorota nie wierzy. Przecież jej Adaś uwielbia ludzi, a autystycy tak nie mają. Jenocześnie ma kiepską koordynację, skakać uczy się jako dziecięciolatek, no i po siedemset razy dziennie powtarza: „What’s your name?”.

Tu dziecko jest szanowane

W Niemczech w tym samym czasie Stavros, syn Agnieszki, chodzi do prywatnej szkoły ewangelickiej (rodzice ewangelikami nie są) opłacanej przez państwo. W klasie jest siedmioro dzieci pod opieką nauczyciela prowadzącego i dwóch pomocników. A Oliwier, chłopiec z silnym porażeniem mózgowym, karmiony sondą, ma swoją pielęgniarkę.

Lenka, córka Eli, chowa się w krzakach na szkolnym podwórku, bo dzieci śmieją się, gdy próbuje powiedzieć coś po niemiecku. Ale trafia na Iris – nauczycielka nie zna słowa po polsku, za to uśmiecha się i przytakuje oraz bawi się z Leną, włącza w zajęcia grupowe. W końcu dziewczynka wraca do domu w Greifswaldzie szczęśliwa, że pani ją rozumie.

Anna z kolei rozplywa się nad szkołami specjalnymi w Anglii. Kiedy jej Asia, dziś nastoletnia, chodzi do podstawówki, ma siedmioro dzieci w klasie, a każde ma swojego nauczyciela opiekuna. Dzieci uczą się cyfr, kolorów.

– Uczy się je także decydować. Daje się dwie rzeczy i słucha ich wyboru – opowiada. – To nie jest przechowalnia.

Najważniejsza dla Anny jest podmiotowość dziecka. Coś, czego w ojczyźnie nie zaznała.

– W Polsce u neurologa padają komendy. Posadzić dziecko. Rozebrać. Co potrafi? Jak ma na imię? A w Anglii opiekun zniża się do poziomu córki i najpierw się przedstawia. Mówi: Asiu, przepraszam cię, teraz porozmawiamy o tobie z mamą – opisuje Anna. – Uwielbiam to, że moje dziecko jest w ten sposób szanowane.

Adam, syn Doroty, najpierw idzie do szkoły publicznej w Londynie, z asystentem, a potem do specjalnej. Ma 17 lat, gdy uczy się korzystać z toalety. Dziś zaczyna dodawać i odejmować. – I maluje tak piękne obrazy, że dech zapiera – mówi matka. – Zrobiliśmy książkę o Polsce, gdy Adam starał się o obywatelstwo.

A w Polsce?

Na początku pierwszej dekady XXI wieku syn Iwony Hartwich nie ma szkoły, do której mógłby pójść. Rodzice walczą o klasę integracyjną, w placówce najbliższej domu. Czyli o coś, co powinno być standardem.

Dorota Augustyniak, prezeska zarządu fundacji Słoneczko, o edukacji i integracji dzieci z niepełnosprawnościami nad Wisłą mówi, że państwo „próbuje” coś robić. – Dziecko najpierw trafia do szkoły publicznej, potem specjalnej. Niestety, nie zawsze nauczyciele są wystarczająco przygotowani do takiej pracy i jest ich zbyt mało.

– W Niemczech czuję się zaopiekowana, a jednocześnie jestem wkur... na maksa. Na siebie i na Polskę, i na lekarzy, którzy są nieoduczeni albo mają pacjenta gdzieś – opowiada Ela. – Gdybym wyjechała do Niemiec wcześniej, to być może z Leną byłoby inaczej.

Anna, mama Asi, nie wierzy jednak w kraje raje. W Anglii służba zdrowia też niedomaga. Różne choroby leczy się aspiryną. Ale dzieci z niepełnosprawnościami mają ortopedę, okulistę i neurologa raz w miesiącu w szkole. Specjaliści układają indywidualny plan dla dziecka. Jeśli uznają, że wymaga ono więcej zajęć, to je ma.

Anna chwali też genetyków, którzy wykluczają powtórzenie choroby Asi u dwójki jej dzieci. Docenia państwo, które opłaca drogie terapie.

– Moi przyjaciele mają córkę z rdzeniem zanikiem mięśni. I choć widzieli, że jest 75-procentowe ryzyko, że ich drugie dziecko też będzie to mieć, zdecydowali się na ciążę. Bo w Anglii lek na tę chorobę jest za darmo – wyjaśnia. – Dziś ich córka ma pięć lat i genetycznie jest chora, ale nie jest chora objawowo.

Wykluczeni z PKB

Niepełnosprawność dziecka w Polsce oznacza uziemienie rodziców. Państwo nakłada im kajdany. Daje im świadczenie i zabrania pracować. Dorobić też. Rodzic ma siedzieć przy wózku i marnieć.

Przerabiała to Ela: – Lenka była w przedszkolu, a ja musiałam siedzieć w domu. A świadczenie wynosiło raptem 1200 złotych.

Iwona Hartwich: – Są rodzice, którzy muszą pracować na czarno. Robimy system wykluczenia. A gdzie myślenie o PKB, o płaceniu podatków?

Dziwi się temu Anna: – W Anglii umożliwia się rodzicom pracę (do określonej kwoty), daje się pieniądze na zatrudnienie osobistego opiekuna, by rodzic płacił podatek i opiekun także.

Skutki przykuwania opiekunów osób z niepełnosprawnościami do wózków i łózek mają także konsekwencje psychiczne.

Dorota Augustyniak, psycholog: – Brak możliwości pójścia do pracy hamuje rozwój, uniemożliwia nawiązywanie i podtrzymywanie relacji z ludźmi. To wykluczenie społeczne, które prowadzi m.in. do depresji.

Pojawiło się jednak światelko w tunelu. To świadczenie wspierające, które pozwala pracować rodzicowi dziecka z niepełnosprawnością. Czyli postęp? Nie według posłanki Hartwich, która przepis ten nazywa kuriozalnym.

– Bo jednocześnie odbiera się rodzicowi świadczenie pielęgnacyjne. No i dlatego pracować mogą rodzice dziecka do 18. roku życia? A co potem? Przecież nikt nie zwalnia nas z obowiązku alimentacyjnego, musimy się nadal opiekować sobą z niepełnosprawnością, przy czym nie mamy już świadczenia pielęgnacyjnego – pytania te posłanka wysłała do rządu Donalda Tuska. Do swojego rządu.

Przepis stanowi, że po osiągnięciu pełnoletności to osoba z niepełnosprawnością będzie otrzymywać świadczenie wspomagające. Maksymalnie może być to 220 proc. renty socjalnej, czyli ponad 3000 zł.

– Chcemy pomagać osobie chorej krzywdą opiekuna?! To nie do pogodzenia – uważa Hartwich i dodaje: – My jesteśmy zacoferani w myśleniu o opiece osoby niepełnosprawnej. Będę walczyła o zmianę prawa.

Jej zdaniem na wspomnianej ustawie najbardziej korzystają osoby w podeszłym wieku. – W województwie kujawsko-pomorskim, czyli w moim okręgu wyborczym, 80 procent wniosków o świadczenie wspierające złożyli seniorzy.

Pani poseł postraszy

Zmiany w polskim prawie, które zdaniem posłanki Iwony Hartwich powinny zostać wprowadzone z myślą o osobach z niepełnosprawnościami i ich rodzinach, dotyczą: wysokości i zasad przyznawania świadczeń dla opiekunów, możliwości podejmowania przez nich pracy, opłacania składek emerytalno-rentowych, zasiłku pogrzebowego, opieki wytchnieniowej i psychologicznej, programu asystenckiego, utworze-

nia instytucji rzecznika praw osób z niepełnosprawnościami i wielu, wielu innych.

Posłanka pracuje nad instrukcją dla rodziców z podpowiedziami: gdzie udać się po pomoc, gdy w rodzinie pojawi się dziecko z niepełnosprawnością.

To w przyszłości.

Dziś wciąż zdarza jej się słyszeć historie jak ta. Przychodzi matka do MOPS-u i pyta, co jej się należy. A urzędniczka na to: a co by pani chciała? Yyy.

Po ochłonięciu matka pisze o pomoc do posłanki. – I ja interweniuję w jej sprawie – mówi Iwona Hartwich. – I z drugiej strony słuchawki nieraz słyszę: proszę zacząć, my zaraz tej pani wszystko powiemy. To jest absurd. Ja jestem straszakiem! Mijają lata, a ja wciąż walczę, podpowiadam, kieruję, załatwiam. To jest proteza, a nie systemowe działanie.

Renta jak minimalna

Niedawno na łamach „Wyborczej” Iwona Hartwich odrząbiła sukces. „Mamy to! Osoby z niepełnosprawnościami dostaną wyższą rentę socjalną” – oznajmiła po tym, jak obywatelski projekt o zrównaniu renty socjalnej dla osób z niepełnosprawnościami do płacy minimalnej wreszcie wyszedł z komisji.

Asią opiekować się będę do końca życia, nie wyobrażam sobie oddania jej do ośrodka.

A że w Anglii możemy rozwijać siebie i swoje biznesy, i żyjemy w środowisku otwartym, przyjaznym, to tutaj zostaniemy

Renta ma wzrosnąć z 1,8 tys. zł brutto do 4,3 tys. zł brutto. Pomoc tę otrzymają jednak tylko osoby niezdolne do samodzielnej egzystencji i pracy.

Dla Eli zmiana ta nic nie znaczy: – Te pieniądze nic mi nie dadzą. Wraz z nimi musi iść większy dostęp do lekarzy specjalistów i terapii. I wsparcie państwa w opiece nad dzieckiem. My do Niemiec nie wyjechalśmy dla pieniędzy, ale z uwagi na to, jak działa tutejszy system wsparcia.

Agnieszka z kolei docenia starania polskich władz: – Dla wielu osób w Polsce to kolosalna zmiana, która poprawi ich jakość i komfort życia.

Ale ona do ojczyzny już nie wróci. – Cała nasza trójka tutaj pracuje, Stavros zarabia niewiele, ale państwo rekompensuje mu to świadczeniem socjalnym, a po 20 latach da mu pełną emeryturę, tak jakby zarabiał dziś po 2800 euro miesięcznie.

Bez poniżenia

Do ran i cierpienia fizycznego da się przywyknąć. Można je ośwoić. Trudniej zbudować pancierz chroniący psychikę, emocje rodziców osób z niepełnosprawnościami. W Polsce bez tej zbroi ani rusz.

Przykład? Stavros bawi się w piaskownicy, przesypuje polski piasek. Wtem zaczyna skakać, krzyczeć, jęczeć.

– Może pani zabrać tego dzikusa?! – żądają polskie matki. Agnieszka uważa, że to dlatego, że choroby Stavrosa nie widać. Tył że w Niemczech takich komentarzy nie słyszy. – Polacy mogliby uczyć się od Niemców tolerancji – uważa.

Kolejny przykład.

Anna z Asią w wózku spaceruje chodnikiem w rodzinnej miejscowości. Kobiety z dziećmi uciekają na drugą stronę ulicy.

– Był się nie minąć. Był nie dać własnej pociesze szansy na pytanie: a co jest tej dziewczynce? – komentuje matka. Jej zdaniem Polacy często nie wiedzą, jak za-

chować się wobec osób z niepełnosprawnościami. – Albo nas obserwują, ale tak, byśmy ich nie zauważyli, albo patrzą tak, jakbym miała na nich urok rzucić.

Kilkakrotnie na lotniskach w Polsce Anna spotyka się więc z pretensjami. Na przykład o to, że dzięki asystentowi osób niepełnosprawnych wypcha się w kolejkę.

– A co to za prawa?! – woła pan około pięćdziesiątki.

– Chce się pan zamienić?!

Cisza.

– W Anglii kierowca autobusu wstrzymuje wsiadających, dopóki nie opuści wjazdu i osoba z niepełnosprawnością nie wejdzie jako pierwsza. Ludzie zatrzymują się i mówią Asi „dzień dobry”, pytają, jak się mamy. W Anglii zakłada się na szyje smycze – zielone z żółtymi kwiatkami – znak niewidzialnej niepełnosprawności. Nawet pan u mnie na kasie ma taką smycz oraz identyfikator: przepraszam, jestem wolniejszy, bo jestem niepełnosprawny. I wszyscy to szanują – opisuje Anna.

– W Anglii ludzie nam pomagają, a w Polsce wysyłają nam bardzo dużo pożałowania.

Dorota Augustyniak, prezes zarządu fundacji Słoneczko: – Przydałaby nam się ustawa o niedyskryminowaniu osób z nie-

dla mojego syna pieniądze. Jednocześnie chcę zapewnić mu dostęp do różnych klubów, dlatego sama się w nich dziś udzielam, buduję więzi. Jego przyszłość jest w Anglii.

Ela: – Miewam przeblyski, by wrócić, być u siebie. Może wśród Polaków byłoby mi łatwiej? Czasem trafię tu na rasistę, jak wszędzie, ale nie mogę powiedzieć, że Niemcy mnie nie chcą. Poza tym Lena ma dziewięć lat, a wciąż sama nie potrafi wrócić do mieszkania, sama nie robi zakupów. W Polsce byłaby na nielasse państwa, a tutaj będzie zaopiekowana.

Do polskiego nieba

Iwona Hartwich nie zdecydowała się wyjechać z kraju lata temu i dziś nie zamierza, choć dostaje takie propozycje. Kolejni jej znajomi ruszają za granicę z myślą o przyszłości niepełnosprawnego dziecka.

– Wciąż słyszę o takich przypadkach – zapewnia. – Wyjeżdżać będą zwłaszcza rodzice z małymi dziećmi z niepełnosprawnością, którzy są bardziej świadomi, znają języki obce – uważa.

Zdaniem prezes Augustyniak pod uwagę wziąć należy też koszty leczenia. – Jeżeli mówimy o operacjach czy lekach, które

u nas nie są refundowane, to nic rodziców przed wyjazdem nie powstrzyma.

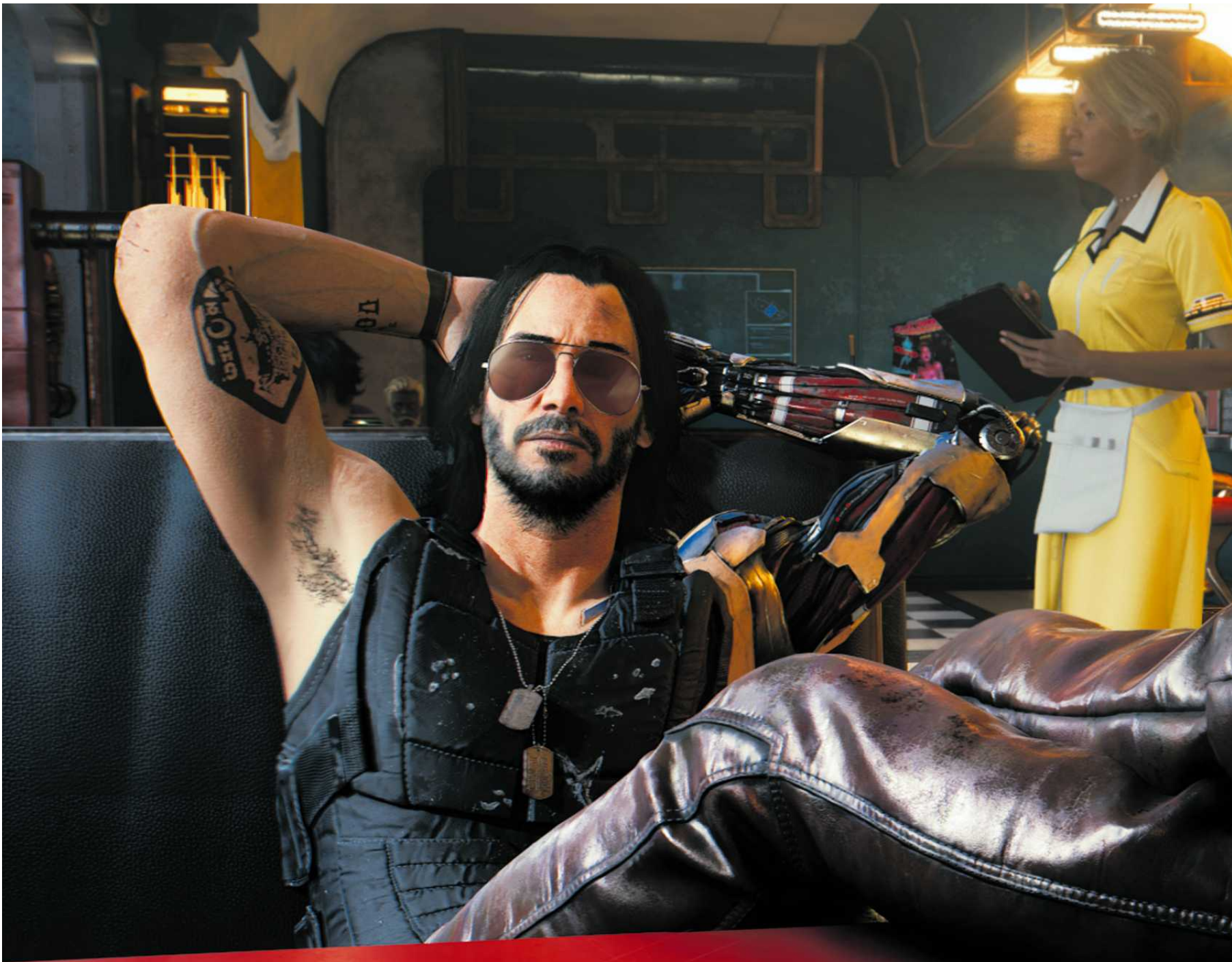
Ale jedna rzecz w Polsce jest lepsza. Rehabilitacja. W Niemczech czy Anglii państwo dopłaci więcej do sprzętu, dopasuje wózek (w Anglii bywa, że całe mieszkanie) do potrzeb osoby z niepełnosprawnością, ale z terapią bywa kiepsko. Moje rozmówczynie mówią o niebie i ziemi, przy czym niebo jest w Polsce.

Polscy fizjoterapeuci na serio ćwiczą z pacjentem, i to przez godzinę. W Anglii sesja trwa czasem dziesięć minut, przy czym fizjo coś tam pokazuje, ale każe ćwiczyć w domu. – Oni dają wskazówki, bo sam fizjoterapeuta jest zbyt ważny, by robić coś własnymi rękami. On nadzoruje pracę i robi papiery – twierdzi Dorota, mama Adama.

Dlatego na turnusy rehabilitacyjne przyjeżdża z synem do ojczyzny. Od 15 lat przynajmniej raz w roku spędza dwa tygodnie w Centrum Hipoterapii i Rehabilitacji „Zabajka” w Stawnicy. Jest tak zadowolona, że nagrywa terapie syna, a filmy te pokazuje trenerowi osobistemu w „gymie”. I odwrotnie. Dzięki wskazówkom od polskich fizjoterapeutów Adam może się rozwijać.

Związana z Zabajką Dorota Augustyniak potwierdza, emigranci doceniają nasze programy rehabilitacyjne. – Obserwuję te dzieciaki od dwudziestu lat i zaręczam, że terapia przynosi efekty – twierdzi psychologka. – Osoby na wózkach czy leżące muszą być rehabilitowane stale, by nie mieć choćby przykurczów, które sprawiają im ogromny ból.

Dorota, matka Adama, po latach spędzonych na terapiach, w tym w Izraelu, utwierdziła się w przekonaniu, jak ważna jest rehabilitacja. Niezależnie od wieku i stopnia niepełnosprawności. – Dlatego działam w myśl zasady „nie akceptuj mnie takim, jakim jestem”. ●



Kiedyś, mówiąc o dojrzałości w grach, myślano o brutalności i seksie. Teraz dojrzałość gier to przede wszystkim fabuła.

NAJCENNNIEJSZE SĄ

Z **PAWŁEM SASKO***
PROJEKTANTEM I REŻYSEREM GIER
ROZMAWIA
RADOSŁAW CZYŻ

Kim jest quest designer?

– To taka osoba, która projektuje fabułę, zadania w grze, wszystkie wydarzenia, sceny, postacie i tak dalej. Robimy to razem z pisarzami i cinematic designerami, czyli z ludźmi, którzy tworzą filmowe scenki fabularne w grze.

Ty zacząłeś w wieku 19 lat.

– Najpierw były papierowe gry RPG, gdzie tworzyłem fabuły i przygody dla znajomych. Graliśmy wtedy głównie w „Wampira: Maskaradę” i „Cyberpunka 2020”. Byłem mistrzem gry, więc zależało mi, żeby gracze byli jak najbardziej wciągnięci w historię. Starałem się wymyślać sytuacje, które ich zaskoczą i za-

interesują. Jedną kampanię w „Wampira” prowadziłem przez trzy lata, z kolegami spotykaliśmy się co tydzień na kilkugodzinnych sesjach – mieszkalem jeszcze w swojej rodzinnej wsi Płowce w Bieszczadach. Wtedy nauczyłem się, co tak naprawdę angażuje graczy, jak wyczuwać, kiedy się nudzą, i jak zaskakiwać ich czymś nowym. To był świetny trening wyobraźni. Zupełnie nieświadomie uczyłem się projektowania gier, chwytania uwagi graczy.

Już wtedy chciałeś tworzyć gry wideo?

– Miałem ambicję, żeby zostać pisarzem. Mama trochę kręciła nosem, że nie będę miał czego do gara włożyć. Zapytała, czy nie wolałbym pisać scenariuszy. Byłem rozdarty, bo pisałem już książkę. Była straszna, ale ją skończyłem. Po prostu chciałem pisać.

Gdy miałem 19 lat, przyjechałem do Warszawy. Na Uniwersytecie Warszawskim studiowałem dziennikarstwo i psychologię, ale jednocześnie dużo grałem, głównie w gry fabularne, jak „Baldur’s Gate”, „Planescape: Torment”. Pociągała mnie w nich fabu-

ła, barwne postaci... Było w nich masę tekstu do przeczytania przez gracza i pomyślałem, że przecież muszą być jacyś ludzie, którzy to wszystko piszą i projektują. Zacząłem więc szukać miejsc, w których mógłbym pracować przy grach i uczyć się tego fachu.

Jak się uczy projektowanie questów?

– Na początku skupiałem się na czytaniu książek, oglądaniu filmów i dużo pisałem. Pomogły mi też studia. I dziennikarstwo, i psychologia dały mi narzędzia, które dziś staram się przekazywać designerom, z którymi pracuję.

Najważniejsze było jednak coś, co w kulturoznawstwie nazywamy dekonstrukcją. To umiejętność rozbijania dzieła narracyjnego na części, by ogarnąć jego strukturę. Chodzi o to, żeby rozpoznać problematykę, przypisać ją do danego gatunku, zrozumieć temat, konstrukcję postaci i sposób ich wprowadzania. Istotne jest też prześledzenie łuku narracyjnego – jak postacie się rozwijają i gdzie są punkty zwrotne fabuły.



FOT. CD PROJEKT

• **JOHNNY SILVERHAND** z gry „Cyberpunk 2077”. Weteran wojenny i frontman zespołu Samurai. Pseudonimem zawdzięcza chromowanej protezie ręki. Charyzmatyczny renegat i narcyz. Poświęca życie mszcząc się na korporacji Arasaka za śmierć ukochanej. Ale jego świadomość zostaje zapisana na dysku, który lata później, trafia w ręce (a raczej za ucho) gracza. W grze z wdziękiem wciela się w niego Keanu Reeves

• **GERALT Z RIVII. WIEDZMIN.** Najlepszy towar eksportowy polskiej popkultury. Bohater opowiadań i powieści Andrzeja Sapkowskiego. My poznaliśmy go pod koniec lat 80., Anglosasi dopiero w 2007 r., gdy ukazało się tłumaczenie opowiadań i pierwsza z serii gier „Wiedźmin” studia CD Projekt RED. Oszalałającą karierę na świecie zrobił zwłaszcza „Wiedźmin 3: Dziki Gon”. Sprawił, że Geralt stał się bohaterem wielkiego formatu

W GRACZA

Wspominasz dość stare gry. 20 lat temu nikt nie mówił o quest designie. Fabuły pisali ludzie z niezłym piórem, ale przecież nie zawodowi scenarzyści czy pisarze. Za to w kinie i telewizji te schematy, o których mówisz, są znane i funkcjonują od bardzo dawna. Uczyleś się z książek dla scenarzystów?

– Jasne. Są świetne pozycje, jak „Scenariusz na miarę XXI wieku” Lindy Aronson czy „Doskonalenie dobrego scenariusza” Lindy Seger. Choć są napisane z myślą o scenariuszach filmowych, to techniki z nich można z powodzeniem wykorzystać do pisania książek, seriali, komiksów, a także gier – choć czasem trzeba je odpowiednio dostosować.

Na przykład zasady dotyczące tworzenia postaci i rozwijania ich wątków czy konstruowania dobrego twistu fabularnego są uniwersalne, niezależnie od medium. Jednak gry wyróżniają się swoją interaktywnością. Jako gracz staję się w jakimś sensie bohaterem tej historii – mogę różnie postrzegać świat przedstawiony, mieć różne

Nie pamiętam pierwszej gry, przy której płakałem, ale pamiętam pierwszą, przy której byłem wściekły

motywacje, potrzeby i cele. To daje możliwość podejmowania wyborów, jeśli oczywiście gra na to pozwala.

Nie każda pozwala?

– Są takie tytuły jak „The Last of Us”, które są bardzo filmowe. W nich fragmenty rozgrywki służą głównie temu, by doprowadzić gracza do kolejnej sceny, która w klasyczny sposób opowie nam dalszy ciąg historii. W takich przypadkach interaktywność, czyli sterowanie postacią, pomaga mocniej wczuć się w opowieść i zaangażować emocjonalnie.

Jednak gra musi być zaprojektowana tak, by żaden element nie trwał zbyt długo, co oznacza, że musi mieć odpowiedni rytm narracji – w branży nazywamy to pacingiem. Pacing różni się w zależności od medium. Ta sama fabuła powinna mieć inny rytm w książce, inny w serialu, a jeszcze inny w grze. I to są spore różnice.

A jak jest z „Wiedźminem”?

– Jak mówileś, kiedy ja zaczynałem pracę przy grach, pojęcie quest designu, które mamy dzisiaj, właściwie nie istniało. Pojawilo się jakieś 15 lat temu, szczególnie w tytułach związanych z RPG. Przy „Wiedźminie 2” byliśmy jeszcze nazywani zespołem implementacji. Pisarze tworzyli fabułę, a nasz zespół zajmował się wdrażaniem questów.

Dopiero przy „Wiedźminie 3” zaczęliśmy nazywać siebie quest designerami i zmieniliśmy trochę sposób pracy. Pisarze tworzyli ogólny zarys fabuły, a my na jego podstawie pisaliśmy scenariusze questów. To wtedy quest design zaczął się kształtować jako odrębna rola.

Podczas wykładu na festiwalu Promised Land w Łodzi wspomniałeś, że gracze pamiętają bohaterów, ale nie fabułę. Ona w grach nie jest aż tak ważna?

– To zależy od tego, jaką rolę dany quest odgrywa w grze. Niektóre są wyraźnie częścią większego wątku fabularnego konkretnej postaci. Weźmy na przykład romans z Judy w „Cyberpunku”. W tym przypadku najważniejsza jest sama postać Judy i relacja, którą z nią budujemy. Możemy ją rozwijać na różne sposoby. Na przykład Judy pokazuje nam kawałek swojej przeszłości, wspólnie nurkujemy, obserwujemy zatopioną część miasta, rozmawiamy o tym. W tym przypadku na pierwszy plan wysuwa się więź z postacią, a fabuła jest tłem tej relacji.

Oczywiście są też questy, w których główną rolę odgrywa zaskakująca fabuła – tam ważniejsza może być historia. Ale nawet w takich questach kluczowe są postacie, które tę historię napędzają. Gdy musimy coś zmieniać w zadaniu, zawsze w pierwszej kolejności poświęcamy fabułę, a nie postać. To postacie są najważniejsze, bo to one zostają w pamięci gracza, a nie fabularne twisty.

A jak ważne jest zawieszenie niewiary u gracza, jego immersja ze światem i opowieścią?

– Trzeba się starać, aby gracz jak najdłużej pozostał zanurzony w świecie i fabule gry, by nie kwestionował tego, co dzieje się na ekranie. W momencie, kiedy pojawia się coś nieautentycznego – fałsz w zachowaniu postaci lub nieprzekonujący element fabuły – gracz natychmiast zaczyna to podważać. Zaczyna kwestionować konstrukcję świata, wiarygodność postaci, a w efekcie może uznać, że gra jest głupia lub nieodpowiada jego własnym doświadczeniom.

Wtedy łatwo się rozkojarzyć, robić coś innego w międzyczasie – oglądać serial, słuchać muzyki – i nie angażować się w grę w pełni.

Ale kiedy gracz zaczyna czuć coś do postaci, na przykład współczucie, sympatię czy nawet nienawiść, wtedy wciąga się w grę na poziomie emocjonalnym. To sprawia, że przestaje analizować logicznie fabułę i angażuje się w świat przedstawiony.

W „Cyberpunku” i „Wiedźminie” ogromną wagę przywiązujemy do tworzenia emocji. Na przykład pierwszy moment, kiedy Geralt spotyka Ciri i myśli, że ona nie żyje, albo finałowe wybory w „Cyberpunku”, choćby ten, gdy gracz decyduje, że nasza postać popełnia samobójstwo. Potem ogląda reakcje wszystkich bliskich mu postaci, które dzwonią do bohatera, więc i do gracza, i nagrywają wiadomości z pożegnaniem. Każda z nich ma złamane serce. Nie pozna-



FOT. CD PROJEKT SA

*Paweł Sasko

• associate game director w CD Projekt Red. Rocznik 1985. W branży gier wideo od blisko 20 lat. Jako 19-latek stawiał pierwsze kroki w tworzeniu gier niezależnych – żadnej z nich nie wydał. Zdobyte doświadczenie pozwoliło mu jednak na rozpoczęcie pracy

w firmie Reality Pump, w której pracował przy zapomnianym już tytule „Two Worlds 2”.

Do CD Projekt Red dołączył 13 lat temu. Zaczął od implementowania zadań i misji pobocznych, questów, w grze „Wiedźmin 2: Zabójcy królów”. Przy „Wiedźmi-

nie 3: Dzikim gonie” pisał i projektował już własne questy, a z czasem został szefem działu quest desingu, którym kierował przy dodatkach „Serce z kamienia”, „Krew i wino” oraz grze „Cyberpunk 2077”.

Obecnie jako associate game director (zastęp-

ca reżysera gry) pomaga Gabe’owi Amatangelowi, game directorowi wiceprezydentowi firmy, w zakładaniu nowego studia CD Projekt Red North America w Bostonie. To tam powstać ma nowy „Cyberpunk”. CD Projekt Red od lat pozostaje jednym ze światowych

liderów w branży gier. Nic dziwnego, że firma zdecydowała o założeniu nowej filii. Amerykański rynek gier dotknęła fala zwolnień grupowych w największych studiach. Dla CD Projektu była to szansa na pozyskanie najbardziej doświadczonych twórców.

łem gracza, który w tym momencie nie płakał.

A pamiętasz pierwszą grę, na której płakałeś? Dla mnie to był finał pierwszego „Red Dead Redemption”, ikalem jak dziecko.

– Było ich naprawdę dużo. Jestem bardzo emocjonalnym graczem. Pamiętam pierwszy raz, kiedy byłem wściekły. To było w „Baldur’s Gate II”, kiedy Yoshimo zdradził mnie w trzech czwartych gry. Zainwestowałem mnóstwo czasu i emocji w rozwijanie tej postaci, wyposażałem ją, budowałem wszystko... To był świetny twist fabularny, ale byłem naprawdę wściekły – na grę, na Yoshimo. Ten moment pamiętam bardzo wyraźnie.

A płakałem na pewno przy „The Last of Us”, „Wiedźminie” i „Cyberpunku”. Mimo że przy tych dwóch ostatnich grach pracowałem, to i tak mnie poruszyły.

„Wiedźmin 3”, „The Last of Us”, nieco wcześniejsze „Uncharted 2” – te tytuły mocno postawiły na opowieść, były bardzo filmowe. Do dziś reszta branży w pewien sposób traktuje je jak wzór. To duża odpowiedzialność być w tym gronie?

– Gry, które wymieniles, przyniosły zmianę, zaczęły traktować gracza poważnie, jak dorosłego, który chce być konfrontowany z trudnymi tematami i różnymi poglądami. Zresztą zmienili się też sami gracze; to czę-

sto ludzie w stabilnych związkach, z rodzinami i dziećmi. Oni oczekują czegoś więcej.

Kiedyś, mówiąc o dojrzałości w grach, myślano o brutalności i seksie. Teraz dojrzałość gier to przede wszystkim fabuła. Na przykład w „Wiedźminie 3” mamy historię Krwawego Barona, która porusza temat przemocy domowej, albo w „Red Dead Redemption 2” wątek choroby Arthura Morgana i jego przemiany.

„Cyberpunk 2077” to historia o śmiertelnej chorobie, o tym, jak człowiek radzi sobie ze świadomością przemijania.

Takie tematy były nie do pomyślenia 10-15 lat temu. Nasze medium dojrzewa i cały czas się rozwija, a wraz z nim pojawia się coraz więcej gier o głębszych, poważniejszych treściach.

Gry w porównaniu z innymi dziełami kultury to wciąż bardzo młode medium. Co mogą przynieść nowe technologie?

– Wydaje mi się, że gry wideo przejdą podobny proces, co kino. Zaczynaliśmy od prostych gier, tak jak kino od filmów braci Lumière, potem było kino nieme, czarno-białe, wreszcie czasy współczesne. Obecnie osiągnięcia technologiczne nie są już tak istotne, nie mają tej wagi, choćby filmy w 3D. Za to coraz większe znaczenie mają treść i tematy, które kino porusza.

Gry również mogą zmierzać w tę stronę, jako medium interaktywne mają pod tym względem ogromny potencjał.

Mówisz, że gracze dojrzeeli, ale chyba nie zawsze pod względem emocjonalnym. Zdarza ci się czytać opinie graczy, które zawodzą cię jako twórcę?

– Zdarza się, że czuję zawód, kiedy jako twórcy wkładamy ogrom pracy w jakiś wątek fabularny czy miejsce, a gracze tego nie zauważają. Czasami trzeba długo czekać, zanim dotrą do tych elementów i w pełni je zrozumieją. Pamiętam dyskusje wokół „Cyberpunka”. To był bardzo ciekawy przykład, choć nie nazwałbym tego zawodem – raczej był to naturalny proces obserwowania, jak gra jest odbierana.

To wymagająca gra.

– Tak. I skierowana do dojrzałego odbiorcy. Oczywiście można w nią grać jak w strzelankę i przeskakiwać większość scen. Na początku to było rozczarowujące, ale teraz już nie jest, bo dyskurs się zmienił. Ludziom dość długo zajęło dotarcie do głębszych warstw gry. To dla nas lekcja na przyszłość.

Żeby robić mniej wymagające gry?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Jako twórcy musimy sobie zadać pytanie: na jakim poziomie komunikujemy się z graczem? Jak skomplikowane i głębokie mogą być te elementy i gdzie znaleźć granicę, żeby była ona zrozumiała dla odbiorcy? Myślę, że staraliśmy się to wziąć pod uwagę przy dodatku „Widmo wolności”, jednak podczas pracy nad „Cyberpunkiem” nie mieliśmy tej świadomości. Gra była po prostu bardziej skomplikowana niż „Wiedźmin”, a w 2016-17 roku, kiedy projektowaliśmy te elementy, jeszcze nie wiedzieliśmy, jak to dobrze wyważyć.

To sztuka tworzenia masowej rozrywki, która pozostaje dostępną dla masowego odbiorcy, a jednocześnie dostarcza inspirujących i głębszych doświadczeń. Chcemy unikać wpadania w niszę, gdzie gra staje się artyzmem dla samego artysty, rozumiałym tylko dla nielicznych. ●

Teraz zmienili się sami gracze. To często ludzie w stabilnych związkach, z rodzinami i dziećmi.

Oczekują czegoś więcej. Chcą być konfrontowani z trudnymi tematami i różnymi poglądami

PAUL MESCAL PEDRO PASCAL ORAZ CONNIE NIELSEN I DENZEL WASHINGTON

GLADIATOR II

PARAMOUNT PICTURES PRESENTS A SCOTT FREE PRODUCTION A LUCY FISHER / DOUGLAS WICK PRODUCTION A RIDLEY SCOTT FILM "GLADIATOR II" PAUL MESCAL PEDRO PASCAL JOSEPH QUINN FRED BECHINGER WITH CONNIE NIELSEN AND DENZEL WASHINGTON MUSIC BY HARRY GREGSON-WILLIAMS COSTUME DESIGNER JANITY YATES COSTUME DESIGNER DAVE CROSSMAN EDITED BY CLARE SIMPSON SAM RESTIVO PRODUCTION DESIGNER ARTHUR MAX DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY JOHN MATHIESON, DSC EXECUTIVE PRODUCERS WALTER PARKES LAURIE MACDONALD TRAYMOND KIRK ANDAN ELLIOTT PRODUCED BY DOUGLAS WICK, P.G.A. RIDLEY SCOTT, P.G.A. LUCY FISHER, P.G.A. MICHAEL PRUSS, P.G.A. DAVID FRANZONI BASED ON CHARACTERS CREATED BY DAVID FRANZONI STORY BY PETER CRAIG AND DAVID SCARPA SCREENPLAY BY DAVID SCARPA DIRECTED BY RIDLEY SCOTT

W KINACH OD 15 LISTOPADA

OJCZYZNA JOGURTU I KEFIRU

Jak reklama „Wycieczki do Auschwitz z obiadem” sprawiła, że amerykańskiemu aktorowi „wszystko w głowie połączyło się w całość”. „Prawdziwy ból” to amerykańskie spojrzenie na Polskę i historię Żydów

**Maja Staniszevska
Radosław Czyż**

Orupka Amerykanów robi sobie zdjęcia przed pomnikiem Powstania Warszawskiego. Udają a to, że rzucają granaty, a to, że zostali trafieni i padają, a to, że opatrują rannych. Część polskich widzów się wzdrygnie. Jakże to? Dziecięce zabawy na tle pomnika poległych? Czy tak wypada? To jednak wycieczka zza oceanu – od historii powstania warszawskiego dzieli ich 6850 km, doświadczenie, kilka pokoleń. I dlatego „Prawdziwego bólu” nie mógłby nakręcić mieszkający w Polsce Polak.

Zresztą Jesse Eisenberg też tego nie planował. Pisał scenariusz filmu o wyprawie do Mongolii.

I nagle ta Polska. Było mu do niej bliżej, stąd pochodzi część jego rodziny, polskich Żydów, którzy jeszcze przed wojną wyjechali do Nowego Jorku. Tutaj też nadal mieszkają jego krewni, których bliskim udało się ocalić z Zagłady.

„Dziękuję, że przyjechałeś, już nigdy cię nie zobaczę”

Eisenberg, amerykański aktor, scenarzysta, dramaturg, także reżyser, jest od niedawna honorowym obywatelem Krasnegostawu, niedużego miasta leżącego w województwie lubelskim.

To tu urodziła się w 1912 roku i mieszkała przez 26 lat Do-

ris, ciotka ojca Eisenberga. Aktor regularnie ją odwiedzał w jej mieszkaniu na Manhattanie, od kąd był nastolatkiem. Przeżyła tam kilka dekad – zmarła dwa tygodnie przed swoimi 107. urodzinami. Została życiową mentorką Eisenberga. Była twarda i brutalnie szczera, ale mógł na nią liczyć. O Polsce i Polakach mówiła dobrze, zupełnie inaczej niż znaczna część nowojorskiej diaspory.

Aktor postanowił odwiedzić jej dawny dom w Polsce. Pochwalił się tym pomysłem, ale ciotka nie wydawała się zainteresowana. – Ale ja chciałem się dowiedzieć więcej o korzeniach mojej rodziny, prawdopodobnie było to przedłużenie mojego narcyzmu – mówił w „Jewish Journal” w 2017 r.

Najpierw w Szczecinie odwiedził kuzynkę ciotki Doris. Zamierzał być u niej tydzień, z poczućcia winy został dłuższy. – Powiedział coś w rodzaju: „Dziękuję, że przyjechałeś, wiem, że już nigdy więcej cię nie zobaczę”. To było rozdzierające – opowiadał. Odwiedził ją jeszcze raz, na kolejne dwa tygodnie. Wtedy krewna opowiedziała mu o tym, że w czasie wojny była świadkiem śmierci brata.

To zmieniło jego spojrzenie na własne emocje. – Jak mogę się smuć z powodu drobniostek, takich jak to, jakie role dostaję, kiedy na świecie jest prawdziwe cierpienie? – mówił.

Droga do „Prawdziwego bólu”

Tę historię Eisenberg opowiedział w sztuce „The Revisionist” wystawionej w Nowym Jorku

• **Kadr z filmu „Prawdziwy ból”. Z lewej: Kieran Culkin jako Benji i Jessie Eisenberg jako David. Kuzyni, którzy chcą poznać losy swojej rodziny w Polsce**

FOT. SEARCHLIGHT PICTURES



w 2013 r. To historia Davida, Żyda z Manhattanu, który w Polsce odwiedził starą krewną, która przeżyła Holocaust. Jest tak zaabsorbowany sobą, że właściwie nie zwraca na nią uwagi. Gdy w końcu poznaje jej historię, historię żydowskiej dziewczyny, która przetrwała, bo udawała katoliczkę, wraca do Nowego Jorku odmieniony.

Eisenberg znów odwiedził Polskę, tym razem z żoną, której rodzina pochodzi z Łodzi. Zaczął myśleć o nakręceniu tutaj filmu. Kiedy mówił, że wybiera się do Polski, słyszał: „To antysemita, powodzenia”. To go tylko upewniało, że w relacjach amerykańskich znajomych z Polską jest coś, co mu nie odpowiada.

Utknął w innych projektach. – Walilem głową w klawiaturę i wtedy na ekranie wyskoczyła mi reklama „Wycieczka do Auschwitz (z obiadem)” – mówił w „New Yorkerze”. I wtedy wszystko połączyło się w całość.

Wiedział, że amerykańscy Żydzi z klasy średniej jadą do Polski szukać korzeni lub śladami żydowskiej historii oraz Holocaustu. Chcą jakoś dotknąć doświadczenia przodków, ale nie zamierzają przy tym rezygnować z wygód: dobrego jedzenia, porządnego hotelu, szybkiego transportu. To jakoś uwierało Eisenberga.

W filmie „Prawdziwy ból” wlewa tę emocję w Benjiego, który w wagonie pierwszej klasy pociągu z Warszawy do Lublina wygłasza płomienną przemowę o wyrzutach sumienia wywołanych tym, że oglądać ślady Zagłady

dy jadą siedząc w pierwszej klasie. Reszta wycieczki słucha go z kompletnym niezrozumieniem, a nawet z niechęcią.

Dotknąć żydowskiego doświadczenia

W „Prawdziwym bólu” Benji i David, żydowscy kuzyni z Nowego Jorku, przyjeżdżają do Polski, by uczcić pamięć niedawno zmarłej babci Dory.

Davida gra Eisenberg, Benjiego – znany z serialu „Sukcesja” Kieran Culkin.

David, dość podobny do wcześniejszych bohaterów Eisenberga, ma swoje neurozy, ale jest odpowiedzialnym mężem i ojcem z nudną, dobrze płatną pracą. Benji jest z kolei charyzmatyczny, dowcipny i bezpośredni. To ktoś, kto w pierwszych 30 sekundach rozmowy z obcym przełamuje lody, a po godzinie jest już jego najlepszym przyjacielem. I jednocześnie ktoś przepełniony smutkiem, który odbija się w wielkich oczach Culkina.

Przylatują do Warszawy i dołączają do „holocaustowej” wycieczki – małej grupy prowadzonej przez brytyjskiego naukowca Jamesa zafascynowanego historią Żydów z Europy Wschodniej. Są w niej poraniona rozwódka, para świeżo upieczonych emerytów rozpoczynających w życiu nowy rozdział. Jest też neofita – Rwan-dyjeczyk, który ocalał z ludobójstwa i w Ameryce przeszedł na judaizm. To kolejna, po babci (za-inspirowanej ciotką Doris), postaci wzorowana na prawdziwej osobie – Eloje, przyjacielu Eisenberga.

Pod pomnikiem Bohaterów Getta na Muranowie przewodnik mówi, że będzie to prawdopodobnie wycieczka „śladami bólu”. Ale po drugiej stronie placu stoi Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, które opowiada nie tylko o śmierci, ale też o życiu.

Inne spojrzenie na Polskę

Michał Dymek nakręcił zdjęcia do „Io” i „Dziewczyny z igłą”. W „Prawdziwym bólu” pokazał Warszawę piękną, ale daleką od tej, którą znamy choćby z seriali TVN. To nie miasto szklanych domów i luksusowych wnętrz. Jest nowoczesne, ale tętni historią, wyrosło na krwi ofiar dwóch powstań.

Eisenberg zamiast duchami zainteresowany jest żywymi – Davidem i Benjim, którzy stawiają pierwsze kroki na obcej, ale jakoś bliskiej ziemi przodków.

To podejście nasila się z biegiem filmu. Gdy bohaterowie docierają do Lublina, przewodnik wymienia rozmaite ważne dla żydowskich mieszkańców miasta miejsca – od sklepów po synagogę, od jesziwy po fryzjera. Na ekranie przewijają się pustostany, zaniedbane kamienice i puste alejki lub miejsca odrestaurowane, ale pozbawione śladów po dawnych właścicielach.

To zderzenie byłego z teraźniejszym działa na wyobraźnię. W Lublinie bohaterowie filmu konfrontują się z pewną sztucznąnością, „muzealnością” świata, który odwiedzają. Nawet żydowska restauracja jest atrapą, kolejną turystyczną atrakcją.

wyborcza | magazyn wyborczej **WOLNA SOBOTA**

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielicki
MAGAZYN KULTURA:
Agata Żelazowska-Ciesla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





Wycieczka odwiedza też stary żydowski cmentarz. Benji wytyka przewodnikowi brak autentyczności, oskarża o bycie kuratorem ich przeżyć, który nie daje możliwości konfrontacji z Polakami, współczesnymi mieszkańcami odwiedzanych miejsc. Eisenberg tą sceną rozbraja potencjalne zarzuty, jaki moż-

41-letni Eisenberg ma inne spojrzenie niż 77-letni Spielberg. I inne niż 91-letni Polański, który sam przeżył Zagładę. To spojrzenie trzeciego pokolenia, które jest prawdziwym bohaterem tego filmu

na by postawić jego filmowi – że jest filmem o Polsce bez Polaków. „Prawdziwy ból” to amerykańskie spojrzenie na nasz kraj i historię tutejszych Żydów. – Myślę, że film będzie interesujący dla Polaków, bo zawsze ciekawie zobaczyć swój dom z zewnątrz. Mam nadzieję, że moje spojrzenie jest wypełnione szacunkiem i przywiązaniem – mówił latem w wywiadzie dla Polsatu. Ten szacunek w szczególnie sposób widać w scenach w muzeum na Majdanku rozegranych prawie bez słów.

Kraków – Auschwitz – Lewandowski
Od czasu „Listy Schindlera” i „Pianisty” hollywoodzcy twórcy nie kręcili w Polsce filmów o Holocaustu. Tamte skrojone były pod swoje czasy. Oba ukazują tragedię, ale głośno wybrzmiewają w scenach dających nadzieję. U Spielberga zło i okrucieństwo jest tylko równowagą dla dobra i empatii. Z kolei Polański przeprowadza bohatera przez piekło, ale budzi w nim też nieśmiertelną wolę życia. Nie boi się jednak ukazywać na ekranie bestialstw czynionych niby mimochodem, mechanicznie. Jak ma się do tego „Prawdziwy ból”? Nijak. Bo tak naprawdę to nie jest film o Holocaustu. Zagłada i żydowskie doświadczenie są w nim tylko pretekstem, soczewką, w której bohaterowie mogą przyjrzeć się własnemu cierpieniu. Ten film nie jest nawet o relacjach polsko-żydowskich. Eisenberg mówi o nim „list miłosny do Polski”, to hasło widnieje na plakacie. I rzeczywiście. Polska to tu wspaniale zwyczajny kraj, nawet dość nowoczesny. Ładne, czyste miasta, szybkie, eleganckie pociągi, uprzejmi recepcjoniści w wygodnych hotelach. I tylko Żydów w niej brak.

41-letni Eisenberg ma inne spojrzenie niż 77-letni Spielberg. I inne niż 91-letni Polański, który sam przeżył Zagładę. To spojrzenie trzeciego pokolenia, które jest prawdziwym bohaterem tego fil-

mu. Dystans jest podwójny – daje go nie tylko przestrzeń, ale także czas. Gdy umierają ostatnie osoby z obozowymi numerami wytatuowanymi na przedramionach, Holocaust staje się wydarzeniem historycznym. Objazd Kraków – Auschwitz – Wieliczka jest po prostu jeszcze jedną z wycieczek i jeśli cudzoziemcy mają coś do powiedzenia o Polsce, wymieniają nazwisko Lewandowski i właśnie to, że na niej byli.

Dom ciotki nadal tu stoi
Bohaterowie „Prawdziwego bólu” jadą po kawałek własnej historii. Tak trafiają do Krasnegostawu – jak mówi z dumą Eisenberg – „ojczyzny jogurtu i kefiru”. Tutaj stoi dom babci Davida i Benjiego, dom ciotki Doris Eisenberga, w którym mieszkała do 1938 roku. I w którym ekipa filmu nakręciła część zdjęć. To zresztą jedyna scena, w której udział biorą Polacy. Eisenberg chciał w niej pokazać, że w domu jego przodków mieszka już ktoś inny. Holocaust się wydarzył, przeszłość jest warta wspomnienia, ale życie idzie dalej. „Prawdziwy ból” zadebiutował w styczniu na festiwalu kin niezależnego Sundance, gdzie Eisenberg dostał nagrodę za scenariusz, a tytuł był pierwszym filmem kupionym do dystrybucji, ponoć za 10 mln dolarów. Od tego czasu zbiera bardzo dobre recenzje, gdziekolwiek się pojawi.

Jesse Eisenberg jest faworytem do oscarowej nominacji w kategorii scenariusz oryginalny, o Culkinie mówi się w kontekście nominacji za rolę drugoplanową. Eisenberg kilka miesięcy temu wystąpił o polskie obywatelstwo. W rozmowie z „Wyborczą” przyznał, odbiera je w Waszyngtonie w połowie listopada. Przyjechał na polską premierę filmu na Warszawski Festiwal Filmów o Tematyce Żydowskiej, a potem na spotkanie z publicznością na American Film Festivalu we Wrocławiu. A „Prawdziwy ból” do kin w całej Polsce trafi w piątek 8 listopada. ●

REKLAMA Kraj/34337861



MISTRZYNIE REPORTAŻU W POGONI ZA PIENIĘDZMI

Jak przestałyśmy być bogate i czy można coś z tym zrobić? Dwie utalentowane reporterki i arcyzabawne podcasterki, Ewa Winnicka i Magdalena Grzebałkowska ruszają w tour po Polsce, by znaleźć odpowiedź na to pytanie i zarobić trochę kasy. „Na bogato” to zapis roku w drodze. Roku spiny i zapieprzu. **KSIĄŻKA, O KTÓRĄ NIKT NIE PROSIŁ, ALE WSZYSCY JEJ POTRZEBOWALI.**

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**  Wydawnictwo Agora

Katarzyna Staszak

Mateusz Hładki jest wysoki, wysportowany, ma zadbane włosy i idealnie ułożone włosy. Od zawsze chciał pracować w telewizji. Na zdjęciu z początków kariery trudno dostrzec podobieństwo do dzisiejszej gwiazdy „Dzień dobry TVN”.

Przepis na tak spektakularną metamorfozę? Po pierwsze, sport. – Nie należę do szczęśliwców, którzy mogą jeść, co chcą, i będą wyglądać dobrze. Od dziecka zmagalem się z nadwagą. Trwało to aż do studiów, w najbardziej krytycznym momencie miałem 40 kg nadwagi – opowiada Hładki.

Zaczął ćwiczyć na siłowni. Bywa tu regularnie, efekty pokazuje czasem na Instagramie.

Błaszczkowski leży w wannie

Sport nie tylko utrzymuje ciało w formie, ale też wzmacnia nas psychicznie, dodaje pewności siebie. – Jestem zadowolony z tego, jak wyglądam. Praca daje mi ten przywilej, że mam stylistkę, z którą współpracuję. Mam swój styl, kiedyś bardziej eksperymentowałem, dziś wiem, że najbardziej pasuje do mnie klasyka – mówi Hładki.

A pielęgnacja, zabiegi kosmetyczne? – Nie ma tego wiele. Jestem wierny jednej marce kosmetycznej rodem z Azji. Gdy zacząłem stosować jej krem przeciwstarzeniowy, zobaczyłem poprawę jakości skóry – opowiada.

Zabiegiem, który stał się standardem w jego środowisku, jest botoks. Wyglądanie zmarszczek przez czasowy paraliż mięśni toksyną botulinową stosują „wszyscy”. A przynajmniej wszyscy w telewizji.

– Raz na jakiś czas oczyszczam cerę u kosmetyczki. Od 20 lat tej samej. A od niedawna, raz w miesiącu chodzę na powięziowy masaż twarzy do masażystki, którą poleciła mi Anja Rubik – zdradza Hładki.

Na Instagramie zbiera komplementy od kobiet i mężczyzn. – Wielu z nas lubi się podobać, na siłowni lubimy usłyszeć pochwałę od trenera. Faceci w szatni też się komplementują, choć to specyficzne uwagi w stylu: „Ale ci łapa urosła”, co ma znaczyć, że ktoś nie próżnuje na treningach. Myślę, że to takie kolejne szczeble rozwoju społecznego mężczyzn. Jeśli możemy wchodzić ze sobą w takie interakcje, to potem łatwiej będzie też mówić o emocjach i zwierzać się ze swoich problemów – uważa.



Nowoczesny mężczyzna troszczy się o swoje ciało – to przesłanie kampanii reklamowej drogerii Rossmann. Wystąpił w niej Kuba Błaszczkowski, były reprezentant Polski w piłce nożnej. Wciera w twarz serum, leży w wannie i mówi, że kiedyś wystarczył mu szybki prysznic. Teraz jest inaczej: „Jestem facetem. Dbam o siebie. I uczę się kochać siebie. Każdego dnia”.

Wanna jest symboliczna – podkreśla męskie prawo do relaksu przez nicnierobienie i prawo do okupowania łazienki. „Mężczyźni zwalniają tempo wykonywania czynności w łazience, aby zadbać o siebie, swoje samopoczucie i wzmocnić swoją pewność siebie” – tłumaczy największa na świecie firma badająca trendy WGSN.

MĘSKA SZATNIA PACHNIE DOBRZE

Opowieść o ich dbaniu o siebie wpisuje się w szerszy trend – miękką męskość.



• **Mateusz Hładki: Przepis na spektakularną metamorfozę? Po pierwsze, sport**

Rossmann widzi, że w drogeriach przybywa mężczyzn, którzy nie chcą już podkraść kosmetyków swoim partnerkom. Szukają na półkach kremów pod oczy i z filtrem przeciwsłonecznym.

Rośnie też męskie zainteresowanie lakierami do paznokci i kosmetykami do makijażu, które maskują niedoskonałości skóry, np. trądzik.

Mężczyźni szukają również bronzerów. W social mediach popularność zdobywają makijażyści, którzy na męskich twarzach uczą, jak stosować urodowe triki.

Czy Brad Pitt miał lifting?

We wrześniu najbardziej obgadywanym mężczyzną na TiKToku był Brad Pitt. Amerykański aktor, który w grudniu skończy 61 lat, pojawił się na Festiwalu Filmowym w Wenecji w przezroczystym T-shircie zamiast białej koszuli. Klasyczny smoking zastąpił garniturem z rozszerzanymi nogawkami i ozdobnym perłowym guzikiem.

Ale najwięcej uwagi przyciągała odmłodzona twarz gwiazdy.

Specjaliści od medycyny estetycznej zaczęli publikować filmy, w których omawiali możliwe zabiegi, jakie przeszedł Pitt.

Żadne kosmetyki nie wypełnią policzków i nie zlikwidują mocnych bruzd w okolicach ust, stąd podejrzenia, że aktor przeszedł lifting.

Pewności nie ma, bo nowoczesne techniki operacyjne dają efekt odmłodzonej twarzy bez nienaturalnie rozciągniętych ust, które kojarzyły się z gwiazdami dawnego Hollywood.

Chirurdzy plastyczni naciągają już nie tylko skórę, ale też całą warstwę tkanek pod nią. – W Ameryce najbardziej popularne są teraz liftingi głębokie, deep plane, które poprawiają podbródek, kontur żuchwy i bruzdy wokół ust. Popularne jest łączenie liftingu z przeszczepem tłuszczu, dzięki czemu twarz jest pełniejsza, jak w młodości – mówi dr n. med. Piotr Osuch, chirurg plastyczny z Warszawy.

Dr Osuch zajmuje się tylko operacjami twarzy – nie powiększa piersi, nie wyszczupla ud – a pacjentek i pacjentów mu nie brakuje.

– Ok. 20 proc. moich pacjentów stanowią mężczyźni. Czasem to „efekt żony”.

Najpierw odmładzam twarz kobiecie, a potem ona przyprowadza swojego męża czy partnera.

Czasem to samodzielna, świadoma decyzja mężczyzny w wieku 45 plus. Moimi pacjentami są przedstawiciele wolnych zawodów, architekci, przedsiębiorcy, prawnicy, kadra zarządzająca firm. Dbają o siebie, stosują dietę, ćwiczą, są pełni energii, ich twarz po prostu nie pasuje do młodej osobowości.

Są też młodsze osoby, których waga się zmieniła, np. dzięki nowym lekom, albo które intensywnie uprawiają sport i ich twarz straciła tkankę tłuszczową. Taka twarz wygląda smutniej i starzej – tłumaczy dr Osuch.

Czy szeroko komentowana transformacja Brada Pitta przełoży się na kolejki do chirurgów plastycznych? Będzie w nich więcej mężczyzn?

– Myślę, że większość z nas chce wyglądać dobrze, więc do wybranych chirurgów plastyków kolejka będzie zawsze. Jediną przeszkodą może być cena głębokiego liftingu. W USA to wydatek rzędu 150 tys. dol., w Polsce ok. 100 tys. zł – odpowiada dr Osuch.

Można skorzystać z mniejszych zabiegów jak wygładzenie samego czoła z uniesieniem brwi, co przy okazji otwiera oczy. Koszt to ok. 30 tys. zł.

Można skorzystać z mniejszych zabiegów jak wygładzenie samego czoła z uniesieniem brwi, co przy okazji otwiera oczy. Koszt to ok. 30 tys. zł.

Andropauza to nie mit

Chirurgiczną korektę powiek mężczyźni robią już niemal tak samo często jak kobiety.

Leży w wannie jak Kuba Błasczykowski. Rozważa przeszczep włosów i uniesienie brwi

Z wiekiem skóra wokół oczu się marszczy, powstaje jej nadmiar. Najczęstszy powód korekcji to pogorszenie komfortu widzenia lub smutny wygląd. Zabiegi masowo zalecają okuliści, a wielu z nich nawet je wykonuje. Opadające powieki w uzasadnionych przypadkach można też skorygować w ramach NFZ.

– Plastyka powiek stanowi dla niektórych osób pierwszy kontakt z chirurgią plastyczną. Jeżeli efekt jest dobry, nierzadko otwierają się na kolejne możliwości, jakie daje medycyna – mówi dr Osuch.

Zwraca uwagę, że mężczyźni mogą dłużej cieszyć się napiętą skórą nawet bez specjalnej pielęgnacji. Jest ona naturalnie grubsza, przez co starzeje się wolniej. – U kobiet po 40. roku życia pojawiają się zmiany hormonalne, co wpływa na stan skóry. Mężczyzn zmiany hormonalne też dotyczą, ale przychodzą dekadę później i nie mówi się o tym tyle co o menopauzie u kobiet – stwierdza dr Osuch.

Transformacja menopauzalna i jej objawy to stały temat moich rozmów z przyjaciółkami po czterdziestce. Tymczasem wielu naszych kolegów wciąż żyje w przekonaniu, że andropauza to mit, bo przecież do końca życia – teoretycznie – są zdolni zapłodnić kobietę.

Według badaczy trendów andropauza będzie jednym z tematów, którym w najbliższym czasie zajmą się medycyna, przemysł farmaceutyczny i branża wellness. Mężczyźni – jak teraz kobiety – zaczęli dostawać więcej informacji o zmianach hormonalnych. Będą się uczyć o znaczeniu testosteronu. Za granicą są już lekarze, którzy zapisują pacjentom testosteron w ramach terapii spowalniającej procesy starzenia.

Gruboskórni czy tacy sami?

Linie pielęgnacyjną dla mężczyzn ma już niemal każda marka kosmetyczna. Niedawno w Polsce powstała firma, która robi kosmetyki tylko dla mężczyzn – Sord.

Reklamy skierowane do kobiet wymieniają składniki kosmetyków i ich działanie. Komunikaty dla mężczyzn są inne.

„Jesteśmy latarnią morską dla tych, którzy mają odwagę wymagać więcej od siebie i swojego życia. Dla tych, którzy wiedzą, że prawdziwa praca zaczyna się, gdy świat przestaje zwracać na nas uwagę. Dla osób, dla których regeneracja to nie zwykła przerwa, ale istotna faza rozwoju. Dla tych, którzy wierzą, że należy zadbać o siebie, aby osiągnąć swój maksymalny potencjał” – tak Sord zachęca do kupienia żelu pod prysznic czy kremu do twarzy.

Wśród męskich kosmetyków wciąż najwięcej jest produktów do golenia i deodorantów, jednak z danych firmy Mintel, która bada trendy konsumenckie, wynika, że w ciągu ostatnich trzech lat na świecie o 15 proc. wzrosła liczba kosmetyków do pielęgnacji skóry dla mężczyzn, a o 12 proc. wzrosła sprzedaż męskich produktów do pielęgnacji i farbowania włosów.

Jednocześnie o ponad 8 proc. wzrosła liczba kosmetyków promowanych jako neutralne płciowo. Takie produkty podobają się szczególnie najmłodszym mężczyznom. Kosmetyki mają działać, być przyjemne w użyciu, a komunikat o męskości nie jest istotny.

17-letni Marek rok temu miał kłopoty z trądzikiem. Poprosił mamę o wizytę u dermatologa. Trzyma się zaleceń lekarza, ma kosmetyki oczyszczające i nawilżające. Wszędzie zabiera swoją kosmetyczkę.

20-letni Tomasz studiuje i pracuje w księgarni. Zawsze ma w pracy pomalowane paznokcie. Zaczął od czarnego, teraz używa też czerwonego i białego lakieru. – Zobaczyłem pomalowane paznokcie u kogoś znajomego i bardzo mi się spodobały – opowiada. Pytam, czy ma ulubione kosmetyki. – Cze-



• 61-letni Brad Pitt na festiwalu w Wenecji sprowokował pytania o operacje plastyczne

sto zmieniam. Sprawdzam, jakie są akurat w promocji w Rossmannie, czytam, jakie działanie mają kremy. Lubię to, co nawilża, odżywia, spowalnia starzenie – wymienia.

A coś do makijażu? – Myślę o zrobieniu kresiek na powiekach. W przyszłości zrobiłbym sobie przeszczep włosów. To drogi zabieg, mam nadzieję, że będę miał na to pieniądze – mówi. Czy dbanie o wygląd to temat, który omawia z przyjaciółmi? – Z niektórymi. Mam takich, którzy są pod tym względem podobni do mnie, i takich, których to aż tak nie interesuje – odpowiada.

Naukowiec zapuścił włosy

Przeszczep włosów w Polsce można zrobić za mniej więcej 30 tys. zł. Wśród Polaków popularne są wyjazdy do Turcji, gdzie taki zabieg kosztuje trzy razy mniej.

Przeszczep włosów polega na pobieraniu mieszków włosowych z okolic zarośniętych, najczęściej z potylicy, i przenoszeniu ich w miejsca bez włosów.

Chętnych jest wielu, bo przerzedzone włosy to częsty powód kompleksów u mężczyzn. – Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni w Polsce nie dbają o włosy na odpowiednim etapie. Oczywiście, czasem łysienie to kwestia genów, częste jest przerzedzenie włosów i zakola. Warto jednak zacząć od wizyty u lekarza trychologa, sprawdzić, czy da się powstrzymać wypadanie włosów. Są specjalne produkty wzmacniające – mówi Mateusz Hładki, który o swoje włosy dba.

– Mężczyźni bagatelizują problemy z włosami, a fryzjerzy w Polsce traktują wszystkich klientów jak wojskowych rekrutów. Nie rozumiem mody na zostawianie gniazdek z włosów na czubku głowy i golenia wszystkiego dookoła prawie na лыso. Na zachodzie mężczyźni uważają włosy za ozdobę twarzy – zauważa.

Mocnymi włosami może się też pochwalić Adam Mirek, najsłynniejszy popularyzator nauki w Polsce. Na TikToku śledzi go 1,3 mln osób. Ma doktorat z inżynierii biomedycznej, więc do dbania o włosy podszedł zgodnie z wytycznymi naukowców.

– Postanowiłem zapuścić włosy, żeby w praktyce sprawdzić doniesienia naukowe i wynikające z tego porady. Po pierwsze, pielęgnujemy skórę głowy. Włosy możemy wzmacniać, możemy je otulić emolientami – to słowo, którego się nauczyłem – ale najważniejsze jest jednak dobre oczyszczanie i masowanie skóry głowy. Kluczowe jest suszenie, nie należy kłaść się spać z mokrą głową. Nie pocieramy włosów ręcznikiem, tylko odsączamy wodę z pomocą bawełniane-

go materiału, np. zwykłego T-shirta – mówił mi Mirek w podcaście „Zdrowa rozmowa”.

Kobiety robią to od dawna

Większa otwartość na dbanie o siebie i wiedza dostępna w internecie sprawiły, że mężczyźni zdobywają informacje, którymi kobiety wymieniały się od dawna. Porady urodowe zaczęłam czytać jeszcze w PRL w piśmie kupowanych przez mamę i babcię.

Po kilku latach lekturę „Kobiety i Życia” oraz „Przyjaciółki” zastąpiły magazyny „Pani”, „Twój Styl” i „Elle”. Pamiętam, jak sprawdzałam, ilu punktów domowej pielęgnacji opisanych w „Elle” udaje mi się przestrzegać. Na liście było 60 zaleceń, a ja miałam 15 lat.

Magazynom o modzie i urodzie zawdzięczałam nawyk picia wody, zielonej herbaty i wzmacniania mięśni – robiłam to już w podstawówce. Wyszło mi to na dobre. Jednocześnie kobiecym pismom można zarzucić promowanie standardów wpędzających nas w kompleksy, a czasem też w choroby.

Teraz jesteśmy w tym razem z mężczyznami. Perfekcyjny wygląd kojarzony jest z życiowym sukcesem, zdrowiem, a także większą szansą na karierę zawodową. Pisaliśmy niedawno, że także przez aplikacje randkowe mężczyźni czują się czasem nieatrakcyjni i mają mniejszą pewność siebie. Mogą więc chętniej szukać wsparcia w branży wellness – kosmetykach, zabiegach i w sporcie.

To napędza m.in. sprzedaż suplementów dla mężczyzn. Gdy starsi panowie kupują preparaty na wątrobę czy stawy, młodszy – na wydajność, mocne włosy, czy „pobudzenie testosteronu”.

Dla wielu mężczyzn bramą do wielkiego świata pielęgnacji jest sport. Przykładem może być coraz popularniejsze w Polsce kolarstwo. Najpierw ktoś inwestuje w rower, kask, buty, strój. Od trenera lub innych kolarzy dowiaduje się, że warto golić nogi – dla higieny i lepszej aerodynamiki.

Po nogach przychodzi golenie klatki piersiowej i okolic intymnych. Krem z filtrem przeciwsłonecznym to dla kolarza konieczność. Przydaje się też szminka nawilżająca usta.

Gdy tyle wysiłku wkładasz w trening, zachyzasz bardziej dbać o odżywianie, kupujesz suplementy i odżywki. Możesz potrzebować porady dietetyka albo zamawiasz catering. Z kontuzją umawiasz się do fizjoterapeuty. On doradza regularny masaż regeneracyjny.

Tak stajesz się klientem osiedlowego spa. Któregoś dnia po masażu pleców i nóg recepcjonistka proponuje w promocji pielęgnację twarzy lub dłoni. Czemu nie, skoro już tu jesteś?

Od urody do dłuższego życia?

– Wiele badań wskazuje na to, że za wszystkimi naszymi tłumaczeniami, dlaczego staramy się wyglądać lepiej, stoi kwestia sukcesu reprodukcyjnego. Nie chodzi o to, że koniecznie chcemy mieć potomstwo, ale chcemy mieć partnera czy partnerkę.

Nasz mózg jest wyczulony na atrakcyjność, bo to pomaga mu robić naturalną selekcję, optymalizuje proces reprodukcyjny. To znaczy, że z natury oceniamy ludzi pod kątem ich atrakcyjności – mówi prof. Tomasz Sobierajski, socjolog, kierownik Ośrodka Badań Socjomedycznych na Uniwersytecie Warszawskim.

Zaznacza, że atrakcyjny wygląd daje wyższą pozycję w różnych grupach. – Atrakcyjne osoby mają większe szanse na pełnienie dominującej funkcji wśród rówieśników czy w grupie tej samej płci. Osobom atrakcyjnym więcej się wybacza, mają szanse na wyższe zarobki. Zresztą historycznie zawsze tak było. Badania pokazały, że nawet niemowlęta dłużej patrzą na twarze, które społeczeństwo odbiera jako bardziej atrakcyjne.

Szacunki mówią, że dziś co trzecia osoba korzystająca z gabinetów medycyny estetycznej to mężczyzna.

Gdybyśmy pytali o to mężczyzn, to pewnie wielu by się nie przyznało – ocenia prof. Sobierajski.

Sam słynie z ilości do biegania i z długich, zadbanych włosów. Naukowo tłumaczy, dlaczego inwestycje w wygląd mogą być opłacalne. – Dbałość o strój czy fryzurę może podnieść pewność siebie. A to przekłada się na nasze funkcjonowanie w relacjach czy w pracy – podpowiada.

Treści promujące męskie kosmetyki brzmią czasem pompacyjnie, jednak gdy Kuba Błaskowski mówi o Kochaniu siebie, może być to droga do rozwiązania problemu, który od lat dręczy epidemiologów. Mężczyźni mniej szanują swoje ciała, nie korzystają z badań profilaktycznych, boją się wizyt u lekarza. Przekłada się to na statystyki – Polacy żyją o ponad siedem lat krócej niż Polki.

– Mężczyźni wciąż bardziej dbają o powierzchowność, czyli są bardziej skłonni kupić suplement diety czy kosmetyk, niż iść do lekarza na badanie prostaty. Za zdrowie mężczyzn cały czas są odpowiedzialne kobiety, to one zapisują ich do lekarzy – zauważa Sobierajski.

Wyjście z kultury macho

Opowieść o męskim dbaniu o siebie wpisuje się w szerszy trend widoczny w modzie i w mediach społecznościowych #SoftMasculinity – miękka męskość. „Marki ze wszystkich kategorii chcą odejść od przestarzałych klisz macho i odpowiedzieć na nowoczesną, inkluzywną męskość” – podsumowali prognostycy trendów z WGSN.

Branża wellness, która oferuje mężczyznom zabiegi i kosmetyki, chce ich teraz uspołecznicić. Kobiety od dawna jeżdżą do spa czy na warsztaty psychologiczne, na których w otoczeniu „sióstr” mogą otwarcie rozmawiać o swoich emocjach.

Przemysł związany z urodą i dobrym samopoczuciem nie zaspokaja męskiej potrzeby więzi społecznych i wsparcia emocjonalnego – stwierdzają eksperci z Global Wellness Institute.

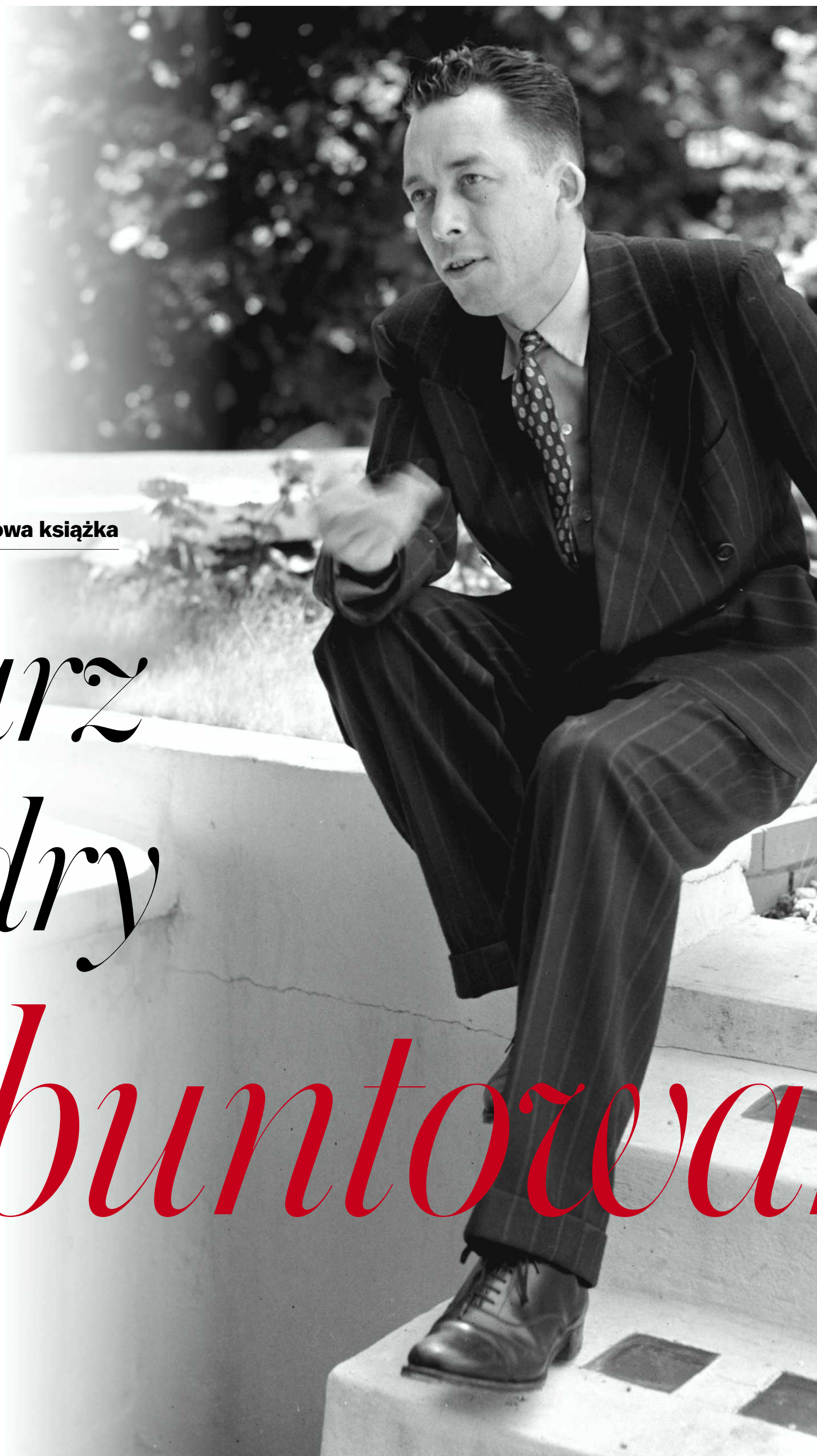
Zapowiadają, że na te potrzeby odpowiedzą fitness cluby, które do treningów dodadzą zabiegi regeneracyjne i wsparcie psychologiczne, oraz kliniki długowieczności, które uczą, jak na różne sposoby spowolnić starzenie.

– Męskie dbanie o siebie wciąż jest niepełne, ale może od czegoś trzeba zacząć, może większe zainteresowanie wyglądem to droga do lepszego zdrowia? Może jak ktoś zadba o brodę i włosy, pójdzie poćwiczyć, to lepiej zrozumie swoje ciało i chętniej pójdzie do lekarza – podsumowuje socjolog. ●

Lektura
„Dżumy”
pomogła mi
przetrwać
lata więzienia.

O Albercie Camusie. Nowa książka

Pisarz mądry i zbuntowany.



Adam Michnik

Nie był politykiem. Nie był też ani komentatorem polityki, ani filozofem polityki. Był - jak pisano - „najszlachetniejszym z krytyków tego niezbyt szlachetnego wieku”. Zaiste, ten genialny pisarz, autor wspaniałych esejów i wybitnych sztuk teatralnych, to bystry obserwator Europy. W swym przesłaniu do czytelników był prostolinijny, choć drogi, którymi podążał, były kręte.

Piszę te słowa z lękiem, bo Camus [1913-60] to jeden z najważniejszych pisarzy dla kręgu moich przyjaciół poszukujących sposobu na życie w świecie dyktatury, którego nie znosili. Kiedy przed laty składałem bukiet kwiatów na jego grobie - zawiózł nas tam (Jolantę Kurską i mnie) Bernard Kouchner - poczułem wielkie wzruszenie. To był akt pokory i wdzięczności dla pisarza. Lektura „Dżumy” - kolejna - pomogła mi przeżyć lata więzienia i była przewodnikiem po świecie zadżumionych.

Wywodził się z biedy typowej dla prowincji francuskiej w Algierii. Dopóki wierzył w możliwość harmonijnego współżycia na ziemi algierskiej Arabów i Francuzów, mógł się domagać i domagał praw obywatelskich dla wszystkich mieszkańców tej ziemi.

Gdy po stronie algierskiej zwyciężył duch niepodległości od Francji, Camus praktycznie zamilkł. W świecie okrutnego terroru francuskiej policji, na który odpowiedział był terror algierskich bojowników, Camus nie umiał wybrać między tą wojną a swoją matką, która mieszkała w Algierii i którą mogła zabić kula francuskiego policjanta bądź algierskiego bojownika.

Najpierw jednak młodego chłopaka losy zaprowadziły do partii komunistycznej, którą wtedy, w latach 30. XX wieku, postrzegano jako wspólnotę skrzywdzonych, partię klasy robotniczej i braterstwa. Biograf pisarza Olivier Todd pisał, że „nieliczni, prześladowani, działający niemal nielegalnie algierscy komuniści” to dla Camusa jakby chrześcijanie z katakumb. „Partia komunistyczna występuje przeciwko wojnie, Camus - wojenny sierota - podobnie jak szeregowi członkowie partii czuły jest na hasła pacyfistyczne”. Wierzą oni, że przyszłość będzie triumfem komunizmu. „Że będzie to ustrój braterstwa, wolności i równości dla kopających smrodliwe papierosy robotników wychodzących z fabryki”.

Jednak dość szybko rozstał się z partią. Od komunizmu odepchnął go sekciarski dogmatyzm, który nie chciał rozumieć, że szacunek dla islamu był elementem tożsamości i godności arabskich muzułmanów. Jednocześnie Camus zobaczył, że komunistyczna partia żyła duchem zdyscyplinowanej sekty, wtedy, w 1937 r., każdy odmienny pogląd traktowany był przez komunistów jako trockizm, czyli zdrada i agentura imperializmu.

Camus nie był człowiekiem religijnym - ani chrześcijaninem, ani muzułmaninem - nie był też bezmyślnie zdyscyplinowanym marksistą. Po prostu był wyznania, że miejscowej ludności przysługują prawa obywatelskie takie same jak wszystkim innym. To wystarczyło, by go wyrzucić z partii za trockizm. Na szczęście Oran, gdzie mieszkał, był daleko od Moskwy, gdzie oskarżenie o trockizm prowadziło wprost przed pluton egzekucyjny.

Po zerwaniu z partią komunistyczną Camus zanotował: „Historia zna tylko jeden fatalizm: fatalizm będący dziełem człowieka. (...) W tym właśnie wolnym i wroгим mu świecie człowiek działa samotnie i jest sam wobec losu, który tylko on two-

rzy”. Niedawny komunistyczny aktywista wybiera wolność, z której już nigdy nie zrezygnuje.

Wzorem postawy pisarza i obywatela był dla Camusa André Malraux, symbol człowieka lewicy, pisarz wspierający rewolucję chińską, hiszpańskich republikanów podczas wojny domowej, a potem jeden z walecznych dowódców antyhitlerowskiego ruchu oporu.

Klęskę Francji [w 1940 r.] przyjął Camus podobnie jak Malraux, z pełną jasności rozpaczą. Notował wtedy:

„Życie tutaj jest nie do zniesienia. (...) Wszecchobecne tchórzostwo i wierność, aż strach pomyśleć, co nas czeka. Wiem, że dla człowieka wolnego pozostaje tylko wygnanie lub bezowocny bunt. Dziś wyłącznie jedna postawa jest cokolwiek warta: odwaga pozwalająca odsłonić wszystkie te gaduły i marionetki, które uważają, że zabierają głos w imieniu narodu”. Dodawał: „Duszę się tutaj”. Nie znosił Pétaina. Widział w jego polityce bierność, tchórzostwo i uwiad starczy. Pisał:

„Proponuje nam się politykę proniemiecką i konstytucję na wzór reżimów totalitarnych, straszy nas się rewolucją, która nie wybuchnie, a wszystko to, by przypodo-

Młody Camus wierzył, że przyszłość będzie triumfem komunizmu. Dość szybko rozstał się i z tą wiarą, i z partią

bać się wrogom, którzy tak czy inaczej nas zmiżdżą, jak również, by ratować przywileje i tak niezagrożone.

Nadchodzą straszne dni: głód, powszechne bezwobocie, palający nienawiścią demonstranci w pochodach protestacyjnych. Na nic się zdadzą przemówienia starców, aby temu zapobiec. Ani dyktatura wojskowa, ani cenzura nie powstrzymają mnie od głoszenia tych prawd. Należy również wystrzegać się antyangielskiej propagandy, za którą kryją się najnikczemniejsze interesy”.

Prasa kolaboracyjna publikowała ataki na „perfidny Albion”. Camus notował: „Wiele jest powodów oficjalnej wrogości wobec Anglii (dobrych albo złych, politycznych albo innych). Ale nie wymieniam się jednego z najgorszych - wściekłości i niskiego pragnienia, by widzieć, jak pada ten, co śmie stawić opór sile, która nas samych zmiżdżyła”.

Zastanawiał się też nad zmianami świadomości zbiorowej Francuzów: „Francuzi zachowali obyczaj i tradycję rewolucji. Brak im tylko odwagi; stali się urzędnikami, drobnomieszczanami i midinetkami. Dziełem geniuszu było uczynić z nich legalnych rewolucjonistów. Konspirują za pozwoleniem oficjalnym. Przerabiają świat, nie podnosząc tyłka z fotela. (...) Zawsze znajduje się jakaś filozofia, by usprawiedliwić brak odwagi”.

Reżim Vichy to dla Camusa „powrót do średniowiecza, do pierwotnej mentalności, do ziemi, religii i całego arsenału tradycyjnych rozwiązań”. Powtarzał za niemieckim filozofem: „aby wykazać się odwagą, nie trzeba chwycić za broń. Życie wymaga często od nas jeszcze większej odwagi: dochowania wierności własnym przekonaniom bez zwracania uwagi na osąd świata zewnętrznego”.

Camus, podobnie jak tak ceniony przezeń Malraux, dokonał jasnego wyboru:

związał się z antyhitlerowskim ruchem oporu. Pisał do prasy podziemnej, redagował opozycyjne wydawnictwa. Jednak, co ważne, w tym samym czasie napisał słynną potem powieść „Obcy”, tworzył i reżyserował sztuki teatralne. Ważny był dla niego kontakt z czytelnikiem i widzem, który nie decydował się na integralny sprzeciw.

Publikacji w legalnych wydawnictwach - jeśli były to utwory antytotalitarne - Camus nie zaniechał i we Francji nie uchodziło to za akt kolaboracji. Był w tym wybór rozsądku: wykorzystywać każdą formę sprzeciwu i obecność w życiu umysłowym.

Podczas gdy inni uznani już pisarze - André Gide czy Paul Valéry - legitymizowali swoim prestiżem i piórem wznowienie w 1940 r. z inspiracji i ze wsparciem finansowym ambasady niemieckiej w Paryżu renomowanego literackiego pisma „La Nouvelle Revue française”, na którego czole stanął Drieu La Rochelle, jeden z czołowych kolaborantów, Albert Camus nigdy z nim nie współpracował. Co więcej, odmówił publikacji także w odcinkach swojej powieści „Obcy”.

Czuł niewygodę swojego istnienia w świecie okupowanym. Notował: „Dla tych, którzy czują więź z losem tego świata, szok cywilizacyjny ma w sobie coś niepokojącego. Niepokój owaładnął również mną, gdy zapragnąłem zaznaczyć w tym świecie swoją obecność. Trzeba wybrać pomiędzy

kontemplacją a działaniem”.

Dla Camusa pisanie było działaniem. Owocem jego kontemplacji było arcydzieło - „Dżuma”. Świadom niekonsekwencji w swym myśleniu, zapisał: „Jest rzeczą prawie niemożliwą być do końca logicznym. Nie wiem, czy ten świat ma sens, który przekracza granice rzeczywistości. Wiem jednak, że sens jest mi nieznanym i na razie nie jestem w stanie go poznać”.

Świat, w którym żył, oceniał jako „niedający się zdefiniować, bowiem panuje w nim sprzeczność, niepokój i niemoc”. Miał poczucie, że śmierć może przyjść każdego poranka, dlatego rozumiał, że „skoro nie sposób odizolować się od czasów, w jakich przyszło mi żyć, postanowiłem, że będę się z nimi utożsamiał. Dlatego też tak wielką wagę przywiązuję do jednostki, ponieważ wydaje mi się ona niewiele znacząca i upokarzana”.

Dlatego też utwory Camusa były upartą odpowiedzią na zbrodnie Stalina, Hitlera i faszyzmu. Jego słowa nie tylko nie zabijały - one przywracały smak i sens życiu.

III Często łączono Camusa z egzystencjalistami, choć on sam nie poczuwał się do tej wspólnoty. Sam o sobie mówił, że interesuje go człowiek absurdalny. Tłumaczył: „Niezgoda między człowiekiem a jego życiem, pomiędzy aktorem a dekoracją jest właśnie poczuciem absurdu”. Człowiek absurdu uparcie szuka sensu, a absurd wynika ze współistnienia sprzeczności. „Absurd rodzi się z konfrontacji: ludzkie wołanie i bezsensowne milczenie świata”.

W fascynującym, słynnym esej „Mit Syzyfa” notował: „Świadom, że nie mogę oddzielić się od mojego czasu, postanowiłem z nim się zespolic”. Camus ogromnie cenił indywidualną odpowiedzialność i ży-

• Albert Camus,
Paryż, rok 1952

FOT. MICHAEL OCHS
ARCHIVES/GETTY IMAGES

cie na własny rachunek. Przypisywał temu ogromne znaczenie, gdyż jednostka wydała mu się skazana na śmieszność, upokorzenie, porażkę. Pisał:

„Wiedząc, że nie ma spraw zwycięskich, upodobałem sobie sprawy przegrane: żądają całej duszy tak samo zdolnej sprostać swej porażce jak przelotnym zwycięstwom. (...) Nadchodzi zawsze chwila, kiedy trzeba wybierać pomiędzy kontemplacją a działaniem. Ma to swoją nazwę: zostać człowiekiem”.

Camus uparcie pozostawał człowiekiem. Twierdził, że „dla dumnego serca nie ma drogi pośredniej. Jest Bóg albo czas; krzyż albo miecz. Albo świat ma sens wyższy i ten sens jest ponad wszelkim ziemskim niepokojem, albo prawdą jest tylko ten niepokój. Trzeba żyć swoim czasem i umrzeć razem z nim albo ująć czasowi, wybierając życie większe”.

Była to duma bez złudzeń. Notował: „Nigdy nie poprawię ludzi i świata. Ale muszę postępować tak, jak gdybym mógł”. I precyzował: „Oto, przy czym stoję i czego się trzymam, rewolucji dokonuje się zawsze przeciwko bogom, począwszy od Prometeusza, pierwszego ze zdobywców Nowoczesnej. Jest to roszczenie człowieka, który sprzeciwia się swemu losowi”.

Są to wszystko pytania i dylematy religijne. Dlatego konkludował: „Wiemy, że wszystkie Kościoły są przeciwko nam. Serce tak napięte wymyka się wieczności, a wieczność jest celem wszystkich Kościołów, boskich i politycznych. Szczęście i odwaga, zapłata albo sprawiedliwość to dla nich sprawy drugorzędne.

Przynoszą doktrynę i trzeba złożyć swój podpis. Cóż mi jednak po ideach czy po ich wieczności. Spraw na moją miarę mogą dotknąć moją ręką. Nie potrafię się od nich odciąć. Dlatego nie możecie na mnie budować: ze zdobywcy nic nie przetrwa, nawet jego doktryna. U końca tego wszystkiego jest jednak śmierć. Wiemy o tym. Wiemy też, że ona kończy wszystko. Dlatego cmentarze pokrywające Europę - obsesja niektórych spośród nas - są odrażające”.

Ucieleśnieniem losu ludzkiego jest mityczny Syzyf. Syzyf, który wciąż pcha swój kamień pod górę z bólem, z wysiłkiem, z determinacją, a u końca tego wysiłku pa-trzy, jak kamień po chwili stacza się w dół, a stamtąd znów trzeba go będzie pchać na górę. Pisał Camus:

„Interesuje mnie Syzyf (...) podczas tej pauzy. Twarz, która cierpi tak blisko kamieni, sama jest już kamieniem. Widzę, jak ten człowiek schodzi ciężkim, ale równym krokiem ku udręce, której końca nie zazna. (...) W każdej z owych chwil, kiedy ze szczytu idzie ku kryjóvkom bogów, jest ponad swoim losem. Jest silniejszy niż jego kamień. (...) Bezsilny i zbuntowany Syzyf, proletariusz bogów, zna własny [los] w całej pełni: o nim myśli, kiedy schodzi. Jasność widzenia, która powinna mu być udręką, to jednocześnie jego zwycięstwo. Nie ma takiego losu, którego nie przezwycięży pogardą”.

Wysiłkom Syzyfa nie będzie końca. „Lecz - pisał Camus - jeśli istnieje los, to nie dany z wysokości, dane jest tylko rozwiązanie nieuchronne: człowiek absurdalny stwierdza, że jest ono nieuchronne i godne pogardy. Lecz wszystko inne do niego należy. Powraca do życia, Syzyf do swego głazu. (...) Kamień toczy się znowu”.

IV

To oczywiste, że pisarz zmagał się z pytaniem religijnym. Jak bohater „Dzumu” myślał, czy można być świętym bez Boga. Patronem jego myśli i rozmów był Bruckberger, dominikanin związany z ruchem oporu.

Bruckberger, pisał Olivier Todd, snuje marzenia o duchowieństwie ubogim i odważnym zarazem, zdobywczym i nietzscheańskim. Nienawidzi ceremoniału, namaszczenia, i to we wszystkich jego postaciach, nawet konsekracji biskupiej, powta-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Herbert

17 IX

Józefowi Czapskiemu

*Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeżdźco
a droga którą Jaś Małgosia dreptali do szkoły
nie rozstąpi się w przepaść*

*Rzeki nazbyt leniwe nieskore do potopów
rycerze śpiący w górach będą spali dalej
więc łatwo wejdiesz nieproszony gościu*

*Ale synowie ziemi nocą się zgromadzą
śmieszni karbonariusze spiskowcy wolności
będą czyścili swoje muzealne bronie
przysięgali na ptaka i na dwa kolory*

*A potem tak jak zawsze – luny i wybuchy
malowani chłopcy bezsenni dowódcy
plecaki pełne klęski rude pola chwały
krzepiąca wiedza że jesteśmy – sami*

*Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeżdźco
i da ci szańce ziemi pod wierzbą – i spokój
by ci co po nas przyjdą uczyli się znowu
najtrudniejszego kunsztu – odpuszczania win*



Utwór z tomu „Raport z obleżonego Miasta i inne wiersze” (1983).
Tutaj za: Zbigniew Herbert, „Wiersze zebrane”, opracowanie edytor-skie Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2011

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

rzając z upodobaniem: „wkurzają mnie ci chrześcijańscy demokraci”.

Camus przytaczał w notatkach jedną ze swoich rozmów z Bruckbergerem: „Ja: Za młodu myślałem, że wszyscy księża są szczęśliwi. Bruckberger: Strach przed utratą wiary ogranicza ich możliwości. Ich powołanie jest tylko negatywne. Nie patrzą życiu w twarz”.

Camus spoglądał życiu w twarz. Notował: „Zarówno w czasie wojny, jak i pokoju ostatnie słowo należy do tych, którzy się nie poddają”. Taka była dewiza gazety, którą redagował. Podkreślał, że jego wrogiem jest nazizm, a nie naród niemiecki. Pisał o tym w swoich wspaniałych listach do przyjaciela Niemca.

Niemiec uważał, że odnaleźć sens można, tylko identyfikując się z narodem. Camus był zdania, że sens odnajduje się w służbie prawdzie i sprawiedliwości, bo jedynie to dobrze służy narodowi. Bezkrtyczne podążanie za masą oznacza abdykację rozumu i sumienia.

Pewien chrześcijanin wypowiedział po latach słowa, które są dla mnie rodzajem komentarza do postawy Camusa:

„Wolność stale trzeba zdobywać, nie można jej tylko posiadać. Przychodzi jak dar, utrzymuje się przez zmaganie. Dar i zmaganie wpisują się w karty ukryte, a przecież jawne.

Całym sobą placisz za wolność - więc to wolnością nazywaj, że możesz, płacąc, ciągle na nowo siebie posiadać. Tą zapłatą wchodzimy w historię i dotykamy jej epok: Którędy przebiega dział pokoleń między tymi, co nie dopłacili, a tymi, co musieli nadpłacać? Po której jesteśmy stronie?”.

Autorem tych słów był Karol Wojtyła, znany również jako papież Jan Paweł II.

V

Klęska hitlerowskiej Rzeszy i koniec wojny to był czas obrachunków i rozrachunków z najnowszą historią. Camus początkowo należał do zwolenników surowego karan-ia kolaborantów. Jeśli podpisał apel do de Gaulle’a o ulaskawienie Brasillacha, pi-sarza kolaboranta, to czynił to, jak sam tłumaczył, dlatego, że był zasadniczym przeciwnikiem kary śmierci. Nie był to akt wy-

rozumiałości wobec pisarza, który kolabo-rował. Uważał, że nie wolno mu zapominać o tych przyjaciolach z konspiracji anty-hitlerowskiej, którzy oddali życie w więzieniach Gestapo.

Był to temat zasadniczego sporu pisarza z Mauriakiem, pisarzem katolickim, także związanym z ruchem oporu. Camus opo-wiadał się za sprawiedliwością, Mauriac zaś za miłosierdziem i pracą na rzecz pojednania.

Jednak po niedługim czasie Camus się zorientował, że „sprawiedliwość”, zwłaszcza gdy wymierzali ją komuniści, stawała się odwetem i instrumentem w walce politycznej. Chodziło tu już nie o sprawiedliwość, lecz o władzę. Wtedy Camus zadeklarował, że „to Mauriac miał rację”.

Camus bowiem pragnął bezstronnych sędziów i procesów opartych na rzetelnych podstawach prawnych, natomiast komuniści chcieli trybunałów ludowych na wzór jakobińskich egzekucji. Stąd stosunek Camusa do komunistów był nie tylko zdystansowany, ale też ambiwalentny.

Z jednej strony pamiętał o obyczajach sekty zdyscyplinowanych fanatyków, która oskarżyła go o trockizm i działała na polecenie Moskwy. Z drugiej widział w nich towarzyszy ruchu oporu, którzy także ginęli z rąk nazistów i kolaborantów. Zresztą tuż po wojnie także de Gaulle widział w nich partnerów i uczestników ruchu antyfaszystowskiego. I oto - po 1948 r. - komunista, antyfaszysta staje się, przynajmniej dla Camusa, propagandystą totalitarnego reżimu Stalina. Camus widział to jasno, choć do-chodził do tej świadomości stopniowo.

VI

Wśród lewicowych elit intelektualnych z kręgu Sartre’a i Merleau-Ponty’ego domi-nowało przekonanie, że przyszłość należy do komunizmu, w którym widzieli, jak przed wojną Camus, nadzieję dla skrzywdzonych i poniżonych. Camus już nie wierzy w fatum konieczności historycznej. Wierzy, że jedynie działanie człowieka nadaje sens światu. Partia komunistyczna nie była dlań motorem historii i postępu.

Zdaniem biografa Camusa odróżniał on marksistów i komunistów: naiwnych i uczciwych, szeregowych członków partii od filozofujących, bezwzględnych działaczy. „Niewielu ludzi - pisał Camus - osiągnęło taki stopień nieufności wobec bliźnich, marksiści nie wierzą ani perswazjom, ani dialogowi”. On sam pojmował siebie jako człowieka buntu. Ale był to bunt bez przemocy i rozlewu krwi: „Mój wysilek: ukazać, że logika buntu odrzuca rozlew krwi i kalkulację. A doprowadzony do absurdu dialog daje szansę czystości i uczciwości”.

Spór z Sartre’em był zasadniczy, Sartre bowiem był zdania, że trzeba być po stronie komunistów, gdyż przyszłość należy właśnie do nich. Camus natomiast w swoim osamotnieniu, mając do wyboru rewolucję komunistyczną i Francję, wobec której był krytyczny, wybierał, może nie tak konsekwentnie jak Malraux, który stał się ministrem w rządzie de Gaulle’a, może ostrożej, ale wybierał Francję. Pisał wtedy do jednego ze swych korespondentów:

„Tak, proszę kochać ten kraj. Znam jego błędy i słabości, i mogę wydać o nim surowy osąd, lecz nawet pomimo największych błędów, jakie stały się jego udziałem, przysięgam panu, że pozostał wielki i zasługuje na szacunek tych wszystkich, którzy potrafią docenić ludzką godność”.

Polemizując ze swym niemieckim przyjacielem, który twierdził, że dla narodu trzeba poświęcić wszystko, odpowiadał:

„Nie mogę uwierzyć, że trzeba wszystko podporządkować obranemu celowi. Istnieją środki niewybaczalne. A ja chciałbym kochać mój kraj, kochając sprawiedliwość. Nie chcę dla niego żadnej wielkości krwi i kłamstwa. Chcę, aby żył, dając życie sprawiedliwości. (...)

Rozmyślania o demokracji bez katechizmu

Demokracja nie jest najlepszym z ustrojów. Jest najmniej szkodliwym ze złych.

Albert Camus

O d czasu do czasu z braku lepszego zajęcia (i głównie w metrze) rozmyślałem o demokracji. Wiemy, jaki chaos wywołuje w umysłach to przydatne skądinąd pojęcie. A że lubię spotykać się z możliwie jak największą liczbą ludzi, szukam definicji, które wszyscy mogliby zaakceptować. Nie jest to łatwe i nie twierdzę, że mi się udało. Sądzę jednak, że możemy się pokusić o kilka przydatnych uogólnień. Oto jedno z nich w największym skrócie: demokracja to społeczne i polityczne ćwiczenie z powściągliwości. Spieszę z wyjaśnieniem.

Znam dwie linie rozumowania typowe dla reakcjonisty. (Dla ścisłości przyjmijmy, że reakcyjną nazywać będziemy każdą z postaw przyczyniających się do narzucania ludziom coraz większych ograniczeń w wymiarze politycznym i gospodarczym). Obie wzajemnie się wykluczają, ale łączy je to, że są wyrazem absolutnej pewności.

Pierwsza wychodzi od stwierdzenia: „Ludzi nie da się zmienić”. Z czego wnioszek, że wojny są nieuniknione, społeczne nierówności wynikają z natury rzeczy, plutony egzekucyjne niech robią, co do nich należy, a my uprawiamy swój ogródek (prawdę mówiąc, chodzi zazwyczaj o park).

Druga wychodzi od stwierdzenia: „Ludzi można zmienić. Od tego zależy ich wyzwolenie, trzeba więc zmieniać ludzi dla ich dobra”.

Logiczny wniosek jest taki, że można prześladować:

1) tych wszystkich, którzy uważają, że człowieka nie można

zmienić; 2) tych, którzy nie zgadzają się z twierdzeniem, że wyzwolenie ludzi zależy od tego, czy dadzą się zmienić; 3) tych, którzy się z tym zgadzają, ale nie godzą się na sposób, w jaki zmienia się ludzi; 4) wszystkich tych, którzy sądzą, że sprawa jest bardziej złożona.

Co dotyczy, ogólnie biorąc, trzech czwartych ludzkości.

W obu przypadkach mamy do czynienia z uproszczeniem. W obu pojawiają się elementy stałości lub absolutnego determinizmu, na zdrowy rozum nieadekwatne w odniesieniu do problemu społecznego. W obu wreszcie dochodzi do głosu przekonanie, że Historia może i powinna działać wedle swoich zasad, a także przekonanie, że ludzkie cierpienie można uzasadnić lub pogłębić.

Chciałbym, aby podziwiano ludzi reprezentujących ten tok myślenia, tak różnych, a przecież jednakowo odpornych na nieszczęście bliźnich. Ale musimy przynajmniej nazwać ich po imieniu i powiedzieć, co potrafią i czego nie potrafią zrobić.

Osobiście uważam, że są herodami pychy i są zdolni osiągnąć wszystko poza wyzwoleniem człowieka i realną demokracją. Simone Weil miała odwagę i prawo - o czym świadczy jej życie i śmierć - sformułować pytanie: „Kto, jeżeli jego dusza nie jest niska, potrafi podziwiać i wielbić całą duszą Aleksandra?” (przekład Miłosza).

Zaiste, podziwiać wielkie zdobywcę rozumu i siły, nie bacząc na bezmiar wywołanych przez nie cierpień, może jedynie ktoś, komu ślepotą serca nie pozwala dostrzec zwykłej życzliwości, ktoś, kto całym umysłem odrzuca wszelką sprawiedliwość!

Dlatego wydaje mi się, że demokracja, zarówno w wymiarze społecznym, jak i politycz-

nym, nie może się opierać na filozofii politycznej, która głosi, że wszystko wie i na wszystko ma odpowiedź, podobnie jak nie mogła się opierać na obyczajowej bezwzględności utrzymywania status quo.

Demokracja nie jest najlepszym z ustrojów. Jest najmniej szkodliwym ze złych. Poznaliśmy niemal wszystkie ustroje i teraz to wiemy. Ale wymyślać, tworzyć i wspierać ustrój demokratyczny mogą tylko ci, którzy wiedzą, że nie wszystko wiedzą; którzy nie są w stanie zaakceptować warunków, w jakich żyje robotnik; którzy nie tylko nie przyzwyczajają się do cudzej biedy,

Prawdziwy demokratę wierzy, że za pomocą rozumu można wyjaśnić wiele problemów i wiele z nich rozwiązać. Nie uważa jednak, że rozum jest udzielnym władcą całego świata

lecz będą robili wszystko, aby nikt nigdy nikomu nie przysparzał biedy w imię jakiejś teorii lub ślepego mesjanizmu.

Reakcjonista z czasów dawnego ustroju utrzymywał, że o wszystkim rozstrzyga rozum. Reakcjonista nowego ustroju uważa, że rozum nie rozstrzyga o niczym. Prawdziwy demokratę wierzy, że za pomocą rozumu można wyjaśnić wiele problemów i wiele z nich rozwiązać. Nie uważa jednak, że rozum jest udzielnym władcą całego świata.

Co oznacza, że demokratę zachowuje umiar. Przyznaje, że nie wszystko wie, że jego wysiłek wiąże się z pewnym ryzykiem i nie wszystko jest mu dane. Dlatego potrzebuje rady in-

nych ludzi, których wiedza może uzupełnić to, co sam wie. Chce działać wyłącznie w imieniu innych i za ich stałą zgodą. Bez względu na to, jaką decyzję podejmie, akceptuje fakt, że inni, w imieniu których ją podjął, mogą ocenić ją inaczej i powiedzieć mu o tym.

Ponieważ związki zawodowe powstały po to, by bronić interesów robotniczych, prawdziwy demokratę wie, że to związkowcy, porównując swoje opinie, mają największą szansę na to, aby przyjąć najlepszą taktykę.

Prawdziwa demokracja zawsze odwołuje się do bazy, zakłada bowiem, że w tym porządku nie istnieje coś takiego jak

prawda absolutna i tylko suma doświadczeń wielu ludzi tworzy prawdę względną, dużo cenniejszą od zwartej, choć fałszywej doktryny. Demokracja nie broni abstrakcyjnej idei ani błyskotliwej filozofii. Broni demokratów, co oznacza, że chce, by sami podejmowali decyzje w kwestii najważniejszych metod zapewnienia im obrony.

Dobrze wiem, z jakim zagrożeniem wiąże się to ostrożne podejście. Dobrze wiem, że większość może się mylić właśnie wtedy, kiedy mniejszość widzi sprawę jasno. Dlatego powtarzam, że demokracja nie jest najlepszym z ustrojów. Należy jednak rozważyć, czy większym za-

grożeniem jest ostrożne podejście, czy też działanie wedle zasad filozofii politycznej, która łamie wszelki opór.

Doświadczenie uczy, że lepiej zwolnić, niż dać się ponieść wezbranej fali. Ten sam umiar zakłada zresztą, że mniejszość może dojść do głosu, a jej zdanie będzie brane pod uwagę. Dlatego powtarzam, że demokracja jest najmniej szkodliwym ze złych ustrojów.

Mamy do załatwienia jeszcze wiele spraw. Definicja, którą podałem, nie jest zatem ostateczna. Pozwala jednak na dokładną analizę problemów, przed którymi stoimy, włącznie z tym najważniejszym, dotyczącym rewolucji i pojęcia przemocy. W świetle tej definicji pieniądź i policja nie mają prawa nazywać demokracją tego, co nią nie jest.

Dzięki prasie, która przynosi wstyd temu krajowi, od rana do wieczora karmimy się kłamstwem. Każda myśl, każda definicja mogąca powieścić lub utrwalić to kłamstwo, jest dzisiaj niewybaczalna. Dlatego zakończę stwierdzeniem, że definiując kilka kluczowych słów, czyniąc je dzisiaj bardziej zrozumiałymi po to, aby jutro stały się orężem jeszcze bardziej skutecznym, pracujemy na rzecz wyzwolenia i wykonujemy nasz zawód ●.

przeł. Jan Maria Kłoczowski

Tekst ukazał się w „La Gauche” (nr 4, lipiec 1948), organie ugrupowania Rassemblement démocratique révolutionnaire (Rewolucyjne Zgromadzenie Demokratyczne), założonego pod koniec 1947 r. m.in. przez Jeana-Paula Sartre’a. RDR istniało przez niespełna rok, podobnie jak pismo (ukazywało się od maja 1948 do marca 1949 r.). Camus uznał swój tekst za na tyle ważny, że opublikował go ponownie w piśmie „Caliban” (nr 21, listopad 1948).

Nie, nie kochałem go, jeśli nie kochać znaczy oskarżać to, co niesprawiedliwe w przedmiocie naszej miłości, i żądać, by ów przedmiot dorównał naszemu wyobrażeniu o nim. (...) Ten kraj wart jest, abym go kochał moją trudną i wymagającą miłością. I wart jest dziś, by o niego walczyć, skoro jest godzien miłości wyższego rzędu”.

Sartre i jego krąg wierzyli w Rewolucję i Historię. Camus wierzył w bunt i nawoływał do buntu przeciw Francji prawicowego konformizmu Vichy, a także przeciw tolerancji lewicowego zakłamania komunistów i ich towarzyszy drogi. Spór o naturę Związku Sowieckiego i stalinizmu przeobrażał się z debaty filozoficznej w polityczną.

Sartre opowiadał się po stronie Związku Sowieckiego i komunistów. Dla niego to była jakby nowa forma walki z faszyzmem. Camus był jednoznacznie wrogi pozostałościom faszyzmu (Hiszpania pod rządami Franco), ale stalinizm to była dla niego inna postać tego samego wroga wolności.

Skutek tego podziału był taki, że Sartre wybierał milczenie o zbrodniach Sta-

lina, a Merleau-Ponty racjonalizował procesy moskiewskie w duchu Stalina. Sartre powtarzał, że ujawnianie zbrodni Stalina i prawdy o sowieckich łagrach odbiera nadzieję robotnikom z fabryk metalu. Todd pisał, że zdaniem Camusa „zbrodnie totalitaryzmu powinny być bezwzględnie potępione bez uzasadnienia wyroku bądź doszukiwania się okoliczności łagodzących”. Dla Sartre’a każdy antykomunista „jest psem”.

VII

Ten „pies” stał się, pisał Tony Judt, „osamotnionym obrońcą wartości i nienegocjowalnej etyki publicznej w epoce moralnego i politycznego relatywizmu”. Ten „pies” bezbłędnie rozumiał nadrzędną truciznę swojego czasu.

W zakończeniu „Dżumy”, swego arcydzieła, Camus pisał:

„Wśród mocniejszych i dłuższych teraz okrzyków, które echo niosło aż do stóp tarasu, w miarę jak coraz więcej różnokolorowych bukietów pojawiało się na niebie, doktor Rieux postanowił napisać opowia-

danie, które tu się kończy, żeby nie należeć do tych, co milczą, żeby świadczyć za zdżumionych, żeby zostawić przynajmniej wspomnienie niesprawiedliwości i gwałtu, jakich doznali, i powiedzieć po prostu to, czego można się nauczyć, gdy trwa zaraza: że w ludziach więcej rzeczy zasługuje na podziw niż na pogardę.

Wiedział jednak, że ta kronika nie może być kroniką ostatecznego zwycięstwa. Może być tylko świadectwem tego, co należało wypełnić i co niewątpliwie powinni wypełniać nadal, wbrew terrorowi i jego niestrudzonej broni, mimo rozdarcia osobistego, wszyscy ludzie, którzy nie mogąc być świętymi i nie chcąc godzić się na zarazy, starają się jednak być lekarzami.

Śluchając okrzyków radości dochodzących z miasta, Rieux pamiętał, że ta radość jest zawsze zagrożona. Wiedział bowiem to, czego nie wiedział ten radosny tłum i co można przeczytać w książkach, że bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika, że może przez dziesiątki lat pozostać uśpiony w meblach i bieliźnie, że czeka cierpliwie w pokojach, w piwnicach, w kufrach, w chustkach i w papierach, i że nadejdzie być może dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich

nauki dżuma obudzi swe szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście”.

Świadomość obecności tego mikroba musi nam towarzyszyć, bo tylko ona pomaga dziś rozumieć świat i żyć w tym świecie w godności, choć los Camusa pokazał, że nie będzie to życie łatwe. I dlatego warto pochylić się z uwagą nad jego tekstami zebranymi w wyborze pod jakże wymownym tytułem: „Świadek wolności” ●.

Większość cytatów z Camusa, w tym z „Dżumy”, w przekładzie Joanny Guze; z książki Oliviera Todda - Jana Kortasa.

Esej Adama Michnika to postowie do wyboru tekstów Alberta Camusa

„Świadek wolności.

Artykuły, wykłady i przemówienia z lat 1946-1958”, przeł.

Jan Maria Kłoczowski, Wydawnictwo Agora. Premiera 13 listopada.

Książka do nabycia w dobrych księgarniach oraz w formie e-booka na Publio.pl



• Ekranizacja powieści „Pokolenie Marka Świdy” Andrzeja Struga, czyli film „Grzesz na miłość” (1929). Jego gwiazdą była Jadwiga Smosarska, grająca Monikę Goślicką, wielką miłość głównego bohatera. W Świdę wcielił się Tadeusz Wesołowski
FOT. FILMOTEKA NARODOWA – INSTYTUT AUDIOWIZUALNY



GDY ROK STARCZAŁ ZA

10

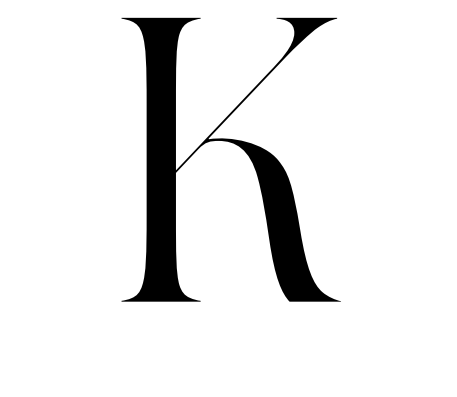
„Uczcić cud dziejowy
i uwiecznić go
w sercach pokoleń”.
Dlaczego nie powstała
wielka powieść
o Polsce?

• Barbara Brylska zagrała główną rolę w „Romansie Teresy Hennert” (1978) według prozy Zofii Nałkowskiej. Partnerował jej Józef Duriasz

FOT. INPLUS
/EAST NEWS



Wojciech Szot



– Kto jeszcze wie, co będzie w tej Polsce? Wszystko może być – mówi w „Pokoleniu Marka Świdy” Andrzeja Struga dziedzic, stary Świda. Jest kwiecień 1919 roku, trwa wojna polsko-bolszewicka. Wojska Piłsudskiego zajęły właśnie Wilno. A Świda umiera.

Przy łóżku czuwają żona, córka i syn Kuba, ale dokonujący żywota patriarcha wciąż myśli o młodszym synu Marku. „Postrzeleniec i narwany, ale w nim jest skarb ukryty” – mówi tuż przed wydaniem ostatniego tchnienia.

Marka od trzech lat nie ma w domu. Strug, gdy pisał „Pokolenie Marka Świdy”, miał 54 lata i należał – przynajmniej w oczach 28-letniego Władysława Broniewskiego – do „starszego pokolenia pisarzy polskich”.

Broniewski w 1925 roku w „Wiadomościach Literackich” zrecenzował powieść Struga. Nie obyło się bez złośliwości. Broniewski ironizował, że najwyraźniej minął już „okres błęgiego kwietyzmu”, gdy „nestorowie literatury wsłuchiwali się tylko w usypiający szum wiatru od morza lub spisywali kroniki w Świeciechowie, deskami od świata zabitym”.

Broniewski, podobnie jak Strug legionista, wytykał pisarzom starszego pokolenia, że od kilku lat milczą. „Złośliwi twierdzili wówczas, że Polska niepodległa zabiła tych ludzi, podobnie jak światło dzienne odbiera wzrok tym, którzy lata spędzili w ciemności” – pisał.

Na szczęście dwie powieści – zdaniem Broniewskiego – świadczą o tym, że był to tylko letarg. Wymienił „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego i „Pokolenie Marka Świdy” Struga. Pomiął – niesłusznie – Zofię Nalkowską i jej „Romans Teresy Hennert”.

KTO PAMIĘTA MARKA ŚWIDĘ?

„Przedwiośnie” przedostało się do lektur. O Strugu przypominają nam co najwyżej nazwy ulic. A przecież „Pokolenie Marka Świdy” cieszyło się sporą popularnością. Cztery lata po premierze książka doczekała się ekranizacji. Scenariusz „Grzesznej miłości” napisał Anatol Stern, wyreżyserował Mieczysław Krawicz, a gwiazdą filmu była Jadwiga Smosarska. Marka Świdę zagrał Tadeusz Wesołowski. Po wojnie trzykrotnie wznawiano dzieło Struga, jednak ostatni raz w 1985 roku, a i to w serii „Książek zapomnianych”.

Wiecej szczęścia miała inna ważna powieść rozliczająca się z odzyskaną niepodległością. „Romans Teresy Hennert” Zofii Nalkowskiej stał się jednym z najbardziej znanych dzieł pisarki. Wielokrotnie wznawiana, na ekrany została przeniesiona przez Ignacego Gogolewskiego w 1978 roku. Tytułową rolę powierzył wielkiej gwieździe lat 70. XX wieku Barbarze Brylskiej.

Co bohaterowie Struga i Nalkowskiej mówili o Polsce i Polakach w pierwszych miesiącach i latach niepodległości? Panicz Marek dorastał bez większych trosk. I choć ojciec próbował nauczyć go „napędzać ludzi przy robocie”, chłopakowi nie w smak były stare metody zarządza-

nia. Wieś odczytywała jednak niechęć do brutalności jako słabość, z Marka naśmiewały się chłopki, więc tym bardziej wsi nienawidził. Prowadziłby życie próżniacze i hulaszcze, gdyby nie – trzeba pamiętać, że mamy do czynienia z powieścią nieznosnie dydaktyczną – przemiana bohatera.

Pierwsza zachodzi w Świdzie za sprawą odkrycia mogiły pana Tucholka, powstańca styczniowego, którego duch na długi czas staje się towarzyszem chłopaka. Drugą przechodzi dzięki zakochaniu i erotycznej inicjacji. Ale najważniejsze dopiero przed nim.

Jest rok 1913. Niektórzy po kryjomu obchodzą 50. rocznicę powstania, inni – zdecydowana większość – 300 lat Romanowów na rosyjskim tronie. A Marek Świda świętuje zdanie matury. I jak tysiące maturzystów przed i po nim opija sukces. „Koleżeńska uczta” w hotelu Janina dla Struga staje się okazją do pokazania postaw młodych ludzi, którzy jeszcze nie wiedzą, że za chwilę runie cały porządek świata.

Wznoszą toasty. Za Polskę, Młodą Polskę i społeczeństwo. Podpici przekrzykują się. „Tylko socjalizm!”, „Precz z żydami!”. Nikt nie oponuje. Z chóru głosów powoli wyłaniają się dwie postawy. Pierwszą reprezentuje Majorkiewicz, „genialny karykaturzysta szkolny, a cichaczem pornograf”, który wznosi toast z okrzykiem: „Obyśmy doczekali niepodległej Polski!”.

Drugą – młody Świda, który ironizuje: „Oto program młodego pokolenia. Doczekać – wielkie słowo!”

Trudno nie przyznać racji Świdzie, gdy mówi, że chcąc tylko „doczekać”, mogą przeżyć wiele lat bez spełnienia „polskich życzeń”. I mieć poczucie, że to przecież nie „ich wina”. „Potomność was rozgrzeszy i z kolei będzie czekała” – mówi Świda.

I choć Strug kieruje ostrze wypowiedzi swojego bohatera przeciwko współbieśniakom, to trudno nie dostrzec w tym krytyki postawy pokolenia dorastającego po powstaniu styczniowym.

MAREK ZOSTAJE LEGIONISTĄ

To dopiero początek patriotycznych wzmożeń Świdy. Podczas studiów w Krakowie, patrząc na królewski Wawel i oglądając inscenizację „Wesela” Wyspiańskiego, doznaje niemal mistycznych wizji. Gdy wybucha wojna, jest już w domu, po którym biega sobie piesek Chochół (symbolizm Struga nie należy do wysublimowanych).

Ojcu Marka nie podoba się, co się na świecie wyprawia. Dziedzic „życie spędził w spokoju, bez żadnych pozadomowych aspiracji. Nie miał się z czego cieszyć i nie miał się na co skarżyć”. W duszy – pisze Strug – „ugodził się z Moskalami”. A co teraz? Kogo poprzeć?

Marek też nie ma łatwo. Moskali nienawidzi na równi z Niemcami. Kto wie, z kim będzie po drodze? Na szczęście ojciec zapłacił 500 rubli i syn nie poszedł do rosyjskiego wojska.

Mija rok. W Marku wzmaga „nienawiść ku sobie i pogarda”. Wtedy w Jordanowicach pojawiają się żołnierze. Odwrot. „Dzisie brodate typy z otchłani głębokiej Rosji (...) gościli na folwarku jak nieznane plemie z wędrowek narodów (...)”. W pogoni za Rosjanami nadciągają wojska, a z nimi Legiony. Marek postanawia przyłączyć się do I Brygady. Znajdzie się w rosyjskiej niewoli, a ucieczka z niej zamieni się w niezwykłą przygodę, podczas której zwiedzi pół świata. Do Jordanowic wróci już po śmierci ojca.

SĄ TU LUDZIE OPĘTANI POLSKĄ!

Powieść Struga jest nieprawdopodobnie egzaltowana, więc powrót Marka do wolnej już Polski to kaskady wzruszeń na widok orla i „ubożuchnych polskich pieniędzy”. Jednak spod stylizacji i literackich okrop-

ności wylania się ciekawy opis nastrojów, jakie towarzyszyły Polakom w 1918 roku.

„To, co się działo w Polsce, nie dawało się przeniknąć – pisze Strug. – Jedni powiadali – Piłsudski i koniec, więcej nie trzeba. Reszta: wszystko by się ułożyło, gdyby nie on”. Gdy siostra Marka, Janka, jedzie do stolicy, zaskakuje ją ponurość miasta w „epokowym, pierwszym roku wolności”, a oburzają oficerowie „gadający po moskiewsku” albo „szwargocący po szwabsku”. Wszędzie mówi się o kradzieżach i zdradach. „Wszystko wisiało na włosku, było iluzją, krótkim snem”.

I choć „błazny, arystokratyczni lalusie” uciekali przed wojskiem, a ci, co wojsko to mieli tworzyć, kłócili się o stopnie i stanowiska, a mimo to w tych „mętnych wodach” krążyli ludzie „opętani Polską”. Na nich się trzymała i „z mozołem, pod przychylnem okiem opatrności dźwigała się z trzęsawiska”.

MARZENIA O WIELKIEJ PROZIE

Zagubiony w powojennej rzeczywistości Świda poznaje Lubińskiego, autora dwóch głośnych tomów poezji wydanych „jeszcze za okupacji”, który w niepodległej zamilkł. Lubiński zamierza napisać „wielkie dzieło”, a pod jego wpływem sam Świda zaczyna marzyć o powieści o Polsce. Marzy o opisanu tego, „co jest w nas, wokoło nas, za nami, przed nami”. Chce „uczcić cud dziejowy i uwiecznić go w sercach pokoleń”.

Lubiński przypomina Szymona Gajowca ze starszego od „Pokolenia...” „Przedwiośnia”, urzędnika, który „pisał książkę o Polsce nowożytnej, o Polsce niezależnej od najeźdźców, ale również niezależnej od romantyków, mistyków, wieszczów, proroków, socjalistycznych i reakcyjnych dyktatorów papierowych i wszelkiego rodzaju gadułek”. Z tą różnicą, że bohaterowie Struga nie mają kłopotów z romantykami, wieszczami i socjalistami.

Strug wyklada credo „Pokolenia...”, które ma utrwalić w pamięci pierwsze lata niepodległości, gdy „rok starczał za dziesięć”, a czas „mknął i sypał faktami”.

„Nie kronika wydarzeń, nie uczony traktat polityczny i nie dyplomata, nie filozof, nie socjolog dadzą odpowiedź na to, co nas podświadomie nurtuje, co nas trawi i nie daje żyć spokojnie. Tylko sztuka i tylko artysta”. Kto ma to zrobić jak nie przedstawiciel pokolenia, które „młodzieńcami zastała Wielka Wojna” – pyta Strug.

Inaczej jest u Żeromskiego. Lubińskiemu marzy się powieść, w której pokaże, jak Polska „żyje, cierpi, raduje się, w rzeczywistości najrealniejszej”, ale też, że wszystko to jest efektem „tajemniczego opiekuństwa nad tym krajem”. Barykę, który zostaje sekretarzem urzędnika pisarza, irytuje taka postawa. „Cóż go mogło obchodzić stwierdzenie, że ta oto dziura w lachmanie jest nieuniknionym następstwem”, „że ten oto wrzód, rana, strup przyschnięty to jest dzieło i wina zaborców” – pisał Żeromski. „Baryka widział tylko dziury, laty, lachmany, wrzody i strupy”.

Podobnie jak Lubińskiego wielka powieść zaczyna przerastać Świdę. „Któż zna całą Polskę? Kto jej nadaży?” – zastanawia się.

UWIEŻIONY MISTYK ŚNIAT

Świda bierze udział w wojnie z bolszewikami. Ranny, wraca do stolicy. W lazarecie poznaje Śniata, mistyka żołnierza, który imponuje Markowi swoją postawą i optymizmem. „Dwa lata wojny zjednoczyły w szeregu wszystko, co w Polsce było młode i dzielne” – mówił Śniat.

Nie mija wiele czasu, gdy Świda widzi nagłówek w gazecie. „Sprawa podchorążego Śniata i towarzyszy”. Oskarżony o „bolszewictwo i zdradę” przebywa w Szpitalu Ujazdowskim na oddziale dla więźniów, na którym odwiedza go Świda. Śniat wygłasza

swoje credo: „Przed wszystkim trzeba uzdrowić człowieka. Wszyscy są zatruci nienawiścią”.

Marek już niczego nie rozumie – jak taki dobry człowiek, który w mesjanistycznym geście mówi: „Ja cały jestem w Polsce”, ma być rozstrzelany? Dlaczego nikt nie protestuje? Przypomina to wzburzenie Baryki, który krzyczy do Gajowca: „Policjant uzbrojony w narzędzie tortur – to jedyna ostoja Polski!”.

KSIĄŻKI O POLSCE NIE BĘDZIE

Kilka dni później śni się Świdzie, że trzyma w rękach swoją „Powieść o Polsce”. Łzy napływają mu do oczu. I nagle przychodzi zwątpienie. „Czyż to nie wszystko jedno?” – pyta jakiś głos w Marku. „Gdzież się podziało moje życie?” – krzyczy. I budzi się.

Strug doskonale pokazał niemożliwość wykonania zadania, które przed twórcami stawiali współcześni: opisać doświadczenia, na które składało się wiele racji i niezliczona ilość prawd. Doświadczenie, które połączyło ludzi z przeciwnych obozów, z trzech zaborów. Polskę, w której każdy mościł się po swojemu.

Tragizm Świdy bierze się z konfliktu pomiędzy romantycznymi i mesjanistycznymi ideami a niemożliwością ich stosowania w codziennym życiu. Strug kończy książkę przypomnieniem, że rzeczywistość nie przejmuje się losem tragicznych bohaterów.

KASJER W ŚWIECIE OKŁAMPOLI

„Patrzę, jak się Polskę robi, i czekam na protekcję” – mówi jeden z bohaterów „Łuku” Kadena-Bandrowicza. O tym, że niepodległa ojczyzna to wylęgarnia oszustów i złodziei, pisał już w 1920 roku Żeromski. W opowiadaniu „Na probostwie w Wyszkowie” pisał, że po odzyskaniu niepodległości „jak po spuszczeniu wód stawu, ujrzeliśmy obmierzłe rojowisko gadów i płazów”, a kraj opętało „wszelkie gałganieństwo, paskarstwo, łapownictwo, dorobkiewiczostwo kosztem ogółu”.

W 1927 roku Strug opublikował „Fortunę kasjera Śpiewankiewicza”, sensacyjną opowieść o człowieku, który w niepodległej już Polsce schodzi na złą drogę.

Jak wyglądała Polska z perspektywy kasjerskiego okienka? „W okienku zaczęły się przewijać nowe niesłychane typy, wylęgłe w mętnych wodach tych wiośnianych czasów”. Wśród nich „pejsaci żydzi z odmętów ghetta, nie umiejący słowa po polsku, skandaliczni młodzieńcy, babsztyłe w chustkach, beczelne straszyla i pokraki”.

Śpiewankiewicz, „nieskazitelny urzędnik, wzorowy ojciec rodziny, długoletni wiceprezes związku bankowców”, z trudem przyjmuje to, co się dzieje. Strug karykaturalnie, a zarazem trafnie opisuje trudne czasy, jakie nastały dla polskiej gospodarki, gdy na markach polskich „nieszczęsnego Kościuszkę osaczały coraz to dłuższe girlandy zer”. Ale też czasy, gdy pojawia się „młodzieńczy świetny polski pieniądz, pełnobrzmiący złotem, srebrem i radością, czystej krwi europejszy”, a obywatel nie musiał już być „miliarderem, żeby pojechać tramwajem”.

I czasy, w których „w głowie mieszało się od nawału możliwości niespodzianek i kombinacji”.

Na Marszałkowskiej, obok biura Detpolbanku, w którym pracuje kasjer, wyrastają handlujące, czym popadnie „Darmopol” i „Taniopol”. I to właśnie w „Taniopolu” wpadnie Śpiewankiewicz na rudą piękność, która przemieni uczciwego biurokratę w żadnego przygód złodzieja.

Napisana w zupełnie innym stylu niż „Pokolenie...” powieść pod sensacyjnym





plaszczykiem szmuglowała opowieść o tym, że niepodległa Polska stała się idealnym terenem dla spekulantów, oszustów, czyli „pierwszych lepszych Oklampoli”.

ŚWIDA, TY NIEROBIE!

Krytyka nie przyjęła „Pokolenia...” pozytywnie. Powieść nie spodobała się młodym, którzy mieli czuć pokoleniową łączność z Markiem Świdą. Zaledwie 21-letni Jan Dąbrowski recenzował w „Robotniku”: „Strug zamierzał stworzyć powieść o »Pol-sce współczesnej«, a tymczasem zamiast powieści o pokoleniu jest „opowieść o Mar-ku Świdzie jedynie i wyłącznie”. Oskarżał Struga o to, że stworzył „skoślawiony obraz rzeczywistości”.

Trzy lata później Dąbrowski docenił jednak „Fortunę kasjera...”, pisząc, że w Strugu „tkwi potężny talent”, dotąd zaniedbany „na rzecz wizjonerstwa, które w nadmiarze musi być nużące”.

Także Mieczysław Smolarski w „Rzeczpospolitej” skrytykował Struga: „Potężniejsza, silniejsza mimo wszystko była w przełomowej epoce swojej Polska, niż przedstawia ją Strug”. A Leon Piwiński z „Przeglądu Warszawskiego” ironizował, że „powieść Struga prowokuje do karykaturowania i w zupełności na karykaturę zasługuje”.

Wściekły na pisarza był Stefan Heflich-Piotrowski, który uważał Świdę za nieroba. Przeciwstawiał mu jego brata Kubę, który „nie studiował na wyższych uczelniach”, „nie przeżywał skomplikowanych psychicznie dramatów miłosnych”, a ożenił się z chłopką, „wrosł bardziej w ziemię”, a na jego weselu „nie przygrywał wiecheć słomiany, ni mary straszne się plątały”.

ROZMYŚLANIA NA TLE CHWILI

Niemal w tym samym czasie tygodnik „Świat” publikował „Pokolenie...” i „Romans Teresy Hennert” Zofii Nałkowskiej. Powieść doskonale opisuje to, co redaktor Rasiński w „Generale Barcu” Juliusza Kadena-Bandrowskiego nazwał „radością z odzyskanego śmietnika”. Bohaterami „Romansu...” są wojskowi i osoby z „towarzystwa”: Józef Hennert, „prawie wiceminister”, żonaty z Teresą, profesor Laterna „filozof, obieżyświat, dziwak”, jego syn Andrzej „odludek, mizantrop”, Julian Gondzill, „siwiejący porucznik piechoty”, czy porucznik Lin.

„Wojna skończona. Gorączkowe jej tętno przestało bić. Niepodległość utrwalona. Jakże przedstawiają się ci, co za nią walczyli orężem albo ideowo? Jakże wyglądają bohaterowie – przy kominku?” – tak w „Robotniku” streszczał najważniejsze zagadnienia powieści Nałkowskiej Zygmunt Kisielewski.

Słusznie zauważał, że sam tytułowy roman jest tylko pretekstem do „rozmyślań na tle obecnej chwili”. Swą kulminację mają one w niezwyklej scenie kolacji w barze „Eden”, gdzie spotyka się większość – męskich – bohaterów powieści. Już przy wyborze dań Gondzill ironizuje, że jesteśmy narodem patriotów: „Tyle poczucia odrębności narodowej: zrazy po polsku, kurczęta po polsku, raki po polsku”.

Laterna piętuną postulat odrębności narodowej „w formach życia, w plastyce, w literaturze”. Zdaniem filozofa forma powinna być „produktem ubocznym” twórczości, a nie jej podstawowym postulatem. Andrzej, syn filozofa, oburza się na rzeczywistość niepodległej ojczyzny. „Wasz trud był próżny, bo nie zmieniło się nic: więzienia są przepełnione, a na ulicach rozpędza się bezrobotnych kolbami” – niemal krzyczy. „Bo wam szło tylko o niepodległość” – dodaje i wygarnia zebrany: „Wszyscy jesteście bankrutami, dożywszy tej chwili, gdy urzeczywistnił się wasz sen”.

„To prawda” – mówi milczący dotąd Lin, po czym opada na krzesło, głowę opiera o stół i trzęsie się „od suchego, histerycznego łkania”. Badaczka literatury Lucyna Marzec zwróciła uwagę na przekroczenie przez Lina społecznego tabu. Placz „nie mieści się w repertuarze gestów męczyzny, tym bardziej wojskowego”. Jednak biesiada kończy się w zupełnej ciszy, nikt nie pyta Lina o powód rozpacz. Wszyscy bowiem zdają sobie sprawę z katastrofy.

JAKA JEST POLSKA

A co o niepodległości myślą kobiety? O „nowych kobietach” pisał Kaden-Bandrowski. W jego „Łuku” bohaterka Maryśka Miechowska uświadamia sobie – zauważał Jerzy Jarzębski – „że świat urządzony przez mężczyzn tragicznie się nie sprawdza”.

Nałkowska idzie dalej, i pokazuje w „Romansie...” mężczyzn, którzy przedmiotowym traktowaniem kobiet rekompensują sobie brak wojennych podniet. Opisuje dwa typy kobiecie – uległe, przyzwyczajone do złego traktowania. oraz te, które emancypują się, wyrabiając w sobie „poczucie niezależności” i psują „harmonię wnętrz rodzinnych”.

Najmłodsze „wcale nie zadawały sobie trudu, by ukryć swój sposób życia”. Jak Wanda Hennert, „miłośniczka koni i oficerów”, która ma dość dyskusji o tym, co poszło źle, a co powinno wyglądać inaczej. „Do licha, jest już przecież Polska (...). Nie taka, jakiejście pragnęli? No właśnie jest taka, jaka może być”. W dodatku niczym się nie wyróżnia – mówi Wanda, Polacy są obywatelami, jak wszyscy na świecie, ani „Chrystus narodów”, ani „kajdany Sybiru”, ani „carscy siepacze”. „Nic, nic! Jesteśmy tacy, jacy możemy być (...)”.

PIES CHOCHOŁ WCIĄŻ MERDA

Trzeźwość obserwacji Nałkowskiej, literatura doskonałość „Przedwiośnia”, a do tego udane, choć niezgrabne u wszystkich poklasku dzieła Kadena-Bandrowskiego sprawiły, że stylizowana na nowe „Wesele” powieść Struga znalazła się w ogniu krytyki. W 1925 roku czytelnicy nie chcieli już wracać do postaci, które się budzą, odsłaniają duszę i utyskują nad niemożliwością znalezienia się w nowej rzeczywistości. Nadmierna emocjonalność nie była mile widziana. Nie bez przyczyny na rękopisie „Przedwiośnia” Żeromski zanotował cytaty z „Szekspira”: „Zło jest wynikiem opętania duszy przez namiętność”. Pokoleniu wchodzącemu wtedy w dorosłość bliżej było do Wandy Hennert niż Marka Świdy.

Jan Potkański w eseju o „Przedwiośniu” nazwał powieść Żeromskiego „trupem”, i to „coraz zimniejszym”! Bo choć wszyscy pamiętają jej dawną doniosłość, to nie stanowi „matrycy żadnych współczesnych dyskusji”. A przecież problemy, które opisuje Żeromski, takie jak kryzys ekonomiczny czy poszukiwanie „narodowej wspólnoty wyobrażonej”, są jak najbardziej aktualne.

Czytając pisarzy, którzy ledwie kilka lat po odzyskaniu niepodległości w odważny – a w przypadku Struga wręcz w karkołomny – sposób próbują zmierzyć się z polską codziennością, warto zadać pytanie o to, dlaczego dzisiaj fikcja tak niechętnie podejmuje się rozrachunków z tym, co wokół nas.

Najwięksi polscy twórcy – Olga Tokarczuk, Joanna Bator czy Szczepan Twardoch – sięgają do przeszłości, próbując odpowiedzieć na pytanie, skąd przyszliśmy. Robią to też debiutanci jak Marta Hermanowicz w „Końcu” czy Kinga Sabak w „Trochę z zimna, trochę z radości”, rozliczając się wciąż z powojenną traumą i dorastaniem w niełatwych czasach. A dokąd idziemy? I jacy jesteśmy? Sto lat po „Pokoleniu Marka Świdy” wciąż nie jest nam łatwo o tym mówić. Pies Chochół dalej radośnie merda ogonem. ●

Okruchy historii

O przełęcz za daleko



28 października minęło 80 lat od upadku powstania na Słowacji. Podobnie jak w Warszawie, wybuchło ono w sierpniu 1944 roku, ale inaczej niż w Polsce, nie miało antykomunistycznego wymiaru. Powstałe w wyniku rozpadu Czechosłowacji państwo słowackie rządzone przez księdza Jozefa Tiso było sprzymierzone z Hitlerem. Jego niewielkie siły zbrojne wzięły udział w napadzie na Polskę we wrześniu 1939 r., a później też w inwazji na ZSRS. W obliczu zwycięstw państw alianckich w armii słowackiej zaczęły jednak narastać buntownicze nastroje. Spotęgował je jeszcze fakt przenikania w 1944 roku na Słowację sowieckich oddziałów partyzanckich.

W korpusie oficerskim powstał plan, by w chwili nadejścia Armii Czerwonej wywołać zbrojne powstanie. Hasło do jego rozpoczęcia dał 29 sierpnia stojący na czele spisku płk Jan Golian. Powstańcom wspartym przez partyzantów udało się opanować środkową część Słowacji, w tym Bańską Bystrycę, w której ustanowiono stolicę zbuntowanego kraju. Szybka kontrakcja Niemców zapobiegła jednak przyłączeniu się do buntu dwóch słowackich dywizji piechoty obsadzających karpacie przełęcze. Ich rozbrojenie zadecydowało o klęsce powstania.

Sowieci – jak wiadomo – nie pospieszili z pomocą walczącej Warszawie. Na wieść o zrywie na Słowacji zareagowali inaczej. Na opanowane przez powstańców lotnisko Tri Duby przerzucili czechosłowacki pułk lotniczy i brygadę desantową, pozwolili też na przelot z Londynu Edwarda Beneša nowego dowódcy powstania – gen. Rudolfa Viesta.

Jednocześnie Stalin polecił wojskom I frontu ukraińskiego zmianę kierunku natarcia z zachodniego na południowy.

8 września wojska sowieckie rozpoczęły ofensywę z okolic Sannoka. Plan zakładał, że po pięciu dniach natarcia uda im się już zająć słowacki Preszów, tymczasem zdołały podejść ledwie do Dukli. Co gorsza, uwikłały się tam w krwawe walki w górach. Ostatecznie dopiero 6 października udało im się opanować graniczną przełęcz. Stało się to kosztem pra-

wie 100 tys. zabitych i rannych, a z Przełęczy Dukielskiej wciąż było daleko do terenów zajętych przez powstańców.

Tymczasem ci znaleźli się w krytycznej sytuacji. Dowodzone przez generała SS Hermana Hoefle siły pacyfikacyjne zostały wzmocnione przez 18. Dywizję SS „Horst Wessel” oraz 14. Dywizję SS „Galizien” złożoną z ukraińskich ochotników. A także przez ściągniętą z Warszawy owianą złą sławą brygadę SS Oskara Dirlewangera.

Podjęta przez nie ofensywa złamała opór powstańców. 27 października padła Bańska Bystrzyca, a dzień później gen. Viest zadecydował o przejściu do walk partyzanckich w górach.

Ks. Tiso potępił powstanie, a podległa mu oficjalna propaganda głosiła, że było ono efektem „czechobolszewizmu”. Aby uczcić zwycięstwo nad „buntownikami”, ks. Tiso osobiście odprawił w Bratysławie uroczystą mszę, w której uczestniczył gen. Hoefle (według niektórych wersji miał nawet w jej trakcie zagrać na organach). Kolaboracja księdza Tiso miała jednak i ten wymiar, że Niemcy w odróżnieniu od Warszawy nie prowadzili na Słowacji ludobójczych czystek. Choć dopuścili się licznych zbrodni na sprzyjającej powstańcom ludności cywilnej, to ostrze terroru z założenia nie było wymierzone we wszystkich Słowaków, lecz w „buntowników”, komunistów i ukrywających się Żydów oraz Romów.

Według oficjalnych danych zamordowano około 5 tys. osób cywilnych, z czego 2 tys. stanowili Żydzi. Co ciekawe, jeśli Niemcy ostatecznie uznali prawa kombatanckie powstańców warszawskich i gen. Tadeusz Komorowski „Bór” trafił do obozu jenieckiego, to już dowódców powstania słowackiego – Jana Golia i Rudolfa Viesta – po schwytaniu przewieziono do obozu koncentracyjnego, a później rozstrzelano.

W powojennej Czechosłowacji pamięć o powstaniu została zawłaszczona przez rządzących komunistów. Podkreślano zwłaszcza rolę uczestniczącego w nim Gustawa Husaka, który od 1969 roku stał na czele partii i państwa. Po 1989 roku przyjęło się je uważać za ogólnonarodowy zryw, który pozwolił na zmycie hańby związanej z istnieniem kolaboracyjnego państwa kierowanego przez księdza Tiso. Niekiedy pojawiają się opinie, że Stalinowi – podobnie jak w Warszawie – nie zależało na przyjsciu powstańcom z pomocą. Jednak przebicie się przez górskie przełęcze było znacznie trudniejsze niż pokonanie Wisły. ●

Motyka

Prof. Grzegorz Motyka
– historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Historia krzepi

Święto Niepodległości, ale jakiej?

W II Rzeczypospolitej spierano się, czy Polska ma być demokratyczna, czy autorytarna. Ostatecznie ci, którzy walczyli o tę pierwszą, zbudowali tę drugą.

Nałęcz



Marsz Niepodległości organizowany przez nacjonalistycznych radykałów aktualnym czyni dylemat celnie ujęty w wierszu Juliusza Słowackiego, ulubionego poety Józefa Piłsudskiego.

Szli krzycząc: Polska! Polska! – wtem jednego razu
Chcąc krzyknąć zapomnieli na ustach wyrazu,
Pewni jednak że Pan Bóg do synów się przyzna
Szli dalej krzycząc: Boże! ojczyzna! ojczyzna.
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: Jaką?

Otóż to! Kiedy 11 listopada świętujemy odrodzenie suwerennej Polski, ważne jest, jaki jej kształt upamiętniamy. II Rzeczpospolita nie miała bowiem jednego oblicza. Od pierwszych do ostatnich jej dni trwał ostry spór o to, jakim ma być państwem.

DWA POMYSŁY NA POLSKĘ

Ścierały się dwie koncepcje ustrojowe – demokratyczna i autorytarna. Pierwsza królowała w najważniejszym, założycielskim okresie. Forsował ją obóz centrolewicowy złożony z socjalistów, ludowców i liberalów, któremu patronował Józef Piłsudski. Przede wszystkim jednak demokracji żądało społeczeństwo. Cierpiąc przez kilka pokoleń w niewoli, odrodzoną ojczyznę postrzegało jako oazę wolności będącą dobrem wspólnym wszystkich obywateli. Nikogo nie chciano traktować po macoszemu. Każdy liczył się tak samo, bez względu na pleć, majątek, status społeczny, wyznawaną religię czy przynależność narodową.

To powszechne w zaraniu niepodległości przekonanie legło u podstaw postępowych rozwiązań ustrojowych. Sprawilo, że wybory do Sejmu w styczniu 1919 r. odbyły się na bazie jednej z najbardziej demokratycznych ordynacji, dającej prawo głosowania także kobietom. Pod względem zabezpieczeń socjalnych Polska wyprzedziła zaś rozwinięte kraje zachodnie.

Demokratyczna konstrukcja państwa znalazła potwierdzenie w przepisach konstytucji uchwalonej w marcu 1921 r. oraz – choć już nie tak konsekwentnie – w codziennej praktyce rządzenia aż do maja 1926 r.

Jednak obywatelskie wsparcie dla demokracji z biegiem czasu się wy-



• Marszałek Józef Piłsudski na Placu Saskim, 11 listopada 1927 roku, podczas obchodów 9. rocznicy odzyskania niepodległości FOT. ZBIORY D.B. ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS

Polska demokratyczna, która przemówiła 15 października 2023 r., powinna mieć własną, wolnościową i wspólnotową formułę

czepało. Wykorzystali to politycy rozczarowani taką formą rządzenia i w 1926 r. górę wzięli autorytaryzm forsujący władzę genialnego jakoby przywódcy, wspieranego przez wąską elitę sterującą masami. Dośiadł też tego konia marszałek Piłsudski, który porzucił centrolewicę i dokonał w maju 1926 r. zbrojnego zamachu stanu.

Początkowo sprawował dyktatorskie rządy w aksamitnych rękawiczkach. Potrzebował czasu na opanowanie aparatu państwowego i umocnienie własnego obozu. Sprzyjała mu bardzo dobra koniunktura gospodarcza skutkująca znaczną poprawą położenia materialnego społeczeństwa. Zadowolone z owoców prosperity nie wspierało opozycji broniącej coraz bardziej ograniczanej demokracji.

METODY POŻYCZONE OD WZORCOWYCH REŻIMÓW

Sytuację gwałtownie zmienił Wielki Kryzys, który wybuchł jesienią 1929 r. Ubożejące społeczeństwo odwróciło się od rządzących, w nich upatrując winnych swoich nieszczęść. Jak na drożdżach rosła w siłę opozycja. By nie stracić władzy, jesienią 1930 r. Piłsudski sięgnął po masową przemoc. Parlament został rozwiązany, a nowe wybory poprzedziła fala gwałtów i nieuczciwości.

Łamiąc prawo, aresztowano i osadzono w więzieniu kilkunastu liderów

opozycji. Znęcano się tam nad nimi fizycznie i psychicznie. Represje kontynuowano przez całą kampanię, pozbawiając wolności 5 tys. opozycjonistów, w tym 84 posłów i senatorów. W co czwartym okręgu unieważniono opozycyjne listy wyborcze. Takie metody dały piłsudczykom bezwzględną większość w parlamencie.

Wykorzystali ją do zasadniczej zmiany ustroju państwa. W kwietniu 1935 r. przepisami niedemokratycznej konstytucji i ordynacji wyborczej za betonowali autorytarny system rządzenia. Opozycję pozbawiono szansy na odzyskanie władzy za pomocą kartki wyborczej. Nic dziwnego, że aż do 1939 r. solidarnie, od lewicy po prawicę, odmawiała ona udziału w kolejnych farsach wyborczych.

Brutalna stała się też codzienna praktyka rządzenia. Najlepiej świadczyło o tym utworzenie w 1934 r. obozu w Berezie Kartuskiej, gdzie więziono politycznych przeciwników bez wyroku sądowego, na polecenie wojewody. Zapożyczono to rozwiązanie od opresyjnych reżimów tamtej epoki – faszystowskiego i komunistycznego.

POLSKA TYLKO CZYSTO POLSKA

W kierunku autorytarnym podążał też po 1926 r. drugi wielki obóz polityczny, jakim była Narodowa Demokracja. Jej lider Roman Dmowski jeszcze bardziej niż Piłsudski gardził demokracją. Wzorując się na włoskich faszystach od 1922 r. rządzących Italią, przeformował nową formułę działania endecji. Opierając się na młodszym pokoleniu narodowców, utworzył w grudniu 1926 r. Obóz Wielkiej Polski mający siłą przejąć władzę. Obowiązywała w nim zasada wodzostwa i bezwzględnego posłuszeństwa.

Dmowski został „wielkim oboźnym” o dyktatorskich uprawnieniach, na razie w zarządzaniu własnymi sze-

regami. Nie ukrywano jednak, że tak też w przyszłości będzie sprawowana władza w całym państwie. Narodem rządzącym mieli w nim być etniczni Polacy, mniejszościom narodowym zaś stanowiącym jedną trzecią ludności wyznaczono rolę obywateli drugiej kategorii.

Pogłębiły ten ostry kurs pełne napięcie lata 30., kiedy to endeckiemu nacjonalizmowi i antysemityzmowi nadano agresywny charakter. W atmosferze zaognionej katastrofą gospodarczą postulat ograniczenia praw Żydów zastąpiono żądaniem wyeliminowania ich z wielu dziedzin życia. Już nie tylko słowem, ale pałą i kastetem pokazywano, jak ma wyglądać zhierarchizowane państwo narodowe należące do etnicznych Polaków.

RESTITUCJA WODZOWSKICH IDEI

W styczniu 1933 r. animuszu dodało endeckim radykałom przejęcie przez Hitlera władzy w Niemczech. W marcu 1934 r. utworzony został Obóz Narodowo-Radykalny. Pod koniec tego roku wyodrębniło się w nim jawnie już faszystowskie skrzydło o nazwie ONR „Falanga”. W programie Falangi otwarcie triumfował totalitaryzm.

Zrezygnowano z pluralizmu politycznego, zasady równości, niezależności gospodarczej i majątkowej jednostki. Opowiedziano się za nacjonalizacją gospodarki i bezwzględnym podporządkowaniem państwu życia politycznego, społecznego oraz kulturalnego. Władza miała funkcjonować na zasadach wodzostwa i pochodzić z nominacji.

Do tej niechlubnej tradycji – wydawałoby się nieodwracalnie skompromitowanej przez nazizm – nawiązują dziś jeszcze organizacje narodowych radykałów, w tym restytuowany po 1990 r. Obóz Narodowo-Radykalny i Młodzież Wszechpolska. Właśnie te środowiska są bardzo aktywne w czasie listopadowego Marszu Niepodległości. Nic więc dziwnego, że nieobecne są w nim treści nawiązujące do demokratycznego dorobku II RP. Dominują za to hasła i zachowania żywcem zapożyczone z endeckich burd z lat 30. Od dziewięciu lat dzieje się to z błogosławieństwem PiS i Andrzeja Dudy. Prezydent w kokietowaniu nacjonalistycznych radykałów posunął się tak daleko, że w stulecie odrodzenia suwerennej Polski stanął na czele ich marszu, nie organizując własnej masowej imprezy.

Czas skończyć z tą zawstydzającą praktyką. Polska demokratyczna, która przemówiła 15 października 2023 r., powinna mieć własną, wolnościową i wspólnotową formułę świętowania Dnia Niepodległości. Nie da się tego zrobić bez prezydenta RP. Trzeba więc z tym poczekać do przyszłego roku, jak z wieloma innymi sprawami blokowanymi przez okopy Świętej Trójcy z Krakowskiego Przedmieścia. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii

Krzysztof Król

Miejscem, w którym przeplotły się losy ostatnich 120 lat, jest Areszt Śledczy przy Rakowieckiej – jak mówiono – najdłuższej ulicy w Warszawie, ponieważ przejście nią mogło zająć nawet wiele lat.

Było to więzienie, ale zarazem symbol opisywany w literaturze pięknej, piosenkach, we wspomnieniach, w filmach. Od „Przesłuchania” po „Killera”.

Mam do niego sentyment jako jeden z lokatorów.

Dzisiaj to Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych. Muzeum zarządzane przez IPN ogranicza się do dwóch haseł. Kategoria „żołnierzy wyklętych” jest fałszywa, poddaje się narracji komunistycznej, która próbowała wykląć pokolenie Armii Krajowej. Polskie społeczeństwo nigdy tego nie zrobiło.

W Muzeum możemy zobaczyć zaskakujący wybór bohaterów. Wiele nazwisk i jeszcze większe braki. Brak oficerów Komendy Głównej AK, którzy tutaj siedzieli. Brak Władysława Bartoszewskiego, Kazimierza Moczarskiego. Nie ma wspólnego mianownika. Nie wystarczyło uwięzienie, tortury, nawet czasami śmierć, żeby zasłużyć na uwagę IPN.

Jeszcze gorzej jest z więźniami politycznymi. Niedawno pokazywano tam na tablicach rok 1968 bez Adama Michnika i „Solidarność” bez Wałęsy. Nie ma Jacka Kuronia, Karola Modzelewskiego, Leszka Moczulskiego.

Zamiast tego jest Kornel Morawiecki z głównie wrocławskiej organizacji „Solidarność Walcząca”, najbardziej znanej z tego, że jej założyciel był ojcem niedawnego premiera PiS. Morawiecki na Rakowieckiej siedział krótko i wyjechał stamtąd za granicę.

Z kilkunastu sal poświęconych SW uwagę zwracają karabiny maszynowe, granaty, pistolety. Dla uczestnika tamtych wydarzeń to szok. Ruch „Solidarności”, opozycji demokratycznej, był pokojowy.

Jego bronią były wydawnictwa, książki, manifestacje, strajki, walka non violence – bez użycia przemocy. Kto mówił o broni, był albo szalony, albo w 99 proc. był prowokatorem służb komunistycznych, które chciały straszyć społeczeństwo groźbą wywołania powstania, ofiarami śmiertelnymi.

To oni strzelali do ludzi w 1970 i 1981, a nie my do nich.

IPN, przygotowując ekspozycję, postanowił skorzystać z metody przemilczeń i przeinaczeń. Przypomina to sposób, w jaki władze PRL pokazywały warszawską Cytadelę. Był wprawdzie Romuald Trautgutt, ale zamiast Piłsudskiego czy PPS-owców eksponowano Socjalno-Rewolucyjną Partię Proletariat z Ludwikiem Waryńskim oraz komunistycznych działaczy z lat 20. skazanych za zamachy terrorystyczne.

Zła, szkodliwa, manipulatorska wystawa IPN nie powoduje jednak, że mamy zapomnieć o Rakowieckiej 37. To świadek i symbol polskiej historii. Trzeba go pokazać rzetelnie i mądrze.

TYSIĄCE LUDZKICH LOSÓW

Cela nr 1. Czasy carskie. Cela Józefa Kwiatka, działaczowi Polskiej Partii Socjalistycznej, autorowi artykułu „Marksista przeciw Marksowi” krytykującego część lewicy za kwestionowanie potrzeby polskiej niepodległości. 13 listopada 1904 r. razem z grupą bojowców PPS wyszedł z kościoła na placu Grzybowskim, rozwinęli transparenty i zaczęli śpiewać „Krew naszą długo leją katy”. Atakującym kozakom odpowiedziano strzałami.

Obok, wspomnienie o Tacie-Tasiemce, Łukaszu Siemiątkowskim, zwanym polskim Al Capone. Łączył działalność kryminalną, wymuszenia, haracze, działalność kieszonkowców z walką o niepodległość. Był jednym z działaczy PPS organizującym



• Warszawa, 22 maja 2021 rok. Matka premiera Mateusza Morawieckiego, Jadwiga, podczas otwarcia wystawy stałej pt. „Muzeum Solidarności Walczącej” w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. FOT. PAP/WOJCIECH OLKUŚNIK

Rakowiecka 37 WYBRAKOWANE MUZEUM

W Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych nie ma Moczarskiego, Kuronia ani Moczulskiego. A kilkanaście sal poświęcono Solidarności Walczącej Kornela Morawieckiego.



• Fragment ekspozycji poświęconej „Solidarności Walczącej”. Opowieści o organizacji Kornela Morawieckiego towarzyszy broń. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

uwolnienie w 1906 roku „10 z Pawiaka”, czyli brawurowe przebranie działaczy w carskie mundury i wydostanie kolegów z więzienia. Chyba jedyny kryminalista odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami.

Cela z lat 30. W 1931 r. policja aresztuje redaktorów komunistycznego pisma – Władysława Broniewskiego i Aleksandra Wata. Pierwszy, bohater Legionów Piłsudskiego i wojny 1920 roku, zostaje uwięziony w areszcie na Daniłowiczowskiej. Drugi, też literat i poeta, zostaje przewieziony na Rakowiecką. Opisuje kolegę spod celi: „Król włamywaczy polskich, piękny mężczyzna lat około czterdziestu, mówił ślicznie po francusku, pięknie po włosku i chyba bardzo dobrze po angielsku, o manierach arystokraty”.

Tak wspomina Stanisława Cichockiego „Szpicbródkę”, kasiarza i pierwowzór bohaterów filmu „Vabank”, jednego z barwniejszych lokatorów Rakowieckiej.

Represje wobec opozycji. W 1933 r. po procesie brzeskim siedzi tutaj działacz PPS i poseł na Sejm Stanisław Dubois.

NIUDANY SZTURM POWSTAŃCÓW

Obok w celi działacze nielegalnej Komunistycznej Partii Polski. Więźni Marcelli

Nowotko. Większość komunistów siedziała w Rawiczu, co uratowało im życie. Pozostali Stalin wezwał do Moskwy i tam zostali rozstrzelani.

Straszny czas okupacji niemieckiej. Hitlerowskie więzienie kryminalne. Siedzi tu Janusz Kusociński, mistrz olimpijski, później przewieziony na Pawiak i rozstrzelany w Palmirach w czerwcu 1940 r. Jest i słynny satyryk i rysownik Eryk Lipiński, ale szczególnie tylko kilka miesięcy za próbę zakupu fałszywej przepustki do getta.

1 sierpnia 1944 r. Oddział AK próbuje zdobyć więzienie, ale nie jest w stanie dotrzeć do budynków z więźniami. Następnego dnia Niemcy rozpoczynają masakrę, w ciągu kilku godzin ginie ponad 600 osób. Umieszczeni osobno młodociani więźniowie rozpoczynają bunt. Uzbrojeni w koziki o parocentymetrowych ostrzach rzucają się na strażników. Odbierają im broń. Wydostają się na dach i uciekają na tereny zajęte przez powstańców. Tak ratuje się 200-300 osób.

Skończyła się II wojna światowa. W mokotowskim więzieniu zamykani są schwytani zbrodniarze hitlerowcy, ale także żołnierze Armii Krajowej i innych formacji, które zostały uznane za wrogie nowej władzy komunistycznej. Sąsiedztwo ofiar i katów.

MOCZARSKI ROZMAWIA Z KATEM

Sierpień 1945. Na Rakowieckiej pod zarzutami walki z nowym ustrojem zostaje uwięziony oficer Armii Krajowej, szef Biura Informacji i Propagandy ZWZ i AK Kazimierz Moczarski. 2 marca 1949 r. władze umieszczają go w jednej celi z SS-Gruppenführerem Jürgenem Stroopem odpowiedzialnym za likwidację warszawskiego getta oraz wymordowanie tysięcy ofiar. Spędzają w jednej celi 10 miesięcy. Wstrząsający opis ich rozmów Moczarski publikuje w latach 70. jako „Rozmowy z katem”.

Współpracownik Moczarskiego z BIP AK, były więzień Auschwitz Władysław Bartoszewski siedzi na Rakowieckiej od końca 1946 r. Po latach ujawnia, gdzie znajdowała się cela straceń, i opowiada, jak komunistyczne władze wykorzystywały niemieckich jeńców jako kalifaktorów, czyli pomocników więziennych. Niedaleko siedzi Rudolf Höss, komendant obozu Auschwitz. Po procesie na wykonanie wyroku zostanie przewieziony z Rakowieckiej do Oświęcimia.

Nie wszystkich przebywających na Rakowieckiej zbrodniarzy nazistowskich powieszono.

Następcą Franza Kutschery na stanowisku szefa warszawskiego gestapo był Generalmajor Paul Geibel. Na jego rozkaz wymordowano tysiące Polaków w czasie powstania warszawskiego. Prochy ludzkie odnalezione w piwnicach siedziby SS na Szucha ważyły ponad 5 ton. Geibel w 1954 dostał dożywocie. Popelnił samobójstwo na Rakowieckiej w 1966 r.

Zastępcą Geibela w gestapo był Untersturmführer Alfred Otto. Plk Wincenty Kwieciński, żołnierz AK, prezes III Zarządu WiN, opowiadał mi, że Otto na Mokotowie pełnił funkcję świadka potwierdzającego współpracę żołnierzy AK z Niemcami. Na podstawie jego zeznań skazano wiele osób.

Jacek Kuroń w książce „Wiara i wina” opisuje, jak siedział z nim w jednej celi: „W kwietniu 1968 roku zaprowadzili mnie do celi, gdzie siedział łysy człowiek w okularach, wydawał się buchalterem – był nawet wysoki, ale zgarbiony, skurczony i przez to mały. Nazywał się Otto. – Jestem skazany na dożywotnie więzienie za zbrodnie wojenne – powiedział”.

Cela rotmistrza i żołnierza AK Witolda Pileckiego, bohatera, który dobrowolnie dał się przewieźć do Auschwitz, aby sporządzić raport o zbrodniach niemieckich. Na wiosnę 1948 r. został skazany na karę śmierci. Wyrok po okrutnym śledztwie wykonano 25 maja 1948 r. w więzieniu

mokotowskim. Skazującym był sędzia Roman Kryże, o którego wyrokach mówiono „Sądzi Kryże, będą krzyże”.

ŻOŁNIERZE I ARCHITEKCI

Po 1946 r. na Rakowieckiej zaczęto osadzać kobiety, głównie podejrzewane o działalność antykomunistyczną. Jedną z nich była Emilia Malessa odpowiadająca w KG AK za łączność i służby kurierskie. W 1943 r. Malessa wyszła za mąż za legendarnego partyzanta Jana Piwnika „Ponurego”. Po wojnie kontynuowała działalność konspiracyjną, m.in. pomagając w przerzuceniu za granicę Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Po aresztowaniu w październiku 1945 r. na Rakowieckiej oprawcy z Urzędu Bezpieczeństwa przekonali ją, że żadna z ujawnionych przez nią osób nie będzie aresztowana i sądzona.

Gdy zdała sobie sprawę z tego, że ją oszukano, doznała załamania nerwowego. Uwolniona z więzienia popelniła samobójstwo.

Hanna Żurowska, kurierka Kedywu AK. Po powstaniu warszawskim wywieziona do Niemiec. Po powrocie budowała sieć łączności między rządem na wychodźstwie a strukturami WiN. Rozszyfrowała prowokację UB i zorientowała się, że tzw. V Zarząd WiN to prowokatorzy UB. Rozstrzelana na Rakowieckiej 21 września 1949 r.

Na Rakowieckiej więziono licznie żołnierzy, którzy po wojnie zgłosili się do służby. Pplk Roman Rypson walczył jako lotnik we wrześniu 1939 r. Po kapitulacji znalazł się w niemieckim obozie, po uwolnieniu zgłosił się do Ludowego Wojska Polskiego. Był wykładowcą Szkoły Lotniczej w Dęblinie, współtwórcą koncepcji rozwoju przemysłu lotniczego. Komunistom nie spodobała się jego sanacyjna przeszłość, został aresztowany i stracony 8 kwietnia 1953 r. na Rakowieckiej.

Cela podchorążego AK Jerzego Baumilera, architekta. Pracował w Biurze Odbudowy Stolicy. Aresztowany w 1948 r., szczególnie wyszedł z Rakowieckiej w 1951 r.

Cela architekta z zupełnie innego środowiska. Marian Spychalski, autor projektów osiedli, laureat nagród za plany zabudowy centrów Katowic i Gdyni. W 1935 r. ściągnięty do Warszawy przez prezydenta Stefana Starzyńskiego. Opracował m.in. koncepcję równoległej trasy do Alei Jerozolimskich, czyli dzisiejszej Trasy Łazienkowskiej.

Jednocześnie działał w KPP, a później w Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, robił karierę w PPR, przygotowywał objęcie władzy przez komunistyczny reżim we współpracy z sowieckimi władzami, współtworzył Manifest 22 lipca, w rzeczywistości zamach stanu.

Aresztowany w 1950 r. pod zarzutem współpracy z sanacyjnymi władzami, zwalczanie komunizmu, relacje z bratem, który był dowódcą okręgu krakowskiego AK. Zwolniony z Rakowieckiej w 1956 r., po pięciu latach wrócił do pracy urbanistycznej jako szef Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy.

Zło i dobro w jednym człowieku. Dziś pamiętany głównie jako marszałek PRL.

HITLEROWIEC KRZYCZY DO FRASYNIUKA

W latach 50. w więzieniach obok AK-owców i hitlerowców siedzieli także wrogowie PRL znaleźieni w szeregach nowej władzy. Jednym z nich był Władysław Gomułka, który nie był lokatorem Rakowieckiej, ale za to stał się bohaterem popularnego tam więziennego dowcipu z lat 50.

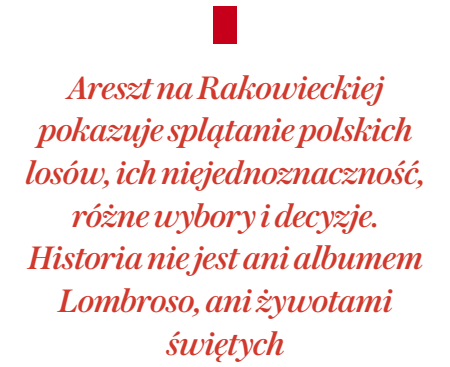
„W celi spotyka się trzech mężczyzn i opowiadają, za co siedzą. – Ja za to, że pomagałem Gomułce w 1937. – Ja za to, że krytykowałem Gomułkę w 1947. – A ja jestem Gomułka”.

Na Rakowieckiej siedział też nazista i Gauleiter Prus Wschodnich Erich Koch.

Uznano go za winnego śmierci 400 tys. Polaków i skazano na śmierć. Wyroku nie wykonano. Formalnie z powodu stanu zdrowia, ale dość powszechnie podejrzewa się, że powód był inny: władze uważały, że wie o miejscu ukrycia Bursztynowej Komnaty.

Koch, przewieziony z Warszawy do więzienia w Barczewie, doczekał tam Porozumień Sierpniowych i stanu wojennego. Nauczył się polskiego. Siedział w jednym bloku ze Stefanem Niesiołowskim, a później z Leszkiem Moczulskim. Władysław Frasyniuk opowiada, że Koch w 1983 r. krzyczał przez okno: „Frasyniuk, jak oni cię nie zabić, komuna kaput”.

Po śmierci Stalina w marcu 1953 r. i odwilży '56 wiele osób z pokolenia AK opuszczało więzienia, ale Rakowiecka stale była wykorzystywana jako więzienie centralne służące przetrzymywaniu najbardziej niebezpiecznych przestępców i wrogów.



KRATY ZA TRAKTAT

W 1964 r. milicja aresztowała Stanisława Wawrzeckiego, dyrektora Miejskiego Przedsiębiorstwa Handlu Mięsem. Oskarżono go o przyjmowanie łapówek od kierowników sklepów mięsnych w zamian za zwiększone dostawy. Proces miał być odpowiedzią na gospodarcze kłopoty PRL w zaopatrzeniu ludności. Wawrzeckiego skazano na karę śmierci, a wyrok wykonano w marcu 1965 r. na Rakowieckiej. Po latach uznano to za zbrodnię sądową sędziego Romana Kryże. Śmierć Wawrzeckiego jest z jednym z argumentów za tym, jakim złem jest kara śmierci.

Cela wielokrotnego lokatora Rakowieckiej Jacka Kuronia, jednego z przywódców opozycji i ojców założycieli III Rzeczypospolitej. 19 marca 1965 r. Kuroń i Karol Modzelewski zostali aresztowani za napisanie i rozkolportowanie „Listu otwartego do partii”, w którym proponowali demokratyzację ustroju. Kuroń wyszedł na wolność w maju 1965, a Modzelewski w sierpniu 1967.

Ponownie zostali uwięzieni już w 1968 r., a potem po 13 grudnia, aż do lipca 1984 r. Obok Adama Michnika (1968-69, 1982-84, 1985-86) czy Leszka Moczulskiego (1957, 1980-1984, 1985-86) tworzą grono osób najdłużej przebywających w więzieniach PRL z powodów politycznych.

Cela Janusza Szpońskiego, poety, satyryka. Aresztowany w 1967 r. za – jak to określił I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka – „reakcyjny paszkwil zięjący sadystycznym jadem nienawiści do naszej partii i organów władzy państwowej. Utwór ten zawiera jednocześnie pornograficzne obrzydliwości, na jakie może się zdobyć tylko człowiek tkwiący w zgniliźnie rynsztoka, człowiek o moralności alfonsa”. Nie ma lepszego miejsca niż Rakowiecka, by uhonorować pamięć autora „Traktatu o gniadach”.

NIE GUZDRAJCIE SIĘ, TOWARZYSZE

Marzec 1968. Czas protestów studenckich przeciwko cenzurze i zaprzestaniu wystawiania „Dziadów” Adama Mickiewicza. Antysemicka nagonka. W marcu 1968 r. milicja zatrzymała ponad 2,5 tys. osób.

Cele Adama Michnika, Henryka Szlajferra. Wskazanie, jak ważna stała się wolność

słowa, jakimi metodami posłużyła się władza i ile Polska straciła na przymusowej emigracji.

„Wziąłem odprysk duszy tego kraju; statystycznie biorąc – bez znaczenia; Przez ten nikły ubytek, życie; Dzisiaj w kraju o duszy ułomnej” – pisał, wyjeżdżając z Polski, Natan Tennebaum.

Cele organizacji „Ruch”. Stefan Niesiołowski, bracia Czumowie, Marian Gołębiewski za antykomunistyczną działalność i próbę wysadzenia pomnika Lenina w Poroninie otrzymali w 1971 r. najwyższe wyroki od 1956. Od czterech do siedmiu lat.

Cela szpiegów. Słynny Szablista, medalista olimpijski Jerzy Pawłowski aresztowany w 1975 r. pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Stanów Zjednoczonych. Po dziesięciu latach ułaskawiony w zamian za zwolnienie polskiego szpiega Mariana Zacharskiego zatrzymanego w USA.

Pawłowski na Rakowieckiej pracował bowiem w więziennej bibliotece i odpowiadał za dostarczanie więźniom cotygodniowego przydziału trzech książek.

Cele Komitetu Obrony Robotników, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Konfederacji Polski Niepodległej – najważniejszych organizacji lat 70. Cele Leszka Moczulskiego, Jana Lityńskiego, Henryka Wujca, Zbigniewa Bujaka, przywódcy podziemnej „Solidarności” ukrywającego się od ogłoszenia stanu wojennego do maja 1986 r.

Na represję wobec działaczy opozycji wpływał Związek Radziecki. Na podstawie protokołów Biura Politycznego KC PZPR, relacji uczestników oraz raportów m.in. płk. Kuklińskiego możemy zacytować Leonida Breżniewa: „Towarzyszu Kania, jak długo będziecie się guzdrać z tym Moczulskim – był w areszcie, wypuściliście. A teraz znowu zaczynacie od sądu. A co dalej? A dalej, odpowiedział Kania, będziemy go sądzić zgodnie z prawem i posadzimy z powrotem do więzienia. Otrzyma to, na co zasłużył”.

KISZCZAK, TY ŚWINIO!

Po 13 grudnia 1981 r. internowano kilka tysięcy działaczy „Solidarności” i opozycji z Lechem Wałęsą na czele. Po zawieszeniu stanu wojennego grupa najgroźniejszych dostała zarzuty i znalazła się na Rakowieckiej.

Cele czwórki KOR-owskiej (Michnik, Kuroń, Wujec, Romaszewski) i siódemki „Solidarności” (Gwiazda, Jaworski, Jurczyk, Modzelewski, Palka, Rulewski, Rozpłochowski).

Jednym z najbardziej perfidnych sposobów walki z opozycją była próba jej skompromitowania poprzez ofertę wyjazdu z więzienia na Zachód pod warunkiem paroletniego niewracania do Polski. Michnik odpowiedział szefowi MSW Czesławowi Kiszczałowi: „Aby będąc więziennym nadzorcą, proponować człowiekowi więzionemu od dwóch lat Łazurowe Wybrzeże w zamian za moralne samobójstwo, trzeba być świnią”.

Pod koniec wędrowki po Rakowieckiej trzeba przypomnieć jeszcze jeden grymas historii. Więzieni byli tam zarówno funkcjonariusze SB, mordercy ks. Jerzego Popiełuszki, jak i nieumyślni zabójcy sierżanta Karosa, którzy zwodzeni szalonym rozumieniem patriotyzmu próbowali zdobyć broń.

Areszt na Rakowieckiej pokazuje splątanie polskich losów, ich niejednoznaczność, różne wybory i decyzje.

Historia nie jest ani albumem Lombroso, ani żywotami świętych. Jeśli coś jest czarno-białe, to można z dużą dozą prawdopodobieństwa uznać, że nie jest to historia, a na pewno nie jest to ciekawe. ●

Tekst wykładu wygłoszonego 23 września 2024 r. na konferencji „Jak uczyć najnowszej historii Polski” zorganizowanej przez Kancelarię Senatu, Ministerstwo Edukacji Narodowej i Ośrodek Rozwoju Edukacji.



Przyjechałem po twojego syna. – Pomyliłeś drogę” – kmić stojący przed chałtą spróbował się targować, ale siwowłosy jeździec nie dawał się zbić z pantafelki takimi prostymi sztuczkami.

„Przed siedmiu laty złożyłeś przysięgę, że oddasz nam to, co zastaniesz po powrocie, a czego się nie spodziewasz. A to był twój syn, który się urodził” – rzucił. Chłop zagrał ostrzej: „– Chyba oszalałeś, przybłędzie”.

Ale nie było zmiłuj. Prawo Niespodzianki to Prawo Niespodzianki, chłopaka trzeba było oddać, a chwilę później już oglądaliśmy, jak poddawany jest Próbie Traw.

Tak zaczynał się filmowy „Wiedźmin” w reżyserii Marka Brodzkiego, który premierę miał 9 listopada 2001 roku.

Nie wszyscy z utęsknieniem jej wówczas wyglądali. Jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć do filmu, wiosną 2000 roku powstał Komitet Obrony Jedynie Ślusznego Wizerunku Wiedźmina, skupiający fanów sagi Andrzeja Sapkowskiego. Owi sympatycy rozpoczęli akcję zbierania podpisów pod apelem o nieobsadzanie w roli głównej Michała Żebrowskiego. Sygnatariuszom komitetu nie pasowała też Grażyna Wolszczak w roli Yennefer, ukojanej Geralt’a oraz Zbigniew Zamachowski jako bard Jaskier, ale najbardziej uwierał ich Żebrowski.

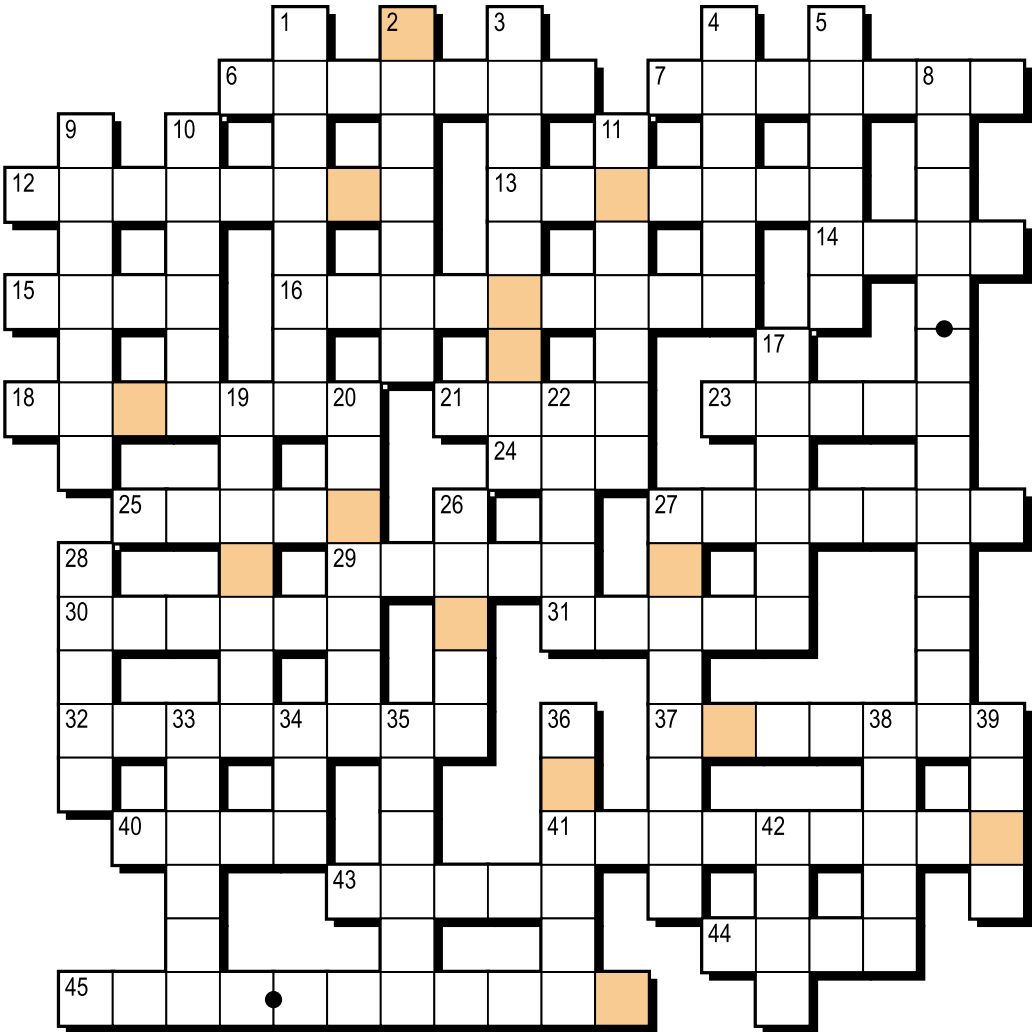
Filmowi niechętny był też Michał Szczerbic... scenarzysta „Wiedźmina”, który zażądał usunięcia swojego nazwiska z czołówki filmu. I to na niewiele przed premierą, dowodząc, że finałowe dzieło zdecydowanie odbiega od tego, co on napisał.

Już w kinie (byłem na seansie, a jakże) okazało się, że Michał Żebrowski bynajmniej nie jest problemem. Ani Zbigniew Zamachowski tym bardziej, choć bliżej mu było do zmęczzonego imprezą rockmana niż do delikatnego fircyka z lutnią w dłoniach. Miast groźnych wiwern, zeugli i bazylijszków ujrzeliśmy oto powyciągane z rekwizytorni gumowe straszdyła, którym Meluzyna z „Podróży Pana Kleksa” nakopałaby do przysłowiowej rzyci, a wisienką na torcie w tym bestiarii było smoczątko, które go bronić miał Złoty Smok Villentretenmerth. Ów z kolei wyglądał, jakby wygenerowano go za pomocą grafiki z Atari. Cóż z tego, że chcący go ubić rycerz Eyck z Denesle miał szlachetną fizys i prezencję doskonałego aktora Marka Walczewskiego, skoro mniej komicznie od sceny starcia wojna z gadem wyglądała nawet walka z krwiożerczym królikiem w „Monty Pythonie i Świętym Graalu”.

No była to kłapa, bo film był w dodatku nudny i kompletnie niespójny, choć świetnie słuchało się muzyki Grzegorza Ciechowskiego (nagroda Orła), wokali Zamachowskiego i Roberta Gawlińskiego oraz podziwiała piękne plenery. Obronił się też zdecydowanie Michał Żebrowski, do Orła nominowany, ale większość wiedźmińskich znaków na niebie i ziemi wskazywało, że całość nie pyknęła.

Ale mimo to, dla uczczenia 23., okrągłej rocznicy premiery filmu, dzisiaj „Weekendówkę” z wielką radością poświęcamy Wiedźminowi. Powodzenia na szlaku i podczas rozwiązywania!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 127 z 2.11:

Poziomo: 1) radar, 7) Eremefka, 11) didżej, 12) Ga, Ga, 13) Nelly, 14) antena, 15) słuchacz, 19) patron, 20) Lato, 21) lektor, 22) Roger, 23) Tom, 25) tranzystor, 29) nowości, 30) Europa, 32) eksperci, 33) Knowles, 35) Diora, 37) polka, 39) prezenter, 40) piosenka, 41) Budka, 42) audycja.

Pionowo: 2) dziennik, 3) Róże, Europy, 4) hejnał, 5) realizator, 6) reżyser, 8) kolumny, 9) fala, 10) jazz, 16) Hello, 17) City, 18) filtr, 22) Romans, 23) Tuwim, 24) Myśliwiecka, 25) trzaski, 26) Niedźwiecki, 27) Stones, 28) mikser, 31) Marconi, 34) eter, 36) media, 38) Afera, 39) Plus.

HASŁO:
PROGRAM PIERWSZY

ŚWIAT WIEDŹMINA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 6) królestwo Vizimira
- 7) córka Calanthe, matka Ciri
- 12) Kaer Morhen, czyli ... Starego Morza, siedzisko wiedźminów
- 13) szkoła czarodziejek, której rektorką była Margarita Laux-Antille
- 14) elfy, krasnoludy, ludzie, driady...
- 15) trunki, którymi służyło księstwo Toussaint
- 16) ... Findabair, elficka czarodziejka nazywana Stokrotką z Dolin
- 18) Leo, zabójca tropiący Szczury i Ciri („Graj, muzyko!”)
- 21) ... wiedźmiński (dwa tomy opowiadań i pięć tomów powieści)

- 23) czarodziejka nazywana Panią Jeziora
- 24) „Jak ... z wilkiem”, zadanie w grze komputerowej „Wiedźmin 3: Dziki Gon”
- 25) Tor Lara lub Tor Zireael
- 27) platforma emitująca serial „Wiedźmin” z Henrym Cavillem
- 29) pobierane przez Ciri w 13 poziomie
- 30) członkini bandy Szczurów, która miała różę wytatuowaną na udzie
- 31) kraina, z której Geralt wcale nie pochodził
- 32) miasto ze świątynią bogini Melitele
- 37) obsydianowa – na szyi 1 pionowo
- 40) zginęła na nim Falka zwana Krwawą
- 41) stolica księstwa Toussaint
- 43) wieczne ..., wspomniane w prorocztwie Ithlinne
- 44) ptak kojarzący się z wieżą na wyspie 20 pionowo

- 45) między „Krwcią elfów” a „Chrztem ognia”
- PIONOWO:**
- 1) ... z Vengerbergu
- 2) driady – Brokilon, krasnoludy – ?
- 3) Jarre, który był pod opieką Nenneke, nim wyruszył na wojnę
- 4) rzeka, nad którą leżały twierdze Bodrog, Nastrog i Rozrog
- 5) Emhyr var Emreis, ... Nilfgaardu
- 8) czarodziejka o kasztanowych włosach, nazywana Czernastą ze Wzgórza
- 9) miasto w Temerii, z którego pochodziła 8 pionowo
- 10) nilfgaardzka pustynia nazywana Patelnią
- 11) władca Kaedwen zwalczający komanda elfów (Wiewiórki)

- 17) państwo, którego władczynią miała zostać Ciri
- 19) każda z uczennic szkoły czarodziejek
- 20) wyspa z Loxią, Aretuzą i Garstangiem
- 22) królestwo kojarzące się z Zuleyką i czarodziejem Stregoborem
- 26) Andrzej Sapkowski
- 27) Wolne Miasto ..., miejsce akcji opowiadania „Wieczny ogień”
- 28) imię wampira Regisa
- 33) instrument bliski Jaskrowi i Essi Daven
- 34) zadarty u Anny Henrietty
- 35) z bagnami Pereplutu, na których mieszkał Vysogota z Corvo
- 36) stwór taki jak Pukacz
- 38) Dziki Gon
- 39) znak ..., nierzadko stosowany przez Geralt’a
- 42) wiedźmin, który zginął w bitwie pod Brenną

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

wysokieobcasy



HumanDoc

NIEobojętne

Wesprzyj kobiety doświadczające przemocy domowej



Kup prenumeratę, a my cały dochód ze sprzedaży prześlemy na akcję

wysokieobcasy.pl/nieobojetne